



WIKTOR GOMULICKI

ROK 1812

POWIEŚĆ DLA MŁODZIEŻY

Z 2-MA RYCINAMI

WARSZAWA

NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SP.

4.40

ROK 1812



Książę Józef po raz ostatni poprowadził Polaków do szturmu.

WIKTOR GOMULICKI

ROK 1812

POWIEŚĆ DLA MŁODZIEŻY

□ □ Z 8-MIU RYCINAMI □ □
KONSTANTEGO GORSKIEGO



WARSZAWA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1912

Zygmunt Jeleń

Księgarnia i Drukarnia

■ TARNOWIE.



U.C. BERKELEY LIBRARIES



C095894733

WSZELKIE PRAWA PRZEDRUKU
I PRZEKŁADU ZASTRZEŻONE.

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SP.

I.

Późno już było, gdy kapitan Kalinowski skończył pisanie i pióro odłożył.

W lampie brakło już oleju, więc ją zgasił i zapalił świecę. Żółte, drżące światło częściowo tylko rozjaśniło przestronną a dość pustą izbę.

Kapitan złożył zapisane arkusze i umieścił je w dwóch dużych kopertach. Wypisał adresy i przyłożył pieczęcie lakowe ze swym herbem. Potem oparł się silnie o poręcz krzesła, ręce na piersiach skrzyżował i przez długą chwilę siedział nieruchomo. Może odpoczywał i drzemał, a może rozmyślał i plany na przyszłość snuł...

W domu i poza domem cisza panowała głęboka — cisza małych miasteczek, które, taksamo jak wieś, wcześniej się budzą i wcześniej zasypiają, śpią zaś zawsze snem kamiennym.

W pokoju niewiele było sprzętów: szafa, stół, krzesła kilka, fajczarnia, wreszcie biurko, przy którym gospodarz pisał, oraz jego skromne, obozowe łóżko. Nad łóżkiem wisiał krzyż duży,

czarny; pod nim ryngraf z »Częstochowską«; dokoła: pałasze, pistolety i karabinek kawalerski. Nad tem wszystkim: portret olejny księcia Józefa Poniatowskiego, w uniformie, jaki nosił księżę w roku 1792.

Kapitan miał twarz wygoloną, o rysach pięknych, energicznych, ale chorobliwie bladą i zmarszczkami pooraną. Siwe włosy były sczesane na czoło i na skronie. Lewa ręka była w połowie bezwładna i palców kilku pozbawiona; prawa noga, do kolana obcięta, wspierała się na szczudle.

Zegar z kukułką wybił godzinę drugą z północy.

Kapitan drgnął, wyprostował się, oczy przetarł i wstał z krzesła. Potem przystąpił do łóżka, głowicą wiszącej szabli kilkakrotnie w ścianę zapukał.

Otworzyły się drzwi od sieni; w drzwiach zjawił się sługa kapitana, jego dawny luzak obozowy. Miał na sobie tylko obciste, żołnierskie rajtuzy, zresztą bosy był i w samej koszuli. Wielkie, białe wąsiska wisiały mu pod nosem, jak dwa sople lodowe.

— Jestem, panie kapitanie! — zameldował się, stając u progu w postawie wyprężonej.

Kapitan skinął nań, aby bliżej przystąpił. Potem palcami pstryknął, jak to było jego zwyczajem, i rzekł:

— Czujność jest, co?... I subordynacya, do stu par dyabłów! he?

— Czuj duch, panie kapitanie! Służbę się zna, z trybu się nie wyszło.

— Basta! Teraz uszy do góry. Oto dwa papiery: większy do notaryusza, mniejszy do księcia.

— Lecę, panie kapitanie.

— Dokąd, do stu par dyabłów?

— Do notaryusza, panie kapitanie. I do księcia, panie kapitanie.

— Do jakiego księcia, he?

— Tego ja nie mogę wiedzieć, panie kapitanie.

— Do księcia Józefa... No! do Poniatowskiego.

— Rozumiem. Do księcia-wodza, panie kapitanie. Lecę.

— W ukropie kąpany, co? Czekać, do stu par dyabłów! Wpierw — ja muszę zejść ze stanowiska.

Stary sługa otworzył usta, lecz pytanie w gardle mu uwieźło.

— Czemu gapisz się, he? Na każdego termin przychodzi. Mój abszyt już podpisany! Więc dopiero potem... potem... Zrozumiano?

Eks-żołnierz skłonił się w milczeniu. Coś mu mowę zatamowało.

Kapitan kazał podać sobie fajkę. Zapalił ją,

siadł na krześle, jak na koniu, i dym wydychając, spokojniej mówił:

— Widzisz, mój stary, tu żartów niema... Dziś, jutro, hufiec zostać może bez kapitana. Cóż się w takim wypadku czyni, he? Przysposabia się zastępcę. Tak, czy nie?

— Tak, panie kapitanie.

— Mój hufiec, to: Józio i Józia. A potem: ty i baba twoja. Więc jakże: macie zostać bez dowódcy, he? Gdybyśmy mieli kapitanową, rzecz byłaby inna. Inna, he?

— To się wie, panie kapitanie. Gdyby żyła nasza nieboszczka pani...

— Ale nie żyje. Z listy służby wykreślona. Basta! Może jest kto w drugim, trzecim szeregu, co? Jakiś brat, siostra, wuj, szwagier, szwagierka, he? Co o nich sądzisz, mój Szczerbo? Na zastępców zdali się, czy się nie zdali? Niucha tabaki warci, czy nie warci?

— Ha... no... panie kapitanie. Juści, prawdę mówiąc, żadne się do służby frontowej nie zdało.

— Wyraźniej mów, do stu par dyabłów! Po prostu powiedz: ciury! Ciury i basta! Tak, czy nie?...

— Tak, panie kapitanie.

— Więc słuchaj, stary. Tu są dwa listy. W tym większym, do notaryusza, jest mój ostatni rozkaz dzienny. Rozporządzam w nim wszystkim, co w obozie pozostawię: domem,

gruntem, inwentarzem, meblami, bronią, garderobą. Co komu, jak, za co, i ile. Jest tam paragraf i o Marcinie Szczerbie i o jego babie... Czemu, głupi, nosem pociągasz? Co?... całować mnie chcesz w łapę? Stój prosto, do stu par dyabłów!

— Ja, panie kapitanie, słuchać o tem nie mogę. Dalibóg, nie... nie... mogę.

— Basta! Ten drugi list zawieziesz księciu Józefowi. Do listu dołączysz Józia i Józję, a także skrypt od notaryusza: jako oboje są posiadaczami takiej a takiej sumy pieniędzy, która będzie im doręczona, gdy dojdą do pełnoletności. W liście jest mały rachunek i cesya. Pewnie nie wiesz, co jest cesya? Wiesz, czy nie wiesz, co? he?

— Nie wiem, panie kapitanie.

— To... dajże mi najpierw świeżą fajkę.

Szczerba wyjął z fajczarni i przyniósł fajkę na długim cybuchu, już tytuniem nabitą. Kapitan zapalił, dymem się otoczył.

— Pamiętasz, stary, obóz w Kozienicach? A księcia-wodza pamiętasz? Milcz!... wiem, że pamiętasz. Mój mały rachunek stamtąd właśnie pochodzi. Książę, uważasz, był wielki gagatek i sławny myśliwy. W ostatni dzień, gdy już zawieszenie broni było postanowione — postanowione, mówię, ale jeszcze nie podpisane i wojskom nie ogłoszone — księciu przyszedł do głowy figiel. Zawsze był figlarz! Przebrał się po cywil-

nemu, odzież przywdział myśliwską, dosiadł swego wspaniałego araba, i mówi: »Panowie! kto ze mną na ochotnika? Na Kozuniów zapolować jadę«... Wysunął się jaki-taki na koniu, z lancą, z karabinkiem. Myślisz, że kapitana Kalinowskiego mogło tam braknąć? No, wiem, że tak nie myślisz. Pojechałem z dwiema nogami, wróciłem — z jedną! Fracha! Straciłem nogę, alem za tę cenę ocalił życie swego jenerała. I konia swego mu dałem, aby mógł ująć z zasadzki, bo jego arab padł pod kozackimi spisami. Mnie towarzysze do obozu przynieśli na noszach. Nic wielkiego! Każdyby tak zrobił, co?...

— Nie, nie każdy, panie kapitanie.

— Głupiś, do stu par dyabłów!

Zaczął szybko palić i pół pokoju dymem nappełnił. Wyjąwszy fajkę z ust, ciągnął:

— Przybiegł ksiązę do mnie, ścisnął, całował, płakał. »Życieś mi ocalił — do życia mego masz prawo. Rozporządzać możesz mojem życiem zaraz lub w przyszłości!« Sentymenty, panie tego; afekty strzeliste, siarczyste... brrr... Basta! Ksiązę pojechał do Warszawy, potem do Wiednia. Ja pół roku przeleżałem w lazarecie. Ksiązę został bohaterem salonów, ulubieńcem płci pięknej, rycerzem, gotowym każdej chwili konia dosiąść. Ja — zeszedłem na inwalidę. Głupstwo, co? Niema o czem gadać, he? Basta!

Otoczył się znów dymem i zatonął w rozmyślaniach. Przeciągały się one tym razem długo.

— A rachunek, panie kapitanie? — ośmielił się ostrożnie przypomnieć Szczerba.

— Rachunek w liście. *Plus, minus* taki: »Mości książe! Powiedziałeś mi tam, pod Kozienicami, że mogę życiem twem rozporządzać. Jest to facecya. *Primo*, życie twoje należy do Boga. *Secundo*, życie twoje należy do Ojczyzny. *Tertio*, ja nie jestem Twardowski, żeby z cyrografem po czyjąś duszę przychodził. Wszelako rachunki trzeba płacić — uczy nas tego religia. Jeśli zatem, mości książe, uważasz, żeś mi coś tam dłużny, oddaj to dwójgu niedorostkom, których do tego listu dołączam. Są to moje dzieci: Józio i Józia. Na czyją cześć tak nazwani, łatwo zgadniesz. Gdy mnie Bóg do Głównej Kwatery odwoła, będą oni jak zbłąkana, lotna kolumna, której dowódcę zabito. Bez ojca, bez matki i godziwej rodziny, to znaczy: bez oficera, podoficera i sierżantów. Zaopiekuj się nimi, mości książe, jeśli cię serce do tego zniewoli. Nie o pieniądze tu chodzi; fortunę mają szczupłą, lecz wystarczającą. Ale są jak oddział, na rekonesans wysłany, któremu brak przewodnika. Stańże się im, mości książe, przewodnikiem, tak jak byłeś nim niegdyś nam wszystkim, a da Bóg, będziesz i innym w przyszłości. Oto wszystko. Żegnam cię, książe-wodzu, jako twój

niegdyś posłuszny, choć wiekiem starszy podkomendny. Baw się, tańcz i umizgaj, póki ci wiek męski służy, a pilnie nasłuchuj, czy nie gra trąbka i czy ci znów na czoło dywizyi śpieszyć nie trzeba». Tak napisałem. Esencyonalnie, co? Po żołniersku, he?

— Po kapitańsku, panie kapitanie!

— Jest tam także dopisek. Są nawet dwa dopiski. Pierwszy taki: »Radowałbym się na tamtym świecie, widząc syna mego polskim ułanem, a córkę — polskiego ułana żoną«. Drugi taki: »Oddawca listu i dzieci moich, stary wiarus, również się twej łasce, mości księżę, poleca. Był z nami pod Kozienicami i pod Dubienką. Baba jego eks-wiwandyerka; przy legionach służyła i przy armii Buonapartego. Oboje dobrzy ludziska; za Ojczyznę ostatnią kroplę krwi oddadzą«.

— Panie kapitanie... panie kapitanie... — Ikał Szczerba, znów się do ręki swego pana posuwając.

Kapitan zerwał się z krzesła, szczudłem w podłogę grzmotnął, aż echo w piwnicy zadźwiękło.

— Do porządku! Subordynacya! W miejscu stać, do stu par dyabłów!

Wiarus struchlał i znieruchomiał, wyprężony jak cięciwa:

Wysapawszy się, kapitan kończył:

— Basta! Teraz idź i babę swą obudź, niech mi ugotuje jakiej tyzanny.

— Idę, panie kapitanie.

— A pamiętaj: ostrożnie budź kobiecinę, boć to także nie młódka...

Jeszcze stary nie doszedł do progu, gdy drzwi z hałasem się otworzyły. Do pokoju wkroczyła tęga, wysoka niewiasta, w przekrzywionym czepku, zresztą całkowicie już ubrana. Twarz miała pełną, czerwoną i wcale duże, czarniawe, wąsy.

— Na rozkazy pana kapitana! — niskim, prawie męskim głosem wyrzekła.

— Wszelki duch... — przeżegnał się Szczerba. A ty skąd tu, Kundziu?

Odepchnęła go.

— Nie z tobą sprawę mam.

Zwróciła się do Kalinowskiego:

— Pod drzwiami wartowałam, panie kapitanie. W kwaterze kapitańskiej dniem i nocą szyldwach być musi i »posyłka«.

— Bóg wam zapłać, moja Szczerbino! — miękce już odezwał się kapitan. — Prosić was chciałem, żebyście mi ziólek jakich ugotowali: kwiatu lipowego, lub co tam uważacie.

— W mig! zaraziutko! Ale... czy mogę mieć śmiałość zapytać: co jest panu kapitanowi?

— Nic mi nie jest, moja Szczerbino.

— Bo, z przeproszeniem pana kapitana, jeśli

to wedle płuców, to krwawniku ugotuję i kataplazm przyrządzę. A jeśli wedle żołądka...

— Dajcież pokój. Powiedziałem, że mi nic nie jest.

— Bo w każdym przypadku, panie kapitanie, lepiej wcześniej. Kataplazm nie zaszkodzi, a ziółka, choćby na ten przykład lipowe...

Zniecierpliwił się kapitan, szczudłem w podłogę stuknął.

— Basta! Na lewo w tył zwrot! Marsz!

— Bum!...

Eks-wiwandyerka zrozumiała w lot, o co chodzi, i natychmiast, krokiem podwójnym, wycofała się z pokoju, małżonka za sobą ciągnąc. »Bum« było jej zwykłym słowem, oznaczającym zgodę, a miało odpowiadać francuskiemu *bon*. Była to jedna z jej wiwandyerskich pozostałości.

Za progiem małżonkowie trącili się łokciami.

— Coś mu jest, Kundziu.

— To się wie, Marcinie. Żółty taki.

— I klnie częściej, niż zwykle.

— Coś w nim żółć wzruszyło. Żeby mnie posłuchał, dałabym mu do wnętrza krupniku litewskiego, wysmarowała gorzałką z mydłem i byłby zdrów. Ale cóż, kiedy uparciuch. Dobry pan, mądry pan, dzielny pan, ale uparciuch!

Gdy przechodzili przez sień, kobieta nadstawiała uszu.

— Słuchajno, Marcin. Co to się stało Wiernemu?

— A nie wiem. Chore psisko, czy co...

— Wyrzeć trzeba.

Otworzyli drzwi od podwórza, głowy wytknęli.

Pod oknami kapitana leżał duży, kudłaty pies, przednie łapy przed siebie wyciągnąwszy. Między te łapy łeb wtulił i cicho a żałośnie wył...

— Wierny, cicho!

— Wierny, tu!

— Spać, Wierny — do budy!

— Choć, piesku, dam ci gnat...

Pies nie poruszał się, łba nie podnosił, tylko wył a wył...

Lepiej od ludzi wiedział on, co się tu święci.

II

Prześliczny poranek majowy falami słonecznego złota zalewał pokój, w którym stało przy oknie dwoje dzieci kapitana Kalinowskiego: chłopiec czternastoletni i dwunastoletnia dziewczynka. Między dziećmi nie było znać różnicy wieku; wydawały się rówiennikami — owszem, dziewczynka czyniła chwilami wrażenie poważniejszej, więc i starszej.

Dworek kapitana znajdował się na końcu miasteczka, w otoczeniu już napół wiejskiem. Dzieci widziały przez okno najpierw plac pusty; dalej łąkę, żółtymi kwiatami, jak kobierzec złotem, utkaną; wreszcie pola, młodem zbożem rozzielenione i las, we mgłach porannych błękitny. Nad tym błękitem i nad tą zielonością, po niebie barwy turkusowej, płynęły cicho obłoczki, jakby ze szczyrego srebra ulane. Mnóstwo ptaszków, których dzieci dawno nie widziały, przyfrunęło z pola i z lasu, wyśpiewując rozgłośnie w małym ogródku przed dworkiem.

Mimo wszystko, dzieci były smutne i, wbrew zwyczajowi, mało do siebie mówiły.

W domu działo się coś, czego zrozumieć nie mogły, ale co ich czułe serca niepokojem napełniało.

Przedewszystkiem — choć już wybiła dość dawno godzina ósma — nie widziały dotąd ojca i nawet głosu jego nie słyszały. Kapitan miał zwyczaj sam budzić dzieci. Wychodził do sieni, stawał pod drzwiami ich pokoju i naśladował głos trąbki. Dzieci zrywały się z łóżek, słysząc pobudkę obozową:

— Tra, ta, ta... tra, ta, ta... tra, ta — ti — ta!...

Niekiedy śpiewał na nutę pobudki ułańskiej:

Panie ułan,
Panie ułan,
Wstawaj pan!
Bo jak nie wstaniesz,
Bo jak nie wstaniesz,
To się do kozy dosta-a-a-aniesz!

Dziś, później, niż zwykle, obudziła dzieci i ubrać im się pomogła Szczerbina. Sama była potargana, w przekrzywionym czepku, ze śladami bezsennie spędzonej nocy na poblądłej twarzy, w zaczerwienionych oczach. Była śpiesząca się, roztargniona, biegała po całym domu, nawet do miasta wychodziła. Dzieci nie dostały dotąd śniadania.

Bez przywołania żadne nie śmiało wejść do pokoju ojca. Wyglądając jednak kilkakrotnie do sieni, dostrzegły najpierw, że pod drzwiami ojcowskimi, ze spuszczoneym łbem, leży Wierny i żałośnie skomli; następnie, że z pokoju prawie wcale nie wychodzi Szczerba; wreszcie, że do ojca przybywają z miasta jacyś obcy panowie.

Dzieci długo stały przy oknie, milcząc. Ale w końcu żywość młodociana zaczęła posępność ich przemagać. Tyle miłych wrażeń cisnęło się do ich oczu i duszy. Chłopiec wytrzymać nie mógł, głosem, zachwytu pełnym, wykrzyknął:

— Ach, jak dziś pięknie na świecie!

Dziewczynka zrobiła minkę poważną.

— Czy myślisz — rzekła — że na całym świecie?

— Tak myślę, Józiu.

— To się mylisz. Pięknie jest tylko w naszej Polsce. Bo nasza Polska jest najpiękniejszym krajem na ziemi. Zdaje mi się, że nawet w niebie nie jest tak pięknie, jak w naszej Polsce.

— Dlaczego nazywasz Polskę »naszą«?

— A czyjaż ona jest podług ciebie?

— Napoleona.

— Napoleon Prusakom ją odebrał, żeby nam oddać.

— Ale nie oddał. Polska wówczas dopiero będzie nasza, gdy będziemy mieli własnego monarchę.

— Czyż go nie mamy?

— Nie mamy.

— A Fryderyk August?

— Fryderyk August jest księciem. A Polsce trzeba króla. Przytem on jest tylko zastępcą Napoleona. Tatuś powiedział, że on podobny do pajaca z tektury, którego Napoleon za sznurek pociąga.

Dziewczynka zakłopotana się. Ale po chwili odparła rezolutnie:

— To i cóż? Napoleon, jak zechce, to zrobi królem Fryderyka Augusta, albo siebie.

— Na nic się to nie zda. Polska musi mieć króla polskiego. Dopiero gdy go będzie miała, będzie naszą Polską.

Dzieci spierałyby się dłużej, lecz wbiegła do pokoju Szczerbina i dysputę im przerwała. Czepek jej był bardziej jeszcze przekrzywiony, oczy czerwieniejące i jakby zapłakane.

— Do ojca chodźcie, dzieci! — żywo zawołała. — Ale wpierw posilcie się, robaczki, boście dotąd nic w ustach nie miały.

Zakrzętnęła się po pokoju. Drżącą ręką rozlała mleko w szklanki, przysunęła koszyk z ciastem, podała masło.

Dzieci próbowały jeść, ale nie mogły. Coś ścisnęło im gardła, w piersiach dławiono.

Gdy je zaprowadzono do ojca, ledwie go poznały. Kapitan leżał na swem biednem, obozo-

wem łóżku, żółty jak воск, z zapadłemi głęboko oczami. Stały przy nim lekarstwa, lód na misce, nie dopita szklanka wody. W powietrzu czuć było eter i piżmo.

Dzieci, jakby wyższego rozkazu słuchając, przy łóżku uklęknęły i całować zaczęły wyciągnięte na kołdrze ręce ojca. Kapitan skinął na Szczerbinę, żeby mu poprawiła poduszki, i z wysiłkiem przemówił:

— Mówiłem już wam, moje dzieci, że życie jest wojną. Mówiłem, co? My wszyscy jesteśmy na tej wojnie żołnierzami. Jako żołnierzom, wyższej władzy słuchać nam trzeba. Wyższa władza ma swoje plany, w które nam nosa wsadzać nie wolno. Wolno, czy nie wolno, he? Przerzucani jesteśmy co chwila to tu, to tam. Dziś w pierwszej kolumnie, na froncie, lub na flanku; nazajutrz — w aryergardzie; pojutrze — w rezerwie. Posyłają nas, odwołują; każą to naprzód iść, to cofać się. Nie usłuchasz? to, do stu par dyabłów, kulka w łeb — i basta! Otrzymałem właśnie, z głównej, ba, najgłówniejszej! kwatery, rozkaz natychmiastowego opuszczenia pozycji. Naczelny Wódz wszystkich ludzi do siebie mnie wzywa. Mogęż go nie usłuchać, co? Więc ruszam w drogę i z wami, moje dzieci, rozstać się muszę. Zastępcę swego dla was wynalazłem; da Bóg, że wam dobrze z nim będzie. Nie krewny i nie powinowaty, ale dobry szlachcic i dobry



— Panie kapitanie! Ksiądz z Panem Bogiem...

żołnierz, co warte stokroć więcej. Tymczasem pocziwy Szczerba ze swą ba... to jest ze swą małżonką, czuwać będą, żeby wam się krzywda nie działa. Mój ostatni rozkaz dzienny znajdziecie w papierach; wypełnić go macie co do joty... Przykazuję wam, żebyście czcili Pana Boga, byli uczciwi i szlachetni, szanowali pamięć rodziców, kochali się wzajemnie, przedewszystkiem zaś, żebyście zawsze i wszędzie pamiętali o szczęściu Ojczyzny i dla jej dobra wszystko, nawet życie, poświęcić byli gotowi. Żegnam was i błogosławię. Bądźcie zdrowi i szczęśliwi.

Ostatnie zdania wymawiał kapitan z trudnością. Znać było, że go siły z każdą chwilą opuszczają.

Dzieci okrywały pocałunkami wychudłe ręce ojca, głośno łkając. On jeszcze chciał coś powiedzieć, może żał ich uciszyć... W tej chwili za oknami rozległ się głos dzwonka.

Szczerba, salutując po wojskowemu, zameldował:

— Panie kapitanie! Ksiądz z Panem Bogiem.

Twarz kapitana rozjaśniła się, jakby słońce na nią padło. O własnej sile uniósł się na poduszkach, a oczy jego, mocno błyszczące, mówić się zdawały:

— Otom gotów...

Dzieciom kazano wstać z kolan i pokój opuścić. Wyszli też oboje Szczerbowie.

Do pokoju wstąpił kapłan z Olejami Świętymi i sam na sam z chorym pozostał.

.

W godzinę później dzieci kapitana Kalinowskiego dowiedziały się, że już ojca nie mają.

III.

Wnet po śmierci kapitana Szczerba, spełniając jego wolę, wyruszył z Józkiem, Józkiem i swoją »babą« do Warszawy, do księcia Józefa.

Za radą rejenta dworku z ogrodem nie pozbyto się. Sprzedano tylko część gruntów ornych, a na dworek zaciągnięto pożyczkę. Wystarczało to najzupełniej na pierwsze potrzeby dzieci i ich opiekunów. Co do przyszłych działań, zastosować się w tem miano do wskazówek księcia.

Rejent, który był serdecznym przyjacielem nieboszczyka, podjął się bezinteresownie opieki nad dworkiem i wogóle nad całym mieniem nieletnich sierot.

Po załatwieniu wszystkich spraw w sposób jak najlepszy, Szczerba, przy pomocy żony, zapakował do dużych kufrów całą garderobę dzieci, oraz to wszystko, co im było potrzebne ze sprzętów domowych. Wyładował tem wygodną brykę kapitana i dzieciom miejsca w niej zabrać kazał. Żonę umieścił przy dzieciach, sam siadł

obok woźnicy. Nie zapomniano też o Wiernym, który ułożył się na dnie bryki, pod stopami swych małych przyjaciół, służąc im za miękkie oparcie.

Żegnani przez sąsiadów i licznych znajomych z rejentem na czele, żegnani łzami i sami łzy w oczach mając, przy najpiękniejszej czerwcowej pogodzie wyruszyli w drogę.

Konie biegły rażno, wesoło podrzucając łbami i parskając; Wierny przyjaźnie mrużył ślepie i machał ogonem; błękitu nieba ani jedna chmurka nie ćmiła. Wszystko zapowiadało podróż szczęśliwą.

Czarodziejska władza wiosny i młodości działała, że nawet w serca dzieci wstąpiła otucha, i smutne dotąd ich oczy żywszym strzeliły blaskiem. Z powodu długiej choroby matki, a potem sieroctwa ojca, prawie wcale domu nie opuszczały. Teraz, natłok nowych, coraz innych, tłumnie nasuwających się wrażeń wprowadził ich jakby w stan upojenia.

Zachwycali się każdą wioską, każdym kościółkiem, każdym mostkiem na rzeczulce, niemal każdym drzewem i każdym kamieniem, spotykany na drodze.

Do Warszawy mieli nie całe mil dziesięć, wlekli się jednak dzień cały. Czynili nieustanne popasy, a na każdym popasie konie musiały dobrze podjeść i »wytchnąć«; bryka była też pod-

dawana pilnym oględzinom, koła jej smarowane, szprychy wzmacniane, resory starannie czyszczone.

— To »skarbowe« — powtarzał z niezmierną powagą Szczerba. — Nieboszczyka pana kapitana praca i dorobek, szanować trzeba, oszczędzać...

Szczerbina ze swej strony z troskliwością więcej niż macierzyńską zajmowała się dziećmi. Zdawała się nie myśleć o niczem więcej, tylko o ich zdrowiu i wygodach. Wiozła ze sobą niezliczone torby i pudła, pełne wiktuałów, i nieustannie częstowała jakimś przysmakiem to chłopca, to dziewczynkę. W karczmach i zajazdach przydrożnych sama ogrzewała im przy kominie kawę i mleko, wiezione, obozowym obyczajem, w blaszanych manierkach.

Przy dzieciach dobrze się też działo i Wiernemu. Kiedyindziej przez miesiąc nie naogryzał się tyle kostek drobiu, co teraz często w ciągu kilku godzin. Dobre psisko na krok nie odstępowało swych paniąt. Pocziwy jego wzrok przenosił się nieustannie z Józia na Józię i z Józii na Józia, jakby zmyślne zwierzę chciało myśli ich wyczytać, życzenia uprzedzić.

Na popasach Szczerbina z nikim nie wdawała się w gawędę. Twierdziła, że w drodze najlepiej i najbezpieczniej: oczy mieć otwarte, usta zamknięte. Szczerba dodawał jeszcze: »uszy

nadstawione« — i dzięki temu zdobył niebawem wielkiej wagi nowinę.

Już na połowie drogi można było zauważyć niezwykle ruch na gościńcu, w karczmach, nawet na ulicach i placach mijanych wsi i miasteczek. Ludzie kupili się i o czymś żywo rozprawiali, energicznie rozkładając ręce i poruszając głowami.

Naogół wyglądało to tak, jakby tłum wiejski i miejski był rad czemuś i z czegoś się cieszył.

Jadący wymijali niekiedy niewielkie oddziały piechoty i jazdy, zmierzające w tę samą stronę, co oni. Za każdym z oddziałów ciągnęły wozy z bagażami wojskowymi, jakby udawano się na dłuższą wyprawę.

Widok polskich żołnierzy, uzbrojonych, dziarskich, śmiało i wesoło patrzących niebieskimi przeważnie oczami, obudził zapal w dzieciach kapitana. Kilkakrotnie, przy spotkaniu tych luźnych hufców, Józio stawał w bryczce i uniósłszy w górę kaszkiecik, krzyczał:

— Niech żyje wojsko!

Zapał udzielał się Szczerbinie. Dzielna kobieta, przypominając sobie swe czasy wiwandyerskie, wołała niskim, prawie basowym głosem:

— *Wif alarme! (Vive l'armée!)*

Wiarusy uśmiechali się, mrucząc:

— Bóg zapłać... Bóg zapłać...

W jednym oddziale znalazł się poważny wąż.

sał, widocznie z rezerwy powołany, który, wpatrzywszy się pilnie w Szczerbine, z uciechą wykrzyknął:

— *Bążur!* mamu Kundziu! A gdzie to wasz sztofik z gorzałeczką?

Pokraśniała eks-wiwandyerka, usta jej rozciągnęły się w radosnym uśmiechu.

— *Bążur!* kamrat! Napiłbyś się, co?

— Miarke z czubem siwuchy! Bułkę dwugroszową za grosz! Salcefiksu za trzy! Resztę z piąta!

— Bum!

Śmiała się aż do łez kobiecina, wykonywując próżnemi rękami ruchy nalewania i podawania. Wąsał również od śmiechu się zanosił.

Wesołość udzieliła się i dzieciom, które, klaszcząc w dłonie, powtarzały ze śmiechem:

— Salcefiksu!... Siwuchy!...

Aż wdać się w to musiał uosabiający powagę Szczerba. Szturgnął żonę w bok i upomniał:

— Do porządku, stara! Widzicie ją! »Przypomniało się babce, kiedy panną była«.

Wszystkich ten ruch wojsk i te narady tłumu zaciekawiały. Ale Szczerbowie nazbyt byli zajęci swą rolą opiekunów, aby mieli czas tracić na sprawy postronne. Ponieważ jednak, gdy się ma »uszy nadstawione«, zawsze coś w nie wpaść może, przeto na jednym z popasów Szczerba, zaszedłszy do karczmy po węgielek do fajki,

prócz ognia wyniósł z niej coś nierównie ważniejszego.

Wyniósł nowinę, którą natychmiast podzielił się z żoną swą i z dziećmi kapitana.

— Czy wiecie, moi państwo, co się dzieje? Francuz idzie na Moskwę!

Szczerbinę wstrząsnęła ta wiadomość do głębi. Przez chwilę milczała z otwartymi ustami; potem powieki jej szybko drgać zaczęły, i zabłysnęła w nich łza.

Jedną ręką chwyciła za ramię męża, drugą objęła dzieci i, trzęsąc się z wzruszenia, mówiła:

— To jest wielka rzecz! Dożyliśmy wielkiej rzeczy! Świat się odmieni, zobaczycie! Serce moje już to przeczuwało. I sny miałam przepowiednie! Och, mój Boże, Boże! czemuż to nasz pan kapitan tego nie doczekał!

Wierzchem dłoni otarła wilgotne oczy.

Dzieci rozplakały się cicho. Szczerba milczał, namarszczony, z obwisłymi białymi wąsami.

Po chwili odezwał się Józio:

— A nasi... czy także pójdą?

— Jakżeby! — rzuciła się Szczerbina. — Gdzie Neapolion, tam i Polacy. W wodę, to w wodę; w ogień, to w ogień; do piekła, to do piekła!

Chłopiec zwrócił się do siostry:

— A widzisz... Polska nie jest nasza, lecz Napoleona.

— To i cóż! — odparła dziewczynka. — I myśmy nie byli swoi, lecz swojego tatusia.

— Bośmy dzieci. A Polska to już nie dziecko.

Do sporu wtrąciła się Szczerbina.

— Daj Boże każdemu narodowi takiego pana i ojca, jak cesarz Neapolion. Lepszy on, niż rodzony.

Obruszył się Józio.

— Nie mówcie tak, matko Kundziu. Rodzono ojca nikt nie zastąpi!

Im bliżej, tem gęściej snuło się wojsko, tem tłumniej gromadzili się ludzie.

Słońce skryło się za chmury; cień rozpostarł się na polach i na gościńcu. W tym cieniu zsza-rzały barwy, wszystko przybrało postać mniej wesołą i mniej dziarską, niż rankiem, przy słońcu.

Już teraz na twarzach, prócz radości, widziało się niepokój. Zwłaszcza wieśniacy wydawali się zafrasowani; drapali się — swoim zwyczajem — w głowy i, w ziemię patrząc, bezradnie rozkładali ręce...

Wyszły też na jaw pewne niedoskonałości wśród spotykanych oddziałów jazdy i piechoty. Kawalerzyści mieli wprawdzie miny junackie, ale koniom sterczały często kości z pod skóry. Z piechotą było gorzej jeszcze: rzadko który miał tu buty całe; innym widać było gołe palce, niektórzy szli zupełnie boso...

Wieczór już był, gdy, wśród sporów, okrzy-

ków radosnych i poważnych rozmyślań, dojechano wreszcie do Warszawy.

Szczerba zatrzymał się na przedmieściu u krewniaka. Krewniak miał własny domek, a mieszkał w nim sam, jak palec, był bowiem starym beżżennikiem. Znał on i szanował kapitana Kalinowskiego, więc i jego dzieciom gościny i życzliwości nie odmówił.

Józia i Józię umieszczono w oddzielnym pokoiku pod opieką Szczerbiny. Na straży pod ich drzwiami położył się Wierny. Dzieci, które od wielu dni marzyły o stolicy, niezmiernie widoku jej ciekawe, złorzeczyły ciemnościom, kryjącym ją teraz przed niemi. Ale znużone całodzienną podróżą zasnęły prędko, o całym świecie zapomniawszy.

Z krewniakiem, zaraz po przywitaniu i opowiedzeniu celu swego przybycia, wdał się Szczerba w rozmowę *de publicis*. Ciekaw był wiadomości o wojnie, o roli, jaka w niej przypadła Księstwu Warszawskiemu, o ruchach armii polskiej i usposobieniu obywateli. Okazało się na nieszczęście, że krewniak, wyłącznie praktykom religijnym oddany, o żadnej z tych spraw nic a nic nie wiedział.

Co gorsze, nie należał bynajmniej do chwalców Napoleona i jego »Wielkiej Armii«.

— Francuzy — mówił, łysinę trąc i tabakierkę do długiego nosa przytykając — to far-

mazony... Matka Chrystusowa u nich — to nic; posty — fraszka; pacierz — głupstwo... Samem widział, jak szkapy do świątyń Pańskich wprowadzali, opłatkami one karmili... A ich cesarz, słyszę, Ojca Świętego przez żandarmów sprowadzał... Łaska Boża nie może być udziałem takich Filistyńczyków, pono też i na wojnie Pan Bóg ich odstąpi...

Zrządzenia starego odludka Szczerbera puszczał mimo uszu.

IV.

Nazajutrz, ledwie słońce wypłynęło na niebo i w kościołach ozwały się pierwsze sygnaturki, Wierny głóśnem szczekaniem obudził dzieci.

Na nowem miejscu i pies czuł się nieswój i niespokojny. O świcie na nogi wstawszy, obchodził cały dom, obwąchując wszystkie kąty. Polaził do stajenki, gdzie przy koniach spał parobek, obejrzał pilnie stojącą na podwórku brykę; wreszcie, gdy mu słońce gęste włosy zagrzało, wrócił, żeby powiedzieć dzieciom: »dzień dobry« i oznajmić, że ładna dziś pogoda.

Szczerba już nie spał. Zbyt wiele miał na głowie, aby mógł wylegiwać się w pościeli; przytem oddawna już, obyczajem żołnierskim i gospodarskim, o wschodzie słońca wstawać nawykł.

Jeszcze zatem mgły przedporanne snuły się po ulicach przedmieścia, gdy już oboje Szczerbowie z dziećmi, pośpiesznie zjadłszy śniadanie, udali się na mszę do poblizkiego kościoła.

Przed Józiem i Józią otwierał się nowy okres życia, okres ciemny, zagadkowy, może niebezpieczeństw i przeciwności pełny, jakże było nie zacząć go od Boga? Przytem, czyż mogły sieroty na progu nowego życia nie obejrzeć się za siebie, nie uczcić łąką i modlitwą drogich cieniów ojca i matki?

Zaraz po wyjściu z kościoła — choć ruch uliczny dopiero się zaczynał i w wielu domach okiennice były jeszcze zamknięte — Szczerba chciał biedz do księcia.

— Znam go dobrze — tłumaczył dzieciom i żonie. — Większy jeszcze słuźbista, niż nasz nieboszczyk pan kapitan. W obozie, ledwie pobudkę zatrąbili, już wychodził z namiotu, wyświeżony jak panienka i, fajeczkę paląc, z adjutantami swymi dowcipkował. Zaręczam, moi państwo, że i teraz już nie śpi.

— Ależ, panie Marcinie — przekładał chłopiec — tu nie obóz...

— To nic, panie Józiu. Żołnierz jest wszędzie żołnierzem.

Sprzeciwiła się mężowi i Szczerbina:

— Zawsześ w gorącej wodzie kąpany. Stary dziad, a skakaćby chciał, jak młodzik. Cóż to ty sobie myślisz? Czy tobie się zdaje, że do księcia idzie się tak prosto, jak do Szmula po świece, albo do Ryfki po obwarzanki? Nawet nie wiesz, gdzie ksiązę mieszka.

— Na końcu języka mieszka. Byłe dzieciucha spytam o księcia-wodza, to mi drogę pokaże. Gadaj sobie, co chcesz, a ja dzieci zabieram i idę. Pana Józia biorę pod prawą rękę, pannę Józię pod lewą, list w zanadrze i — marsz!

Szczerbina wiedziała, że sprzeciwianiem się nic z mężem nie wskóra. Więc uciekła się do fortelu.

— Ha, to idź! — pozornie się zgodziła. — Ale pośpieszaj, bo ksiązę ranny ptaszek... możesz go już na kwaterze nie zastać.

— Babskie gadanie! — zaperzył się Szczerba. — Ksiązę nie baba, co prosto z łóżka do kumoszek na plotki lata. I do południa z kwatery się nie ruszy.

Tu do rozmowy wmieszała się Józia.

— Jeśli tak — umizgnęła się do starego — to pozwól, kochany panie Marcinie, że jeszcze przedtem przejdziemy się trochę po mieście. Ja tak ciekawa jestem Warszawy!

Szczerba za wąsy się pociągnął, pomedytował:

— Więc ja wam powiem, moi państwo, jak będzie najlepiej — z powagą oświadczył. — Ja ruszę na rekonesans: wytropię księcia i języka dostanę. Wy tymczasem urządźcie sobie małą rewię i paradę. Potem wszyscy zejdziemy się z powrotem u krewniaka: ja relację zdam, zło-

żymy radę wojenną i obmyślimy na niej cały plan kampanii.

— Bum! — objawiła swą zgodę Szczerbina.

Zaraz też rozdzielili się. Szczerba pomaszerował do miasta krokiem równym, żołnierskim, nigdzie się nie zatrzymując. Dzieci wstąpiły do domu po Wiernego, który, zamknięty w pokoju, głośno się użalał na osamotnienie. Zabrano go ze sobą i wyruszono na oglądanie Warszawy.

Dzieciom, przywykłym do ciasnoty i nieporządków małego miasteczka, stolica wydała się na podziw wielką i piękną. Zdumione były długością jej ulic, wysokością wielopiętrowych domów i bogactwem kościołów.

Idąc ulicą Elektorálną od przedmieścia Wolskiego, myślały, że już ta ulica nigdy się nie skończy. Skończyła się jednak, i dzieci znalazły się przed pięknym, kratą żelazną otoczonym pałacem, o którym powiedziano, że się nazywa »Błękitny«. Stamtąd przeszły do ogrodu, od którego piękniejszym nie był chyba i raj, opisywany w Biblii. A przy tym ogrodzie wznosił się pałac olbrzymi, od »Błękitnego« kilkakroć jeszcze większy i wspanialszy. Szczerbina, dobrze Warszawę znająca, wyjaśniła, że ten gmach potężny zbudowali dla siebie królowie sascy i od nich nazwisko »Saskiego« otrzymał.

Wierny sprawiał z początku swym przyjaciółom wiele kłopotu. Niezależnie od wielu nie-

zaprzeczonych zalet, miał on tę wadę, że był źle wychowany. W miasteczku nabrał różnych złych przyzwyczajęń, do których należało na przykład oszczekiwanie każdego Żyda i chwytanie go zębami za chałat. W Warszawie to nie uchodzi, więc gdy pies tego i owego Izraelitę wytarmosił, wszczął się gwałt, zbiegły się inne Żydy i chciano całą trójkę wraz z Wiernym do »kordygardy marszałkowskiej« ciągnąć.

Wymowa przebiegłej wiwandyerki zapobiegła nieszczęściu. Wierny został wzięty na sznurek, przyczem Szczerbina wygłosiła doń energiczną orację, posiłkując się przy niej kułakiem i piętą. Pies uszy stulił i zachowywał się już odtąd jak baranek.

W mieście panowało nadzwyczajne ożywienie. Środkiem ulic, a często i chodnikami, przeciągały nieustannie mniejsze i większe oddziały wojska; konni posłańcy w różnych kierunkach przebiegali miasto; w otwartych kawiarniach widać było pełno ludzi, obsiadano też tłumnie ławki ogrodowe, czytając gazety i żywo rozprawiając.

Na Przedmieściu Krakowskiem dzieci uczuły nagle, że im ziemia drży pod stopami. Powodem tego były wielkie działa, które przetaczano na wyboistym bruku, po kilkadziesiąt koni do każdego zaprzągłszy. To znów zadziwił je głośny, choć wolny, tętent kopyt końskich, i ujrzały

jakby całą stadninę, prowadzoną luzem przez żołnierzy. Kiedy indziej zatrzymał je w miejscu widok długiej karawany wozów, sianem i słomą naładowanych.

Roziskrzzone oczy Szczerbiny wyrażały nadzwyczajne, radosne wzruszenie. Policzki jej, zwykle czerwone, przybrały barwę buraczkową. Uśmiechała się do dzieci, powtarzając co chwila:

— Wojna, moje robaczki... wojna! Bum!

Było blisko południe, gdy dzieci, znużone i głodne, powróciły do dworku na przedmieściu. Stary Szczerba już się tam znajdował i stał przy drzwiach, jak szyldwach, niecierpliwymi ruchami rąk nagłąc gromadkę do pośpiechu.

— Marudery!... Ciury!... — wyzywał spóźniających się, kierując swój gniew głównie przeciw żonie. — Wyszłaś z trybu, moja stara, lederwerki tobie czyścić, bieliznę łątać, a nie rekrutami dowodzić!

— Pardon, panie komendancie! — salutowała z ironią Szczerbina. — Trudno mi dotrzymać kroku takim, jak wasan, młodzikom. Zresztą przeciw służbie nie wykroczyłam. Jeszcze na obiad nie trąbiono, a ja już ze swymi rekrutami jestem na stanowisku.

— Nie dysputować, do stu par...

— Dziurawych rajtuzów! — dokończyła ze śmiechem kobieta.

Zaczęły śmiać się i dzieci, i w pogodnem

usposobieniu wkroczo do dworku, gdzie już krewniak oczekiwał gości ze skromnym obiadem.

Rozławszy dzieciom barszcz dzieżny na talerze, Szczerbina przysunęła się do męża, lekką »sójkę« w bok mu wymierzyła...

— Cóż tak rozsierdziłeś się, mój stary? Wi-
dać, z rekonesansem źle poszło. Gdzież raport?

— Raport krótki... — mruknął nadąsany
Szczërba, za wąsy się ciągnąc. — Księcia-wodza
w Warszawie niema. Wyprawa nasza wzięła
w łeb, i kwita.

— Hola! A to co za gadanie! — wykrzyk-
nęła zaperzona kobieta. — Właśnie, że wcale
nie kwita. Księcia niema dziś, to będzie jutro;
a nie jutro, to pojutrze.

— Myślę, że nie ujrzelibyśmy go tu i za ty-
dzień... — zaprzeczył wciąż zły wojak.

— Cóż to? do Paryża wyjechał? do Ame-
ryki? — może na księżyc?...

— Iiii — machnął ręką Szczërba — tak da-
leko, to nie. Książę-wódz pojechał sobie do Puł-
tuska.

— Wielkie mi rzeczy! Czyż to Pułtusk za
górami? Znam go, jak zły szeląg: z Francu-
zami tam byłam w osiemsetnym siódmym. Nie
będzie stąd więcej, jak mil siedem, osiem.

Musnęła wierzchem ręki górną wargę, na
której jeżył się spory wąs siwawy. Ruch ten

oznaczal u niej powzięcie niezłomnego postanowienia.

— Pojechał książę do Pułtuska — z mocą oświadczyła — to i my do Pułtuska pojedziemy!

Szczerba znów ręką machnął i, ujawszy łyżkę, do jedzenia się zabrał, na żonę zaś rzucił wzrok, który mówił:

— O tem potem...

Przy obiedzie Józio odezwał się do siostry:

— Chcesz jechać do Pułtuska?

— Choćby i dalej! — energicznie potwierdziła.

— Nie boisz się?

— Czego? W Pułtusku ta sama Polska i ci sami Polacy, co w Warszawie i w naszym miasteczku. A choćby nawet byli tam i wrogі, odwagiby mi nie zbrakło. Alboż nie mam przy sobie dzielnego pana Szczerby i kochanej matki Kundzi? Alboż nie jestem córką kapitana Kalinowskiego?

Taki zapal błyszczał w jej oczach i tyle prawie męskiej energii malowało się na twarzy, z której dziwnie podobna była do ojca, że stary wytrzymać nie mógł, by nie wstać i rąk jej nie ucałować. I Szczerbina wpół ją objęła, ściskając i okrywając pocałunkami, jak córkę.

Po obiedzie Szczerba wziął żonę na bok i długo się z nią naradzał. Skutek narady był ten, że

postanowiono następnego dnia wyruszyć za księciem do Pułtusza.

Powiedziano o tem dzieciom, które przyjęły wiadomość z radością. Dowiedziały się zarazem, że tę podróż odbędą nowym, wygodniejszym pojazdem, bryka zaś zostanie sprzedana.

Żał im było pamiątki po ojcu, ale zgodziły się z konieczności. Bezgranicznie zresztą ufały dobremu sercu i praktyczności obojga swych opiekunów.

Szczerba z krewniakiem wyszli na miasto szukać zarazem nabywców i sprzedawców. Naschodziło się niebawem dużo żydowstwa, bryka wszakże została sprzedana nie im, lecz intendturze wojskowej, która się właśnie we wszelkie pojazdy zaopatrywała. Szczerba twierdził, że kapitanowi przyjemnie będzie na tamym świecie, gdy swój sprzęt ulubiony ujrzy w rękach właściwych.

Trudniej poszło z nabyciem nowego ekwipażu. Na poszukiwaniu go pół dnia bez skutku zmitrężono. Dopiero nazajutrz rano jeden z faktorów przybiegł z wiadomością, że piękny pojazd nabyć można u pewnego wielkiego pana, który odbywał nim zwykle podróże do swych dóbr na Litwie, w tym zaś roku wycieczki tej zaniechał, gdyż zanosło się tam na burzę.

Na oględziny ekwipażu udano się z dziećmi.

— Ależ to prawdziwa arka Noego! — wy-

krzyknął Józio na widok wielkiego pojazdu z nakryciem płóciennem, podobnego razem do żydowskiej »frachty« i do bryki cygańskiej. To podobieństwo było zresztą tylko powierzchowne: pojazd był w rzeczywistości nierównie mniejszy i zgrabniejszy, niż tamte wehikuły. Dzieciom bardzo się podobał, Józio tylko zauważył, że w takich »arkach« jeździ się nie do Pułtuska, lecz nieskończenie dalej, bo aż... na szczyt Araratu.

— Ba! — mruknął pod wąsem Szczerba — toć i za Pułtuskim są drogi, któremi ludzie jeżdżą.

Targu dobito, i pojazd, nazwany przez dzieci arką, konie kapitana zawiozły do dworku na przedmieściu.

Szczerba jeszcze jeden zrobił nabytek: kupił silnego, zapaśnego konia, który, przywiązany z tyłu arki, miał zastępować kolejno dawne konie, gdy się nazbyt zmęczą.

Słowem, czyniono do podróży takie przygotowania, jakby Pułtusk leżał nie o siedm, lecz co najmniej o siedmdziesiąt mil od Warszawy.

V.

Ważne były powody, dla których, w czerwcu 1812 roku, dzieci kapitana Kalinowskiego, przybyłe do Warszawy dla widzenia się z księciem Józefem Poniatowskim, nie zastały go w jego pałacu »pod Blachą«.

Książę, z rozkazu Napoleona, wyruszył na wojnę, którą cesarz Francuzów wypowiedział cesarzowi Rosyi.

Okazało się, że słusność miał Józio, gdy dowodził siostrze, że Polska nie jest nasza, lecz Napoleona, i że Fryderyk August, zarządzający tak zwanem »Księstwem Warszawskim«, jest tylko zastępcą, pełnomocnikiem — może nawet wyższego stopnia sługą — cesarza francuskiego.

Józio powtarzał zdanie, wygłaszane nieraz przez świętej pamięci ojca. Kapitan z niedowierzaniem zapatrywał się na Księstwo i na jego twórcę. Zgadzał się w tym względzie ze swym dawnym jenerałem, Kościuszką, któremu rów-

nież szczerść i dobra wola Bonapartego wydawały się zawsze podejrzanemi.

Ale ludzi, podobnie myślących, bardzo mało było wówczas w Polsce i na Litwie. Dla ogółu, Napoleon był bożyszczem. Olbrzymia większość widziała w nim wysłańca Bożego, który ma wskrzesić, odrodzić i znów w jedną całość spoić nasz kraj, trzema rozbiorami rozdarty.

Polska, choć pozornie z listy narodów żywych wykreślona i do grobu zamknięta, nie przestawała niepokoić i wzruszać ówczesnych władców Europy. Miłościwe oko zwracał na nią i cesarz Aleksander I. Dobry, czuły, szlachetnie i poetycznie myślący monarcha, przemysliwał również o wskrzeszeniu Polski, ale pod opieką i godłem rosyjskiego, dwugłowego orła. Zapominał, niestety, że niedawne wydarzenia dziejowe uczyniły Polaków podejrzanymi.

Głosować za unię z cesarstwem rosyjskiem było to: płynąć przeciw wodzie. Pewna liczba obywateli, i to patryotów niepowszednich, skłaniała się ku Aleksandrowi; musieli oni wszakże z przekonaniem swemi kryć się i zwolenników tylko drogą tajemną pozyskiwać, aby ich zdrajcami kraju nie okrzyknięto. Napoleon tymczasem swe wynurzenia miłości i obietnice wypowiadał głosem donośnym, który się po całej Europie rozlegał. Polacy słuchali tych słów z sercami, przepełnionemi zapalem, rozrzewnieniem i wdzię-

cznością, jak słuchają kalecy i nędzarze czarodzieja, który zapewnia, że ich uczyni zdrowymi i bogatymi.

I jakże zresztą mogło być inaczej, gdy on zapewniał Polaków, że nawet ta wielka wojna, ta prawdziwa »walka olbrzymów«, do której stawały niemal wszystkie narody europejskie, przedsięwzięta została w tym głównie celu, aby Polakom niepodległość przywrócić!

W Dreźnie, gdzie cesarz przebywał bezpośrednio przed rozpoczęciem kroków wojennych, Napoleon nie wahał się głośno oświadczyć, że rozpoczęta kampania ma nosić miano »drugiej wojny polskiej«, albowiem toczyć się ma przede wszystkim w interesie Polski i Polaków.

Do swoich, do zaufanych, wyrażał się o tem inaczej. Nie taił, że sprawą polską posługuje się jako straszakiem na Aleksandra i że głównie, a może wyłącznie, idzie mu o to, aby »całą Polskę wsadzić na koń« i wraz ze swoją armią na Rosyę rzucić.

O tem, że kraj jest biedny, wojnami wyniszczony, osłabły, że brak mu pieniędzy, ludzi, oświaty, koni i prowiantów, nie myślał. Nic go to nie obchodziło. Gdy wojnę toczył, skrupuły tego rodzaju nie istniały dla niego. Nazywano go »bogiem wojny«, a któryż z bogów, pogańskich naturalnie, liczy się ze łzami i skargami śmiertelnych?...

Ubogiemu skarbowi Księstwa kazano wypłacić sześć milionów złotych na cele wojenne... Skarb zawiesił inne, najpilniejsze nawet, wypłaty i sumę żadaną złożył. Do sypania wałów i wznoszenia fortyfikacyi w Modlinie zażądano dzieśięciu tysięcy ludzi... Rzemieślnicy zostali odcierwani od warsztatów, włościanie od roli, i zastęp dzieśięciotysięczny stanął do rydlów, łopat i kielni. Rozpisano nowy pobór do wojska, zlecono powiększyć każdą kompanię o dwudziestu ludzi... Pośpieszyli zewsząd ochotnicy, i kraj wprowadzie opustoszał, ale »wielka armia« jeszcze większą się uczyniła.

Ostatniej kropli krwi nie żałowanoby na »drugą polską wojnę«. A tę wojnę nawet w przemowie do wojska cesarz zapowiadał.

— Żołnierze! — mówił — rozpoczynamy drugą polską wojnę. Pierwszą zakończyły: Friedland i Tylża. W Tylży Rosya zaprzysięgła wieczny sojusz z Francją i Anglią. Dziś łamie ona swe przysięgi... Rosyę pociąga w przepaść jej przeznaczenie, losy jej spełnić się muszą!

Księstwo Warszawskie wystawiło 70.000 żołnierza, liczbę ogromną w stosunku do szczupłej ludności obciętego sromotnie kraiku. Napoleon podnosił jeszcze tę cyfrę w rozmowie z posłem rosyjskim, któremu chciał strachu napędzić.

— Mam dziś — wykrzykiwał — siedmdziesiąt

tysięcy zbrojnych Polaków. Wkrótce będę ich miał sto tysięcy. A gdy zechcę, wsadzę na koń — całą Polskę!

Pierwszy jednak uląkł się tej skupionej siły polskiego oręża... Wiedział o zabiegach cesarza Aleksandra w celu przeciągnięcia Polaków na stronę rosyjską; obawiał się wpływów księcia Adama Czartoryskiego, który miał w Polsce wielu sojuszników, był zaś przyjacielem i doradcą cesarza rosyjskiego, może nawet domyślał się, że ksiązę Józef kuszony jest przez Rosyan, aby sprawę jego porzucił...

Dość znał księcia, aby wiedzieć, że pokusę stanowią tu mogła tylko obietnica uszczęśliwienia jego narodu; zarazem jednak znał go za mało, jeśli przypuszczał, że ksiązę zdolny za jakąkolwiek cenę złamać przysięgę żołnierską!

Cokolwiekby, zanim jeszcze polskie zastępy zmierzyły się z nieprzyjacielem, już Napoleon dokonał częściowej ich porażki. Głównego dowództwa nad armią Księstwa nie oddał Poniatowskiemu, choć mu się ono ze wszech miar należało; następnie rozbił tę armię na części, które wcielił do innych korpusów.

Przy księciu Józefie pozostało tylko 30.000 polskiego żołnierza, a i z tej okrojonej cyfry jeszcze trzecią część, przez Dąbrowskiego dowodzoną, cesarz do innych działań przeznaczył. Sam ksiązę nie został samoistnym wodzem tej nawet

częstki, oddano go bowiem pod komendę króla westfalskiego, Hieronima, brata Napoleona.

Cierpieć na tem musiała miłość własna księcia; cierpiało stokroć więcej jeszcze jego serce, odgadujące, że fałszywa polityka cesarza wyrządzi wiele złego sprawie polskiej, więcej zaś jeszcze — francuskiej.

Król westfalski był człowiekiem ograniczonym, a jednocześnie zarozumialcem i pyszałkiem. Rzemiosła wojennego nie znał, na własny plan działania zdobyć się nie umiał; myślał tylko o zabawie i wygodach osobistych. Do szczęścia wystarczało mu: ubierać się w bogaty mundur, dosiadać pięknego konia i przejeżdżać przed szeregami, które broń prezentowały. Nie lubili go żołnierze, lekceważyli oficerowie. Gdy jeszcze na kilka miesięcy przed wojną bawił w Księstwie, oburzył na siebie i rozgniewał wszystkich obywateli, z którymi miał stosunki. Wyzyskiwał ich bez miłosierdzia, poniewierał, gnębił, słowem, poczynił sobie w Polsce, jak w nieprzyjacielskim, zawojowanym kraju.

I takiego człowieka słuchać miał, jako zwierzchnika swego, ksiązę Józef, uosobienie szlachetności, rycerskości i prawdziwie arystokratycznego wykwintu!

W dodatku, biedny ksiązę przebył niedawno ciężką chorobę, która zdrowie jego, dotąd żelazne, silnie podkopała.

Wszystko to było powodem, że wyruszał na pole bitwy bez zwykłego sobie animuszu. Dręczyły go złe przeczucia; smutny był i osowiały.

Przed samym wyjazdem napisał testament, w którym szczegółowo rozporządzał całym swym mieniem. Jak prawdziwy żołnierz-rycerz, który poza służbą w każdym nawet szeregowcu widzi równego sobie towarzysza broni, nie zapomniał w testamencie o swych podkomendnych. Gażę, jakaby mu się w chwili zgonu należała, przeznaczał dla wojska, życząc mu wszystkiego dobrego i prosząc, aby raz jeszcze, na jego intencję, po dobrej miarce wypilo...

Gdy Szczerba wczesnym rankiem zgłosił się do pałacu »pod Blachą«, służba odprawić go chciała z kwitkiem, mówiąc tylko, że księcia pana niema w domu. Ale energiczne ściągnięcie brwi i śmiała, żołnierska postawa przekonały lokajów, że nie mają przed sobą zwykłego miejskiego natręta.

Do starego wiarusa wyszedł równie sędziwy, kamerdyner księcia, już prawie na łaskawym chlebie będący, i na stronę go odwiódłszy, objaśnił poufnie, że księcia w domu nie tylko niema, lecz i długo jeszcze nie będzie.

— Dokądże, a przynajmniej: w którą stronę, wyjechał? — badał Szczerba.

— Tego nam nie powiedziano. Służbie, proszę asindzieja, o takich rzeczach wiedzieć nie trzeba.

Ale jeśli asindziejowi wiele na tem zależy, to zrobisz najlepiej, jadąc za księciem do Pułtuska.

— Czy go tam zastanę?

— Tego ja, proszę asindzieja, wiedzieć nie mogę. Sponuję wszelako, że w Pułtusku książę pan dłużej gościć będzie. Toć nie sam pojechał, kupa konnego i pieszego żołnierstwa, a także wozów cały tabor, za nim pociągnęły. Zresztą, sam asindziej kalkuluj, jak ci będzie lepiej.

Poczęstowali się starzy tabaką i rozeszli.

Szczerba wykalkulował, że kupić trzeba nową, mocną brykę i za księciem jechać — tymczasem — do Pułtuska.

VI.

»Arka« okazała się pojazdem przewybornym i do dłuższej drogi niezrównanym. Była tak długa, że dzieci mogły w niej leżeć i spać, jak w łóžeczkach. Wygodne siedzenia mieli też oboje Szczerbowie, i stary wiarus nie potrzebował już trząść się na twardym koźle obok woźnicę.

Co do Wiernego, występować on mógł teraz w swej przyrodzonej roli domowego stróża. Z tyłu pojazdu znajdował się przedział, w którym umieszczono łomoki podróżne — na tych łomokach wylegiwał się pies, strzegąc ich od złodzieja.

Rozciągnięte nad całą arką płótno, zabezpieczało od słońca, deszczu i wiatru. Już w pierwszej podróży doświadczyli jadący dobrodziejstw tej zasłony. Pogoda tego dnia była zmienna, to słońce przypiekało, to deszcz przepadywał, dzieci wieleby ucierpiały, jadąc bryką odkrytą.

Dopiero późnym wieczorem przyjechano do Pułtuska. Arka zatrzymała się przed domem za-

jezdnym, który, modą francuską, powszechnie w kraju panującą, nazwano »hotelem«.

Zaledwie konie w miejscu stanęły, ktoś uchylił płótna, do środka wsunęła się głowa w jarmułce, z brodą i pejsami.

— Państwo skąd? Państwo dokąd?...

W odpowiedzi, groźnie zawarczał Wierny, wysuwając ponad głowami dzieci wielkie, kuldate łbisko. Zwąchał Izraelitę, do tej zaś rasy stałą żywił nienawiść.

Żyd cofnął się, płótno opadło.

— Mojsie! — zawołał Szczerba, w którego przekonaniu wszyscy synowie Izraela nosili imię Mojżesz. — Chodźno bliżej.

— A czy ten niedźwiedź aby na łańcuchu? — dopytywał lękliwie Żydek.

Zabawiło to Józię, która głośno śmiać się zaczęła.

— Niech się kupiec nie boi! — rzekła, uchylając zasłony (dla niej każdy Izraelita był kupcem). — To nie jest wcale niedźwiedź. To nasz Wiernuś, pocziwe psisko, które dobrym ludziom krzywdy nie robi.

A ponieważ pies nie przestawał pomrukiwać, obróciła się doń z napomnieniem:

— Leżeć, Wierny! Cicho! Ani mru-mru!

Pies schował łeb i zamilkł.

Żyd krokiem ostrożnym przysunął się do bryki.

— Jestem faktor. Może państwo czego potrzebują? — zalecał swoje usługi.

— Słuchajno, Mojsie — rzekł Szczerba, wyśiadając — gdzie tu kwatera księcia jenerała?

— Jednerała? — zadziwił się żyd, nie zgadując, o kogo chodzi.

— Gdzie stoi książę, głównodowodzący armią?

— A! Poniatowskies! Un wcale nie stoi. Jemu tu już niema. Un jeszcze przedwczoraj poleciał stąd na łeb, na szyję, jak waryat...

Zasmuciła dzieci usłyszana wiadomość. — Szczerba poprzestał na spokojnem zapytaniu:

— Dokąd pojechał?

Żyd głową kręcił.

— Aj, aj! Pan jeszcze o to pita! Pan jest bardzo dziwny. Dokąd z Pułtuska można jechać? Tylko do Ostrolenka.

Szczerba pociągnął w dół białe wąsiska.

— Ha! To i nam wypadnie jechać do Ostrołęki...

— No, mój stary — wtrąciła Szczerbina — w każdym razie nie zaraz. Moje robaczki zmęczone i głodne, wpierw muszą podjeść sobie i wypocząć.

— To się wie, moja Kundziu; to się wie!

Arkę wtoczono na dziedziniec zajazdu, gdzie pozostała na noc pod strażą woźnicy i Wiernego. Szczerbina rozgościła się z dziećmi w izbie hotelowej.

Przywołano faktora, któremu Szczerba kazał postarać się o siano i owies dla koni.

— Aj! — poskrobał się Żyd w głowę — to będzie całkiem ciężki interes.

— Zwaryowałeś? Mówię ci, że chcę zwyczajnego siana i zwyczajnego owsa.

— Co pan wie! Teraz akurat i siano i owies są całkiem nadzwyczajne...

— Dlaczego?

— Pan sze pita? Pan jest doprawdy bardzo dziwny człowiek. To pan nie wie, co teraz wojna? A na wojnie to jest dużo koniów, a każdy koń żre dużo obrok, a sieczki to on żreć nie chce... On potrzebuje żreć, dużo dobre siano i dużo dobry owies.

— Więc cóż stąd?

— Stąd jest to, że dziś u nas łatwiej pożywi się człowiek, niż koń. Te sierżanty, co tu byli, kaprale i inne jednerały, całego furazu wykupili. A jak który nie mógł kupić, to, z przeproszeniem... pożyczył.

— Więc jakże, do stu par...

— Dziurawych rajtuzów... — dopowiedziała krzątająca się po izbie Szczerbina.

— Więc cóż będzie — kończył stary — z moimi końmi?

Faktor uśmiechnął się, oko przymrużając.

— Niech uni na ten raz położą się spać bez kolacyi. To im będzie zdrowo.

Szczerba wpadł w pasyę. Korciło go Żyda za pejsy pociągnąć. Zapobiegła temu w porę Szczerbina. Wierzchem ręki górną wargę otarła i rzekła:

— Mój Aronku! (dla niej znów wszyscy żydzi byli Aronkami), cóż to za wydziwianie? Siano nie szabasowy »łokszyn«, a owies nie szczupak faszzerowany!

Żyd nie przestawał powieką zabawnie mrugać.

— To jest wielka prawda, i to jest wielkie szczęście. Bo, żeby tak było, toby my całkiem nie mogli ani łokszyn pić, ani szczupak jeść.

— Więc gadaj — przerwał mu wojak — po ile żądasz za owies i za siano?

Żyd półgłosem wymienił cyfrę.

— Co? — wykrzyknął Szczerba. — Ależ to cena dwa razy od zwyczajnej wyższa! I ty, Mojsie, myślisz, że ja ci tyle zapłacę?

— Ha, ha, ha! — sucho zaśmiał się faktor. — Ja myślę, co pan musi tyle zapłacić. Ale to tylko dziś, i tylko w Pułtusku...

— A jutro? a gdzieindziej? — wtrąciła Szczerbina, jak wszystkie kobiety, ciekawa.

Żyd poprawił jarmułkę, jeden z pejsów dookoła palców okręcił.

— Jutro... — tonem wyroczni rzekł — jutro wasani zapłacisz trzy, albo cztery razy więcej. A potem... potem będzie jeszcze gorzej.

— Jeszcze gorzej? Pleciesz, jak waryat, mój Aronku. Dlaczego ma być gorzej?

— Dlatego, proszę wasani, że już za żaden pieniądz ani owies, ani siano nie dostanie.

Józia, z uwagą przysłuchująca się rozmowie, nie mogła wytrzymać, aby nie spytać:

— A cóż będzie z końmi, mój kupiec?

— Czy ja mogę wiedzieć, proszę panienki! Może uni wyzdychają, a może... nauczą się gryźć starych miotłów, jak nasze żydowskie kozy... Więc jakże? — do Szczerby się zwrócił. — Czy mam dla wasana koniów przynosić obroku?

— Tak, ale nie za taką złodziejską cenę.

— Za inną — zadrwił żyd — to mogą kunie wasana najeść się z wodą i napić z powietrzem!

Szczerba już nie był w stanie opanować pasyi. Chwycił faktora za ramię i za drzwi wyrzucił.

Ale nie upłynęły trzy minuty, a wybiegł na schody i przywołał go z powrotem.

— Idź i kup — rzekł krótko, wręczając mu pieniądze.

Faktor obojętnie wziął pieniądze i wyszedł.

W kwadrans później wygłodzone koniki chrupały owies, przegryzając go sianem; Żyd zaś, kładąc poufale rękę na ramieniu Szczerby, powtarzał:

— Ja wasana mówię: kup wasan tera tyle siano i tyle owies, co się tylko na brykę zmieści. Powiesz potem wasan: — Niech Pan Bóg da temu Noskowi — bo ja się nazywam Fajwel Nosek — zdrowie i dużo pieniędzy...

Stary znów się rozsierdził i chciał Żyda ofuknąć. Ale tylko splunął i poszedł do żony na radę.

Wynik rady był ten, że arkę obciążono kilkoma świeżymi, ciężkimi worami owsa, a sianem wypchano wszystkie próżne w niej miejsca.

VI.

Nazajutrz dzieci obudziły się wcześniej, choć pocziwa ich opiekunka na palcach chodziła, chcąc, aby się dobrze wyspały i wypoczęły.

Ubrawszy się, pobiegły zaraz do okna, jak to zawsze czyniły, znajdując się w obcym miejscu.

Z okna widać było plac obszerny, a po jego prawej stronie most na wązkiej rzeczulce. Powiedziała im Szczerbina, że tędy przepływa tylko odnoga Narwi, sama zaś Narew płynie pod miastem i jest bardzo szeroka.

Na placu i na ulicach, które stąd wychodziły, snuło się mnóstwo ludzi; dzień bowiem był targowy. Najwięcej było chłopków, którzy przybywali w wysłanych słomą »drabkach«, zaprzężonych w małe, różne koniki, sami zaś mieli sukmany siwe, a czapki granatowe, wysokie, kształtu konfederatek. Równie gęsto uwijali się Żydzi, brodaci, pejsaci, w czarnych, z szerokimi skrzydłami, kapeluszach, w rozwianych chała-

tach, z pod których wyglądały ich. obrzędowe sznurki, oraz białe, brudne pończochy. Wojskowych nie widziało się wcale: wszyscy za księciem na Północ pociągnęli. Za to, co chwila niemal, ukazywał się w tłumie to ksiądz świecki, to zakonnik; oprócz bowiem kapituły i seminarium duchownego, były tu klasztory: Benedyktynów i Reformatów.

Słońce ładnie świeciło, konie ochoczo parskwały, gromady wróbli unosiły się nad placem, porywając chciwie rozsypane ziarnka owsu, do uszu dzieci dochodziła wrzawa zmieszanych rozmów i śmiechów. Przyjemnie było i wesoło.

— Czy bardzo żałujesz, żeśmy księcia w Warszawie nie zastali? — pytał Józio.

— Wcale nie! — wyznała dziewczynka. — A ty?

— O! ja to się z tego cieszę serdecznie. Tak lubię przypatrywać się nowym miejscom, nowym ludziom! Zdaje mi się, że oglądam ładną książkę z obrazkami....

— Pewnie już w Ostrołęce księcia dogonimy?

— Hm... hm... hm...

— Co tam mruczysz, Józiu?

— Nic... Myślę tylko, że książkę ma lepsze konie od naszych.

— Martwi cię to?

— A ciebie?

Spojrzeni sobie w oczy i śmiechem wybuch-
nęli...

Zaraz po śniadaniu Szczerba naglił, aby je-
chać. Ale na prośbę dzieci żona prosiła go
o wstrzymanie odjazdu »choć na godzinę«.

— Niech robaczki na miasto wyjdą, nóżki
sobie rozprostują... Siedziało to wczoraj cały
dzień bezmała, nie ruszając się jak te figurki
na słupach.

Zmarszczył się Szczerba i za wąsiska po-
ciągnął, ale koni zakładać jeszcze nie kazał.

Dzieci udały się ze Szczerbiną na miasto.
Przeszły most, potem kilka wązkich, lecz ładnych
ulic i uliczek, wstąpiły po drodze do kościoła
Benedyktynów, dawniej Jezuitów, i przez ciche
Kanonie, obok wspaniałej kolegiaty, dostały się
na wielki, piękny rynek pułtuski.

Bardzo im się podobał stojący na środku
ryнку stary ratusz z nie tynkowaną, ciemno-czer-
woną, ostrosłupową wieżą; wpadły zaś w za-
chwył prawdziwy na widok zamku biskupów
płockich, który kształtem podkowy rozsiadł się
na dość wysokiej, sypanej górze, otoczony do-
koła ogrodem, pełnym rzadkich kwiatów i prze-
pysznych owoców, przeglądał się zaś od strony
wschodniej w błękitnych falach Narwi.

Ogrodnik księdza biskupa, czerstwy, wesoły
staruszek, zaprosił dzieci do ogrodu, ofiarował
im ładne bukiety i napełnił kieszenie smacznymi

owocami. Potem w gawędkę się wdał ze Szczerbina...

Przedmiotem gawędki byli Francuzi, bo niczem się teraz cała Polska nie zajmowała, tylko Francuzami.

— Byli ci ichmoście i u nas, a jakże! — mówił ogrodnik, zanurzając dwa palce w tabakierce i podsuwając ją Szczербinie. — Jego przewiełebność na obiad ich zaprosił, a jakże! Żarli, jak, nie przymierzając, wieprze, pili, jak baki, a po obiedzie wszystko srebro ze stołu do swoich kieszeni schowali, a jakże!

Eks-wiwandyerka tabakę zażywała, uśmiechając się i głowę kiwając w różne strony, tak że nie można było zgadnąć, czy przytakuje, czy przeczy. Ale gdy ją dzieci później wypytywały, przyznać musiała, że tak było rzeczywiście.

— To tacy są panowie Francuzi! — zawołał z rozczarowaniem Józio. — Inne ja miałem o nich pojęcie.

Szczerbina starała się sprawę załagodzić.

— Widzicie, moje robaczki, w wojsku, choćby i między oficyerami, różny trafia się naród... Przytem oni mówią, że na wojnie wszystko uchodzi.

— A czy to oni z nami wojują?! — oburzył się Józio.

— Nie z nami, ale za nas.

— To jest wielka różnica, mamó Kundziu, bardzo wielka różnica! Nasz Sobieski pod Wiedniem brał łupy Turkom, lecz Austryaków nie grabił...

— Bóg z nimi... moje dziecko... Bóg z nimi!

Za powrotem znaleźli arkę, stojącą już przed zajazdem, we wszystkie trzy konie zaprzężoną i zupełnie do drogi gotową. Wybiegł na ich spotkanie Wierny, którego nie wzięli ze sobą z uwagi na wielką ilość kręcących się po mieście Żydków. Choć on nibyto przyrzekał, że już synów Izraela pozostawi w spokoju, nie można było mu dowierzać. Dzieciom zdarza się często nie dotrzymywać przyrzeczeń, cóż dopiero psom!...

Szczerba, swoim zwyczajem, nagderał na spóźniających się, maruderami i ciurami ich nazywał — udobruchał się jednak wkońcu i, gdy bryka z miejsca ruszyła, podśpiewywać sobie zaczął marsza Kościuszkowskiego.

Przy pięknej pogodzie, droga, urozmaicona licznymi popasami, wydawała się dzieciom dziwnie krótką. Ani się spostrzegły, gdy, minawszy kilka stacyi pośrednich, znalazły się, przy zachodzącym słońcu, na rynku ostrołęckim.

O księcia Józefa nawet pytać nie potrzebowano. Zupełna nieobecność wojskowych przeko-

nywała dostatecznie, że w mieście niema nie tylko głównego wodza, lecz nawet żadnego z niższych oficerów.

Z rezygnacją przyjął to Szczerbera; dzieci zaś trąciły się łokciami i znacząco do siebie roześmiały.

Arka wjechała do domu zajezdneho na rogu rynku i jakiejs pięknej, drzewami wysadzonej ulicy, gdzie mieściła się cukiernia, z wyłaczanym nad drzwiami, modnym tytułem: *Confiserie*.

Dzieci, nie czekając nawet wieczerzy, rzuciły się do otwartego okna. Zaciekawiała je w najwyższym stopniu wielka ryba blaszana, srebrzyście połyskująca na szczycie wieży, na przeciwnym rogu.

Szczerbina objaśniła, że budynek z wieżą jest ratuszem, a wykręcająca się w prawo i w lewo ryba — wietrznikiem, pokazującym kierunek wiatru.

Dzieci były zachwycone rybą i wogóle wszystkim, co im podróż przed oczy nasuwała. Miasteczko, w którem upłynęły im lata dziecinne, było tak małe i tak całkowicie wszelkiej rozmaitości pozbawione! Teraz co krok, co chwila, spotykały coś nowego, co je zaciekawiało i wzruszało.

Ze strachem myślały o chwili, gdy księcia znajdą i gdy ta podróż czarowna, którą Józio tak trafnie przyrównał do oglądania ślicznej

książki z obrazkami, skończy się, ustępując miejsca powszedniemu, jednostajnemu trybowi życia.

Gdy Szczerbina, nakarmiwszy swych wychowalców, urządziła dla nich jak najwygodniejszy nocleg, mąż jej wyszedł na ulicę języka zasięgnać.

Dowiedział się już teraz napewno, że książę Józef podąży na Litwę, aby się połączyć z ciągnącą tamtędy armią Napoleona i oddać korpus swój pod zwierzchnictwo króla westfalskiego.

W Ostrołęce książę bawił krótko i już przed dwoma dniami opuścił ją, udając się do Łomży. W ostatniem mieście dłużej miał popasać. Szczerba zatem liczył na to, że go w tem mieście dogoni i misyi swej szczęśliwie dopełni. Ale w tym celu należało podróż w żywszem tempie odbywać.

Wróciwszy z miasta, zaledwie próg izby hotelowej przestąpił, energicznie oświadczył:

— Jutro, moi państwo, jak świt — pobudka, uszy do góry, sakum-pakum, krok podwójny, marsz!

— Bum! — przytaknęła, śmiejąc się, Szczerbina.

Obudzony głośnymi wykrzyknikami Wierny, wysunął łeb z kąta i zaszczekał. I on też zdawał się mówić:

— Wszystko się zrobi, wedle rozkazu pana sierżanta dobrodzieja!

Dzieci, które już spały, otworzyły oczy, sen-
nym wzrokiem powiodły dokoła i, na drugi bok
odwróciwszy się, na nowo chrapnęły.

VII.

Na połowie drogi do Łomży spotkała podróżnych przykra, choć w naszym kraju dość zwykła, przygoda: złamała się oś u arki.

Na szczęście, zdarzyło się to w lesie. Szczerba, zakławszy pod wąsami, kazał wszystkim wysiąść, a sam udał się z siekierą w gęstwinię, aby tam wynaleźć i zrąbać proste a mocne drzewko. Drąg z tego drzewka miał podeprzeć brykę i pozwolić na powolne przetoczenie jej do najbliższej wioski, posiadającej kowala.

Dzieci rade były przygodzie. Choć im Szczerbina zalecała nie oddalać się od bryki, nie wytrzymały i w las pobiegły.

— Ostrożnie, robaczki! — wołała za nimi opiekunka. — Pamiętajcie, że w lesie są wilki.

— I poziomki, pani Szczerbino! — sprzeciwiał się Józio.

— Są zbóje...

— I czarne jagody, mamó Kundziu! — kończyła Józia.

— Może was spotkać co złego...

— A czy mnie tu niema? — wykrzykiwał chępliwie chłopiec.

— Wierny nas obroni! — uspokajała opiekunkę dziewczynka.

Wkrótce oboje, przy pomocy psa, takim hałasem napełnili las, że spłoszone ptaki pokryły się w gniazdach lub na drugą stronę drogi po-uciekały.

Co chwila słychać było nawoływania:

— Chodź tu, Józiu! Aż czarno od jagód!

— Tu chodź, Józiu! Aż czerwono od poziomek!...

Gdy wynurzyli się z gąszczy, sami byli czerwoni i czarni od obficie spożywanych leśnych przysmaków.

Wierny w szalonych podskokach przesadzał krzaki, biegając od panicza do panienki i odwrotnie. Szczekał przytem, węszył, kopał doły pazurami i zabawnie czmychał. Bawił się równie wesoło, jak dzieci.

Nareszcie arka została wzmocniona, i ruszono dalej, noga za nogą. Do bryki siadła tylko Józia. Chłopiec i oboje Szczerbowie szli pieszo. Towarzyszył im Wierny, uspokojony nagle i pełen wielkiej powagi. Tylko, gdy mu blisko nosa śmignęła jaskółka, o powadze zapominał, rzucał się za ptakiem, jak waryat; poczem, nabiegawszy się bezskutecznie wkoło, wracał zziębnięty i znów,

z wywieszonym ozorem, głośno dysząc, włókł się za idącymi.

Wioska, do której z trudem dociągnięto, wydawała się jakby bezludną. Wprawdzie gdzieś widać było bawiące się na progu chałup dzieci i wyglądające oknami kobiety, mężczyszyn natomiast wcale się nie dostrzegało.

Nareszcie ukazał się na drodze jakiś przygarbiony, kulejący starowina.

— Niech będzie pochwalony... — pozdrowił idących. A to widzę, wielmożnym dobrodziejom wydarzyło się coś paskudnego...

— Na wieki wieków! — zapalczywie odrzekł Szczerba. Oś nam się złamała, do stu par...

— Rajtuzów — dokończyła Szczerbina.

— Dziurawych! — uzupełnił Józio.

Dziad milczał, w głowę się drapiąc.

— Trzeba z tem do kowala... — oświadczył Szczerba.

— A juści! — tamten przytwierdził.

— Kuźnia u was jest?

— A juści!

— To prowadźcie nas, dziadku, do kowala.

— Do kogo?

— Do kowala.

— Kowala, wielmożny dobrodziej, to akuratnie nima.

— Jakto niema? Gdzież się podział?

— A dyć do żołnierzy go wzieni.

— Masz tobie! Może jest choć czeladnik?

— Czeladniki byli dwa, ino, że ich tyż do wojska popędzili.

— A! do stu par... Więc cóż teraz będzie?

— Tego ja nie mogę wiedzieć, wielmożny dobrodzieju. Niech będzie pochwalony...

Dziad posztykował dalej.

Szczerba obrócił pytający wzrok na żonę, ale i w jej oczach nie znalazł odpowiedzi. Dzieci straciły humor i milczały. Wszyscy stali z minami zakłopotanemi i bezradnemi. Nawet konie łby opuściły, i Wierny zwiesił kudłaty swój ogon...

Gdy tak stoją i smętnie medytują, podbiegł do nich chłopiec w wieku Józia, może nawet trochę młodszy. W jasnych, ruchliwych jego oczach błyszczał dowcip, na pyzatej, rumianej twarzy malowała się pojętność.

— Państwu pewnikiem potrzebny kowal? — żywo zapytał, rozglądając się po całej grupie.

— Zgadłeś, mój mały — przytaknęła Szczerbina.

— O! proszę jegomości, ja wcale niemały... — odparł, dumnie się prostując. — Mały to jest mój brat, co ma dopiero cztery roki.

Pod bok się ujął, rogatywki na głowie poprawił.

— U nas — oświadczył — kowała niema.

Do wojska go zabrali... Kowalczyków też... Wszystek naród do wojska tera idzie, bo nasi z Francuzami na Moskala ciągną...

Tak zuchowato chłopczyzna wyglądał, że stary wiarus rozchmurzył się, uśmiechnął i, po plecach przyjaźnie go poklepując, zapytał:

— A tybyś pociągnął?

— Ojoj! czemu nie!... Ino, że matula słabuje, parobka nam zabrali, i niema kto gadziny doglądać. Jak tędy jechali wczoraj te nasze malowane ułany, a na trąbach grali i w bębny wali, to tak me do nich ciągnęło, żem krzyczał: »O laboga, matulu! za sukmanę trzymaj, bo się urwę i za nimi polecę!«

Tu już oboje Szczerbowie wytrzymać nie mogli i, chwyciwszy dzielnego chłopca w objęcia, serdecznie go ucałowali.

Ale przelotna to była uciecha. Troska o zepsutą brykę znów im dokuczać zaczęła.

— I my, chłopcze drogi — frasobliwie przemówił Szczerba — jesteśmy w położeniu podobnem do twojego. I nas do owych ułanów ciągnie, a w miejscu stać musimy, bo nas złamana oś nie puszcza.

— O! Co też pan wygadują! Albo to nima zara za wsią rzetelnego kowala?

— Jakto? — bardziej jeszcze zadziwił się Szczerba. — Sam przecie mówiłeś, że kowala do wojska wzięli...

— Wzięli katolika, a Żyda ostawili. Bo, proszę jegomości, co po psie w kościele?

— Więc to Żyd?

— Jeszcze jaki! Z takim długim brodziem... ooo!... i z takimi kręconymi pejsami. Rzetelny Żyd — ale i kował jak się patrzy.

— To prowadźże nas, kochanie, do niego.

— A no, jedźta państwo za mną!

Ruszył ostro przodem, za nim cała kompania.

Żyd wcale dobrze oś naprawił, zaręczając, że do Łomży wystarczy. W Łomży jednak rzucił nową oś dorobić.

Najgorsze było w tem wszystkim, że dużo drogiego czasu zmitrężono. Jednak Szczerba otuchy nie tracił. Spoglądając co chwila na zegarek — olbrzymią, srebrną »cebulę«, dar jeszcze nieboszczyka kapitana — i przypatrując się słońcu, długo coś w myśli obliczał, wreszcie głosem stanowczym oświadczył:

— Da Bóg, moi państwo, że na czas staniemy. Ale konikom trza zagrać marsza prędkiego: raz, dwa... raz, dwa... raz, dwa... A stójki po zajazdach będą na trzy tempa: Pij, płać — marsz!

Zastosowano się do komendy, i arka puściła się niebawem po gładkiej drodze, żwawym, wyciągniętym kłusem.

VIII.

Od chwili wyjazdu z Warszawy dopiero w Łomży spotkali się podróżni po raz pierwszy z polskimi wiarusami. Zabiły im mocno serca na widok pięknych mundurów, jakie nosiła armia Księstwa Warszawskiego. Piechota i jazda dość tłumnie snuły się tu po przestronnym rynku i szerokich ulicach.

Widząc zuchów z bronią i bez broni, wymijających co chwila arkę, Szczerba spoglądał tryumfująco na żonę i na dzieci kapitana.

— Widzicie, moi państwo — mówił głosem wodza, który przed chwilą wielką batalię wygrał — jak dokumentnie wszystko wyliczyłem. Kilka godzin opóźnienia, a możeby cała robota w łeb wzięła. Ale zegarek pana kapitana dobrodzieja jeszcze nigdy nikomu zawodu nie zrobił. Przybyliśmy na czas i wszystko jak należy załatwimy. Da Bóg, że już tu naszej biedzie będzie koniec. Kontenciście, moi państwo? — gadajcie!

Szczerbina głośno i wyraźnie ukontentowanie objawiła. Dzieci wyraziły je głosem dziwnie cichym i dziwnie żalosnym.

Z powodu obecności wojskowych, już tu nie było tak łatwo, jak gdzieindziej, o wygodne pomieszczenie. Nie bez trudności znaleziono byle jaką izbinę w gospodzie na drugorzędnej ulicy. Zaraz po rozpakowaniu rzeczy i zarządzeniu końmi i bryką Szczerba wyszedł, aby dowiedzieć się o kwaterze księcia.

Mijając pełen wozów i śmieci dziedziniec, usłyszał głośny spór i ujrzał oficera polskiego, kłócącego się z jakimś łykiem w kapocie, zapewne właścicielem zajazdu.

— Jeszcze raz mówię acanu — krzyczał oficer — że moje konie obrok mieć muszą!

— Niech mają, i owszem — gadał tamten, rękami wymachując. — Ale ja im go nie dam.

— Dasz, do stu piorunów!

— Nie dam.

— Dasz, bo cię tu zaraz wypłazuję!

— Płazuj, waszmość, a ja powiedziałem, że nie dam, i nie dam.

Twarz oficera sponsowiała, jak rabat jego munduru. Zamachnął się do bicia, ale się wnet pomiarkował i, wąsy przygryzając, a gniew hamując, rzekł:

— Co za bies siedzi w tobie, dziwny człowieku? Dlaczego nie chcesz mi dać owsa?

— Dlatego, mój jegomość, że go nie mam. Wściekły gniew oficera ustąpił miejsca zdumieniu.

— Czemużeś mi tego odrazu nie powiedział?

— A boś mnie, jegomość, nie pytał.

— Jeśli sam nie masz, weź od sąsiadów!

— Sąsiedzi też nie mają.

— Kup na targu!

— I na targu niema.

Twarz wojskowego znów zaczynała stawać się ponsową. Wówczas podszedł do niego Szczerba, i w odległości trzech kroków zatrzymawszy się, po wojskowemu dłoń do czapki przyłożył.

— Czego żądasz? — spytał oficer.

— Mam honor zameldować panu kapitanowi, że dla jednego konia znajdzie się u mnie obrok przyzwoity.

— Zjedz go sobie sam! — rzucił się tamten, znów we wściekłość wpadając. — Ja potrzebuję obroku dla stu koni.

Wiarus odjął dłoń od czapki, ręce bezradnie rozłożył.

— Oprócz tego — dodał, znów salutując — mam honor spytać pana kapitana o kwaterę księcia głównodowodzącego.

Oficer, który widocznie był z temperamentu cholerykiem, aż podskoczył z wielkiego gniewu.

— Kpisz, stary, czy o drogę pytasz? Wete-

ran jesteś, inwalida, a gadasz, jakbyś nigdy żołnierskiego chleba nie wachał. Najpierw, wiedzieć powinienes, że głównie-dowodzącym nie jest żaden książę, lecz król westfalski. Powtóre: skąd ci ta ciekawość, za którą w czasie wojny można co najmniej do kozy się dostać? A po trzecie.. po trzecie...

Szczerba uszy nadstawił.

— Po trzecie — ciszej i spokojniej dokończył oficer — jakże ja ci mam wskazać kwartę księcia, kiedy tu księcia niema!

Szczerba struchlał.

— Panie kapitanie — wyjąkał — szukam księcia, aby mu doręczyć list ważny i spełnić wolę przedśmiertną swego dowódcy, kapitana Kalinowskiego. Wiozę ze sobą dzieci dwoje, które mam oddać pod opiekę księcia. Nie umarłbym spokojnie, gdybym rozkazu swego kapitana nie spełnił.

— Wybrałeś się, no!... W taki czas, z takim poleceniem! Czyż nie widzisz, że chmury zaćmiły cały horyzont, że lada chwila burza się zerwie? A będzie to pono burza, jakiej świat jeszcze nie widział!

Szczerba wyprostował się, postawę przybrał wojskową.

— Panie kapitanie!... — twardym głosem oświadczył. — Służyłem długo w wojsku koronnem; odbyłem kampanię pod księciem Józefem

Poniatowskim i pod naczelnikiem Kościuszką; nauczono mnie tam, że rozkaz dowódcy to rzecz święta. Spełnić go należy, choćby pioruny biły, kule latały i śmierć z każdego kąta wyzierała.

Oficer zatopił wzrok w twarzy i oczach Szczerby. Gniew ustępował z jego oblicza. Przystąpił do wiarusa, dłoń na jego ramieniu położył.

— Podobasz mi się, mój stary — rzekł. — Prawdziwy z ciebie żołnierz Kościuszkowski. Jedźże, w imię Boże, i księcia szukaj.

— Pojadę i szukać będę, panie kapitanie. Ale dokąd kroki mam zwrócić?

— W Łomży księcia niema — objaśnił oficer. — Myśmy tylko aryergarda. Książę idzie przodem, z Polakami, Sasami, Westfalczykami, i ze swym królem...

Pod nosem mruknął:

— Żołędnym.

— Tym samym traktem?

— Nie. Książę, zmierzając wprost ku Litwie, drogę obrócił na Rajgród i Białystok.

— Ha, to i nam tamtędy ruszać trzeba.

Skłonił się Szczerba oficerowi i, aby odwdziżyć się za informację, przyniósł z bryki dla jego konia pęk siana i dużą miarę owsa.

Potem pobiegł pędem do swoich.

Złożono walną radę, do której i dzieci powołane zostały.

Szczerba, choć służbista wielki, któryby z roz-

kazem swego dowódcy poszedł w ogień i na sypiące kulami armaty, liczył się z tem, że ani Józio, ani Józia nie są zahartowanymi w obozach wiarusami, i że się ich na niebezpieczeństwo narażać nie godzi.

Te same skrupuły miała i Szczerbina.

Ale i chłopiec i dziewczynka podnieśli gwałtowny protest.

— Za nic w świecie wracać nie chcemy!

— Przebyliśmy tyle drogi i nic nam się nie stało, to przebędziemy i resztę.

Szczerba uważał za obowiązek nic przed niemi nie taić.

— Bo to widzicie, moi państwo, teraz jest jeszcze jako tako, ale może być gorzej.

— Myśmy gotowi na najgorsze! — wykrzyknęła zawsze pełna zapału Józia.

— Cóż to? — przytaknął jej brat — czyśmy to nie dzieci żołnierza? Czy nas ojciec obyczajów żołnierskich nie nauczał?

— Prawda, moje robaczki — wtrąciła Szczerbina — ale inna to jest kategoria słyszeć o czemś, a inna — doświadczać. Na ten przykład, możecie kiedy nie dostać na obiad mięsa, a może nawet i żadnej gorącej strawy.

— To zjemy bułek i napijemy się zimnego mleka!

— A jak mleka i bułek nie będzie?

— To wystarczy nam chleb, który popijemy wodą!

— A jak i chleba zabraknie?

— Ojciec nam mówił, że, gdy chleba świeżego niema, wojsko je suchary — odparł Józio.

— Tak, tak! — przytaknęła Józia — będziemy gryzli suchary. Mamy, dzięki Bogu, zdrowe zęby.

Jakby dla potwierdzenia słów ostatnich, rozeźmiała się głośno, ukazując dwa rzędy białych, równych ząbków, niby dwa sznurki perełek.

Zbyt dobre serce miała eks-wiwandyerka, aby straszyć dziewczynkę przypomnieniem, że bywają chwile, gdy i sucharów zbraknąć może.

Z kolei wystąpił z uwagami Szczerbera.

— Wy, moi państwo, tylko o swoich brzuskach rozmyślcie. A przecie w naszym gospodarstwie, oprócz ludzi, znajdują się jeszcze trzy pocziwe koniki i jeden zacny piesek.

Wierny, drzemiący w kącie, z łbem na wyciągniętych łapach złożonym, podniósł go, uszy nastawił i z cicha warknął. Wyglądało to tak, jakby powiedział:

— Dziękuję za pamięć.

— O! chyba nasze zwierzątka grymasów nie nauczone — odezwała się Józia. — Konie, byle miały trochę siana, owsa i wody do picia, z reszty kwitują. A Wiernemu miska kaszy, albo klusków »szczypanych« i kość do ogryzania, zupełnie wystarczą.

— Ba, panno Józiu — uśmiechnął się stary — o to właśnie chodzi, żebyśmy mogli im zawsze tych przysmaków dostarczać!

— Chyba o siano i owies nietrudno?

— Trudno, panienko, bardzo trudno. A co najgorsze, że z każdym dniem coraz trudniej.

— Nie mamy czego obawiać się — wtrącił chłopiec. — Nasze zapasy wystarczą na długo.

— Na tydzień, paniczu... — westchnął Szczërba. — Najwyżej na półtora tygodnia.

— To i cóż? W tym czasie przygotujemy nowe.

— A jeśli nie będzie z czego?

— Pan Marcin zaczyna mnie straszyć, jak jego żona Józię.

— Daj Boże, żeby się skończyło na strachu. Ale im dłużej jesteśmy w drodze, tem lepiej widzę, że faktor w Pułtuskumądrze gadał i dobrze radził. Więc, Boże odwracaj, zdarzyć się może, że my będziemy mieli i chleb i mięso, ale konikom naszym nie będzie co do worka nasypać...

— I z tem damy sobie radę, panie Marcinie! — rezolutnie zawołała Józia. — Jak będzie trzeba, to ja sama pójdę na łąkę i świeżej trawki dla koników narwę.

— A ja — pośpieszył za siostrą Józio — pszenicy im kupię, jeśli o owies będzie trudno.

Szczerbina fartuchem zasłaniała usta. Jej mąż

za wąsiska się ciągnął, z miną, napół śmiejącą się, napół płaczliwą.

Rozprawa tym razem na tem się skończyła.

Obojgu starym przychodziły na myśl rzeczy jeszcze groźniejsze, mianowicie niebezpieczeństwo na wypadek wypadnięcia w odmęt wojenny. Nie chcieli temi przypuszczeniami przestraszać dzieci, lecz gdy Szczerbina ułożyła je już na spoczynek, przysunawszy się do siebie, powierzali sobie nawzajem, głosem przyciszonym, swoje obawy.

A wtem odezwie się niespodzianie Józio, głowę z pod kołdry wychylając:

— Może myśli pan Marcin, że ja się boję wojny? Ani trochę!... Owszem, takbym chciał zbliżka zobaczyć, jak to wojna wygląda. Ach! to musi być prześlicznie, gdy trąby trąbią: tra, ta, ta... tra, ta, ta...

— A bębny bębnią: bum, bum, bum... bum, bum, bum... — zawtórzyła bratu Józia, siadając na pościeli.

— A kule gwizdzą: wiili... wiili — ciągnął, zapalając się chłopeć.

Podnieciło to wiarusa. Podniósł się z zaiskrzonym wzrokiem, mówiąc:

— A dowódca krzyczy: Formuj się!... Biegiem do ataku! Marsz!... A wiara drze się: Naprzód! naprzód!... A działa grzmia, granaty pękają, szable dzwonią, w powietrzu dym rudy,

a w dymie wybuchy ognia, jakby czerwone języki, a nad dymem i nad ogniami sztandar z Orłem, sztandar z Pogonią...

Porwała się z miejsca i Szczerbina, ogólnym zapaleń uniesiona.

— *Anawan! anawan!* — krzyczała, głowę zadzierając i rękę do góry podnosząc. — *Wif alarme! Wif Neapolion!*

Wszyscy rozochocili się, nabrali dobrej myśli i zapalu.

Nazajutrz, o świcie, Szczerba wstał, pocichu się ubrał i poszedł do kościoła na prymaryę. Gdy wrócił, zastał żonę, gotującą mleko dla dzieci.

— Wiesz, matko? — rzekł. — Modliłem się do Pana Boga, żeby mnie oświecił, co mam czynić: wracać się, czy dalej jechać? I gdym się bił w piersi na *Agnus Dei*, coś mi wyraźnie w ucho szepnęło: — Jedź, nie lękaj się: ja czuwam nad dziećmi i nad tobą... A to był głos nieboszczyka pana kapitana!

— Mnie znów — odrzekła Szczerbina — śniło się, że naszym koniom skrzydła wyrosły i arkę z nami wszystkimi w powietrzu unoszą. Pod nami była bitwa: kule gęsto latały, ludzie padali, jak muchy, a myśmy byli spokojni i bezpieczni, jak u Pana Boga za piecem.

— Jak myślisz, matko? Co to wszystko znaczy?

— To znaczy, Marcinie, że nam, w imię Boże, dalej jechać trza.

— Ha, to i pojedziem!

Nie pojechali wszakże tego dnia, lecz dopiero nazajutrz. Szczerba miał jeszcze dużo do czynienia przy arce, co mu dzień cały zabrało. Kazał dorobić nową oś, nabył kilka kół zapasowych i dokupił dwa konie na miejsce jednego z dawnych, który do dalszej drogi okazał się niezdatnym. Zaopatrzył się wreszcie w prowianty i różnego rodzaju narzędzia.

IX.

Po szerokich, twardo ubitych gościńcach, to znów po węższych, piaszczystych lub korzeni-
stych drogach leśnych, w południowej kurzawie
i w mgle przedwieczornej, wśród spieki i wśród
deszczu, posuwała się arka w ślad za księciem
Józefem. Posuwała się niezbyt prędko, choć ją
ciągnęły trzy dobre konie, mając czwartego w za-
pasie. Obciążono ją nadmiernie wielką ilością
żywności dla ludzi i koni, a i wiezione na niej
kufry z pościelą i narzędziami różnemi niemałą
miały wagę.

Długi popas w Łomży, oraz niefortunne zej-
ście ze szlaku, którym kroczył główny korpus
armii Księstwa Warszawskiego, spowodowały
znaczne, kilkudniowe opóźnienie. Szcherba wąsy
w dół ciągnął i gniewnie pod nosem pomruki-
wał, dodawała mu jednak otuchy dzielność i rą-
czość koni, oraz prawdziwie żołnierskie zacho-
wanie się dzieci. Nie tylko nie skarżyły się one

na niewywczas, lecz owszem, były zdrowsze i rezolutniejsze, niż kiedykolwiek.

Tymczasem książę Józef, posuwając się marszem forsownym, dotarł już do granic Litwy i dłuższy postój urządził w Białymstoku. Mieszkała tam jego siostra, Tyszkiewiczowa; w jej pałacu stanął kwaterą cały sztab główny, z księciem i królem westfalskim na czele.

Książę, po przebytej na wiosnę ciężkiej chorobie, czuł się osłabionym, dręczyło go też niedorzeczne i nieprzyjemne zwierzchnictwo króla Hieronima. A i losy rozpoczętej kampanii nie przedstawiały mu się tak różowo, jak innym.

Wojsko zalało całe miasto, napełniając je strasznym harmidrem. Na każdym kroku sprzeczano się lub nawet kłócono zajadle z mieszkańcami. Głównym przedmiotem sporów było, tak samo jak w Łomży, pożywienie dla koni. Brak siana i owsa wszędzie dawał się odczuwać.

— Cierpliwości! — pocieszali żołnierzy oficerowie. — Wielka armia prowadzi za sobą niewyczerpane zapasy furażu. Dziś, jutro złączymy się z nią, a wówczas nasze konie, po dzisiejszym poście, będą miały sute zapusty. Więc uszy do góry i — czekać!

Kawalerzystom trafiały te słowa do przekonania; nie trafiały, niestety, ich koniom. Na sieczkę dla nich zużyto cały zapas słomy, ale już i sieczki braknąć zaczynało.

Najstateczniej zachowywali się Polacy, których tu była ilość przeważająca. Im też bez wielkiej trudności przychodziło zdobyć żywność dla swych wierzchowców, bo swój ze swoim najłatwiej się porozumie. Natomiast flegmatyczne Sasy i skorzy do bójki Westfalczycy musieli zdobywać skąpe garstki siana albo jawnym gwałtem, albo podstępłą kradzieżą.

W pałacu Tyszkiewiczów ugaszczano króla westfalskiego prawdziwie po królewsku. Czczono w nim nie tyle jego majestat królewski, świeżo sfabrykowany, co tę ważną okoliczność, że był bratem Napoleona i szedł na wyprawę, która miała Polskę ocalić i uszczęśliwić. Ale ten gruby Korsykanin był gościem niewygodnym i za wiele wymagającym i królem, najzupełniej dostojności królewskiej pozbawionym. Niedość, że zachowywał się w salonie, jak w oberży, i gospodynią domu traktował niewiele lepiej, niż służącą, lecz jeszcze pozwalał swej służbie grabić zapasy pałacowe, sobie zaś i swym dworzanom składać kazał podarunki.

Hrabina, w obecności tego koronowanego gbura, rzucała bratu wymowne, pełne skargi i podziwu spojrzenia, księżę zaś tylko ramionami wzruszał i głębokie strapienie wzrokiem wyrażał.

Zresztą w ten tylko sposób porozumiewać się mogli, księciu bowiem, od rana do nocy

służbą wojenną zajętemu, trudno było nawet przez chwilę pomówić z siostrą na osobności.

Bardzo się też książę w ostatnich miesiącach zmienił. Zmiana widoczna była i na twarzy jego i w całym postępowaniu. Zawsze niezmiernie żywy, wesoły, prawie roztrzepany, nabrał teraz powagi, zamyślał się, bywał roztargniony. Po ostatniej chorobie stracił rumieńce i dotąd odzyskać ich nie mógł. Pełne usta przestały się uśmiechać, czoło i skronie nabrały blado-żółtawych kości słoniowej odcieni, oczy tylko nie straciły blasku, może nawet gorętszym, niż dawniej, świeciły płomieniem.

— Wypiękniałeś, bracie — mówiła hrabina, kładąc rękę na ramieniu księcia i wpatrując się w jego urodziwe oblicze. — Masz teraz w twarzy coś anielskiego.

— Może to znak, że się już wkrótce z aniołami połączę... — odrzekł smętnie, lecz zaraz, siląc się na ton żartobliwy, dodał: — Jeśli mnie wpierw do siebie nie zaproszą szatani.

Nie brakło księciu powodów do zgryzoty, a były one wszystkie natury nie prywatnej, lecz publicznej.

Wiedząc już blisko od roku o zamierzonej wojnie z Rosją, czynił do niej przygotowania w Księstwie Warszawskim, ściślej zaś mówiąc, Księstwo Warszawskie do niej przygotowywał. Nie było to zadanie łatwe. Jak cała Polska, tak

i ta okrojona jej cząstka, była niemal zrujnowana z przyczyny ostatnich zaburzeń politycznych. Z wyludnionego, zubożałego, źle zagospodarowanego kraju księżę wyciskać musiał pieniądze, brać raz po raz rekruta, wyprowadzać tysiące koni roboczych, wywozić olbrzymie ilości zboża i wszelkich produktów rolnych, które ledwie na potrzeby kraju wystarczały.

Krajowi potrzebne były zasiłki, tymczasem wycieńczano go; potrzebny mu był spokój, tymczasem zbrojono go na wojnę. Każda wojna jest loteryą, a na tę loteryę Księstwo Warszawskie ostatni grosz stawiało.

Rozumiał to księżę i gryzł się tem bardzo. Gdyby był pewien wygranej, weselej patrzyłby w przyszłość, ale on tej pewności miał mniej, niż inni, lepiej bowiem od innych znał istotny stan rzeczy.

W poufnych rozmowach z Napoleonem nie odradzał mu wprowadzić wojny, lecz uważał za obowiązek nie ukrywać oczekujących go trudności i niebezpieczeństw. Cesarz, słuchając ostrzeżeń, marszczył czoło, gniewnie brwi ściągał. Zasadą jego było: postanowiwszy coś, za żadną cenę od postanowienia nie odstępować. Jeśli pytał innych: co o tem myślą? czynił to dlatego tylko, aby usłyszeć odpowiedź, zamiary jego pochwalającą.

Zresztą, choć losów wojny niepewny, wiedział, że ona jest nieunikniona.

— Już od kilku lat — do cesarza mówił — my i Rosya stoimy naprzeciw siebie z nabitą i wymierzoną bronią. Lada chwila strzał musi paść z tej lub z tamtej strony. Jeśli my nie zaczniemy, zaczną oni.

Położenie było bez wyjścia, i dlatego to ksiązę nie mógł odzyskać rumieńców i na usta dawnego przywołać uśmiechu.

A i to niemało go martwiło, że, wciąż dając, nic w zamian nie mógł dostać. Za ostatniej bytności w Paryżu błagał niemal o pożyczkę dla Księstwa Warszawskiego. Odmówiono mu jej, a wkrótce potem zażądano od Księstwa nowych ofiar w pieniądzach, ludziach i produktach.

Czyż mógł być ksiązę spokojny i wesoły?

Jednego dnia, gdy już miano wstawać od stołu, hrabina zwróciła się do brata:

— *Mon cher Pépi*, mam do ciebie prośbę. Chciałabym, abyś, przed wyruszeniem na wojnę, portret mi swój zostawił. Bóg wie, jak długo potrwa twoja nieobecność, niech przynajmniej odbicie twej postaci przed sobą mam.

Ksiązę oświadczył, że nie ma przy sobie żadnego ze swych portretów.

— Wiem o tem — odparła. — Ale bawi u nas właśnie wędrowny miniaturzysta, mistrz w swoim

rodzaju, który potrafi prawie na poczekaniu utrwalić twe rysy na kości słoniowej. Więc, gdybyś był łaskaw poświęcić mu godzinę...

Książę zakłopotał się.

— Jako podkomendny jego królewskiej mości— wskazał wzrokiem Hieronima — w chwili zwłaszcza tak gorącej, czasem swym nie rozporządzam.

Hrabina zwróciła się z przymileniem do króla.

— Najjaśniejszy Panie, jeśli nie swemu »podkomendnemu«, to jego siostrze łaski tej nie odmów.

Król, dobrze już najedzony i napity, rozpierając się wygodnie w krześle, z wykałaczką w zębach, kiwnął głową przyzwalająco.

Pani Tyszkiewiczowa, uradowana, mówiła prędko:

— W galeryi obrazów przygotowano już wszystko. Artysta czeka na model. A i jemu śpieszy się bardzo. W okolicy pełno ma zamówień...

— Zatrzymaj go, pani hrabino — wtrącił niedbale Hieronim, rozumiejący rozmowę, która toczyła się po francusku. — Niech i mnie sportretuje.

To proste życzenie nadzwyczaj hrabinę zmieszało. Wachlarzem rumieniec nagły zakrywając, ze sztuczną uprzejmością, gospodynią domu obowiązującą, odrzekła:

— Życzenie twoje, *sire*, jest dla wszystkich rozkazem.

Zaledwie wstano od stołu, z pośpiechem ujęła brata pod ramię, do bocznego skrzydła pałacu powiodła.

— Cóż to za zagadka? — dopytywał książę przez drogę. — Widzę, siostrzyczko, że coś przedemną ukrywasz...

— Tak, mój Pepi — odparła z miną tajemniczą. — Ode mnie jednak rozwiązania zagadki nie czekaj. Nie jest mi ono wiadome.

— Zaciekawiasz mnie, moja droga.

— Sama jestem bardziej jeszcze zaciękwiona. Ale otóż i pokój, w którym czeka cię i zagadka i jej rozwiązanie.

Nacisnęła klamkę, lekko popchnęła brata do otwartego pokoju. Sama cofnęła się, drzwi zamykając.

Książę znalazł się sam-na-sam z nieznanym mężczyzną średniego wieku, w którym jego przenikliwe oko, pod przebraniem wędrownego artysty, poznało odrazu: wojskowego i dyplomatę.

Gość podszedł do wchodzącego z niskim ukłonem i półgłosem się przedstawił:

— Toll, pułkownik wojsk rosyjskich, adjutant jego cesarskiej mości cesarza Aleksandra.

Książę, choć przywykły panować nad sobą, drgnął.

— Pan?... u mnie?... w tem miejscu?... — dopytywał, z wysiłkiem pokrywając wzruszenie.

— Z misją tajemną od mego monarchy i pana... — oświadczył tamten ciszej jeszcze, zginając się w nowym pokłonie.

Ksiązę wyprostował się.

— Panie pułkowniku — z naciskiem wyrzekł — zapominasz, że twój cesarz jest dziś dla mnie stroną nieprzyjacielską, że nie wolno ani mnie jego słuchać, ani jemu do mnie w drodze prywatnej przemawiać...

— Mój cesarz nie przemawia do waszej książęcej mości jako do osoby prywatnej. On, za wysokiem pośrednictwem księcia, zwraca się do całego narodu polskiego.

Ksiązę stał przez chwilę w milczeniu, jakby nie wiedząc, co czynić. Ale myśli jego były szybkie, postanowienia nagłe. Ręką wskazał przybyłemu miejsce przy stole; sam usiadł naprzeciwko.

Dyplomata, ubrawszy twarz w wyraz tajemniczy, a zarazem miły i przyjacielski, zaczął głosem przyciszonym:

— Mój monarcha i mocodawca kazał oświadczyć waszej książęcej mości, że Polaków kocha i szczęścia ich z całego serca pragnie.

Ksiązę milczał.

— Przyznaje mój monarcha — ciągnął poseł — że Polakom w przeszłości stała się krzywda. Naprawić tę krzywdę jest jego najgorętszem pragnieniem.

Książę nie przerywał milczenia.

— Zdaniem mego monarchy, ta improwizacya polityczna, która się nazywa Księstwem Warszawskim, nie może zadowalać Polaków. Stwarzając pozorną niezależność, rządzona pozornie przez elektora saskiego, służy ona w rzeczywistości egoistycznym celom człowieka, który...

Książę niecierpliwie poruszył ręką. Zrozumiał ten ruch poseł — zdania nie dokończył.

— Mój monarcha — po chwili ciągnął — chciałby oprzeć byt Polaków na trwalszych podstawach. Zamiast złudy, chce dać Polakom rzeczywistość.

Zrobił małą pauzę, potem uroczyście i z naciskiem dokończył:

— Cesarz Aleksander chce wskrzesić Królestwo Polskie.

Książę milczał. Postać jego pochyliła się nieco i jakby w głębie fotelu osunęła.

— Granice wskrzeszonego Królestwa byłyby o wiele większe, niż Księstwa. Cesarz Aleksander rozsunałby je jak najszerzej, oddając Polakom wiele z tego, co im niesłusznie zabrano.

Prosta zwykle postać księcia coraz bardziej się pochylała.

— Na początek zwróconoby Polakom ośm zabranych przez Rosyan prowincyi.

Książę nie przestawał milczeć.

— Potem przyszlaby kolej na odzyskanie zaborów pruskich i austryackich...

Niewidzialny ciężar coraz bardziej księcia przygniatał.

— Przy obustronnem zaufaniu i wypróbowanej przyjaźni, do Królestwa powróciłaby jej ukochana Litwa...

Książę wciąż milczał, coraz niższym wydając się na szerokiem oparciu krzesła.

— Mój monarcha zapewnia wskrzeszonemu Królestwu byt samoistny: własne sejmy, własne wojsko, własną skarbowość. Z Cesarstwem łączyłaby je unia, idealny związek dwóch bratnich, przyjaznych sobie narodów. Królestwo miałoby samoistnego wielkorządcę, którego cesarz Aleksander upatrzył już sobie...

Zatrzymał się. Po pauzie, nisko głowę skłaniając, dokończył:

— ...w osobie waszej książęcej mości.

Książę zdawał się nie słyszeć, co do niego mówiono.

Tamten przybrał teraz najmiłszy wyraz twarzy i najpokorniejszą postawę, na jakie mógł się zdobyć.

— Za to wszystko — słodkim głosem szepnął — mój cesarz i mocodawca prosi Polaków o jedno tylko: niech nie będą przyjaciółmi jego nieprzyjaciół.

Podkreślił ostatnie słowa ruchem głowy i ra-

mion, oznaczającym, że już powiedział wszystko, co miał do powiedzenia.

Zapanowała teraz dłuższa cisza. Zbliżał się już wieczór, a ponieważ okno, w którego pobliżu siedziano, zakrywały drzewa, rozpościerały się już w tem miejscu szare cienie. W tych cieniach przygarbiony ksiązę rozpływać się zdawał i znikać.

Nagle promień zachodzącego słońca przedarł się przez gęste listowie lipy i smugę jaskrawego światła rzucił w mroki pokoju. Ksiązę powstał. Prosty był, wyniosły, wspaniały — przytem posągowo spokojny. Czerwony blask zachodu otaczał go jakby aureolą ognia.

Podniósł się z miejsca i poseł. I gdy tak stali naprzeciw siebie, jeden w świetle, drugi w cieniu, ksiązę powoli, zdaniami odmierzanemi i głosem nadzwyczaj spokojnym powiedział, co następuje:

— Cesarz Aleksander wie, że naród polski złożył przysięgę wierności elektorowi saskiemu, a w jego osobie cesarzowi Francuzów. Cesarz Aleksander wie, że jestem żołnierz wielkiej armii francuskiej i jako taki, przysięgałem również na wierność swemu monarsze. Cesarz Aleksander chciał doświadczyć honoru polskiego narodu i polskiego żołnierza. Cesarz Aleksander jest podobno przyjaciel Polaków. Najwyższy dowód wdzięczności, jaki mogę za to okazać cesa-

rzowi Aleksandrowi, jest ten, że jego oświadczeń nie powtórzę nikomu, przedewszystkiem zaś: swemu monarsze. Nawzajem, cesarz Aleksander niech wie, że jego mowa dalszego ciągu mieć nie powinna. Panu pułkownikowi zapewne śpieszy się. Mnie również.

Dyplomata zrozumiał, że już tu nie ma nic do czynienia. Głęboko skłonił się i wyszedł.

Księżę, aż do tej chwili prosty i majestatyczny, pochylił się nagle i jakby złamał, podobny dębowi, u podstawy podciętemu.

Gdy siostra weszła do pokoju, zastała go półleżącego na sofie, z rękoma załamanymi.

— Co tobie, Pepi? — ze współczuciem dopytywała. — Co ci powiedział ten nieznajomy, z pozoru tak miły i dobroduszny? W jego mowie musiało być coś jadowitego.

Księżę, jakby ze snu się budząc, odpowiedział:

— Ani dziś, ani jutro, ani do końca życia mego nikt się nie dowie odemnie: kto był ten człowiek, co do mnie mówił i co ja jemu odpowiedziałem. Tę tajemnicę do grobu ze sobą poniosę. Na tom przysięgam.

Hrabina czule przesunęła dłoń po rozpalonem czole brata.

— Tyś, widzę, słaby, przygnębiony, smutny. Czy nie mógłbyś zażądać, aby cię pozostawiono w spokoju, odpocząć ci dano?...

Księżę potrząsnął głową przecząco.

— Każdy z ludzi — głucho wyrzekł — chce, czy nie chce, iść musi za swoim przeznaczeniem. Mnie przeznaczenie iść każe za Napoleonem — i przy nim — może z nim — prawdopodobnie — zginąć...

Smutek ścisnął serce hrabiny. Ale nie dała tego poznać.

— Bądź dobrej myśli, bracie... — szepnęła.

— Wolę być dobrego czynu, siostró — odpowiedział.

Wrócili na pokój, gdzie już król westfalski niecierpliwił się długą nieobecnością swego generała.

Powiedziano grubemu Korsykaninowi, że miniaturzysta okazał się malarzem bez talentu i że został odprawiony.

X.

Arka przytoczyła się do Białegostoku we dwie doby po opuszczeniu tego miasta przez księcia. Podróżni tak już byli przyzwyczajeni do spóźniania się, że ich nowy zawód nie zmartwił, ani nawet zdziwił. Dzieci były mu wprost rade.

Znać tu było na każdym kroku niedawny pobyt licznego wojska. O miejsce w zajeździe kłopotać się nie potrzebowano; za to żywność i furaż znikły zewsząd bez śladu. Mieszkańcy obywać się musieli bez mięsa i chleba; ocalono tylko trochę ogrodowych i polnych jarzyn, których nikt zresztą nie miał na sprzedaż, tak ich było mało i tak były niezbędne samemu posiadaczowi.

Mimo to, gdy tylko podróżni zajęli pokój w jednym z domów zajezdnych, natychmiast zjawił się tam rudy faktor (wszyscy faktory, których po drodze spotykano, byli rudzi) i oznajmił:

— Mięso mam dobre, świeże... Bułków, chleba dobrego, świeżego... Może państwo kury chcą, albo młode, świeże kaczki?

— Mojsie! — wyraził wątpliwość Szczerba — ty pewnie sprzedajesz wróbla na dachu?

— *Wues?* — zadziwił się żyd.

Z odpowiedzią pośpieszyła Szczerbina.

— Mąż mój mówi, że Abramek nas tylko mami, bo pewnie tego wszystkiego nie ma.

— Dlaczego ja nie mam mieć? Wszystko mam, co państwo zechcą.

— A po czemu, panie kupiec? — spytała Józia, w której zaczynała się już budzić gospodyni.

— Niedrogo. Funt mięso rubelka; kure dwa, a kaczki trzy rubelki. Za bezcen, na moje sumienie.

Podziękowano starozakonnemu dobroczyńcy, choć gotów już był odstępować od swych cen po »pięć kopiejki«.

Szczerbina przygotowała posiłek z własnych zapasów, przyczem dzieci poznały smak sucharów prędzej, niż się spodziewały. Chleb, jeszcze w Łomży kupiony, był tak twardy, że go toporkiem rąbać musiano. Dopiero po długiem moknięciu w gorącej wodzie nabierał jakiej takiej miękkości.

Dzieciom nie psuło to ani trochę humoru. Owszem, szczęśliwe były, że zaczynają już kosztować życia żołnierskiego.

Ludność miasta, zdziesiątkowana ostatnimi poborami, składała się z samych prawie Żydów. Do nich też zwrócić się musiał Szczerba po wiadomości o księciu.

Usłyszawszy nazwisko Poniatowskiego, niezbyt im widocznie znajome, długo między sobą szwargotali, naradzając się. Jeden wreszcie zaśpiewał:

— Poniatowskies? Un tu był. Ale jemu już tu niema.

— A dokąd pojechał?

— Dokąd miał jechać? Un, razem ze swoje wojsko i ze swój król, pojechał *nach* Grodno.

— Ba, na Grodno! Ale dokąd?

— Dokąd dalej, tego to już mi wiedzieć nie potrzebujemy.

— Może do Wilna?

— *So, so* — potwierdził jakiś stary Żyd. — Najpewniej do Kowno, potem do Wilno. Tam tera jadą wszystkie jednorały.

— Ha! — powiedział do siebie Szczerba — to i nam jechać trzeba do Wilna.

Ugodzono zaraz woźnicę, i, nie zwlekając, udano się w drogę.

Dzień był upalny, droga ciężka, piaszczysta, konie wlokły się noga za nogą. Po karczmach ledwie wody dostać było można. Gdzieniegdzie i wody brakło, gdyż studnie do dna wyczerpano.

Chłopi chodzili wszędzie mizerni, markotni

i skargi płaczliwe rozwodzili. Żydzi szwargotali z gorączkowem ożywieniem, licząc coś głośno na palcach, zyski zapewne. Oni, jak zawsze, byli i teraz tym »trzecim«, który »korzysta, gdy dwaj inni się biją«.

Dopiero pod wieczór następnego dnia arka zbliżyła się do jakiegoś pokaźniejszego miasteczka. Zapytany woźnica wymienił dziwaczną, białoruską nazwę. Podróżni zrozumieli tylko, że ona kończy się na *szki*. Może to były Budziszki, może Dziubiniszki, a może coś zupełnie innego.

Zanim jeszcze wjechali w miasteczko, dobiegli ich stamtąd nadzwyczajny hałas. Gotowało się w miasteczku, jak w kotle z kaszą żołnierską. Podjechawszy bliżej, usłyszeli warkot bębnow, trąbienie, głuchy turkot ciągnionych po bruku armat, wreszcie przeraźliwe krzyki mnóstwa kłócących się, może nawet bijących się ze sobą, ludzi.

— Armia... — mruknął Szczerba z dumnem zadowoleniem, gładząc dłonią wielkie, białe wąsy.

— *Wif alarme!* — wykrzyknęła rozczerwieniona Szczerbina.

Wiarus do dzieci się zwrócił.

— Cieszcie się, moi państwo. Tu już pewnikiem naszego księcia przydybiemy.

Eks-wiwandyerka dodała:

— Ja po tem trąbieniu uważam, że tu musi być sam Napolion...

Dzieci zaczęły klaskać w dłonie i podskakiwać na siedzeniu.

Tymczasem arka wjechała w wąską, pełną ludzi ulicę, a przebywszy przestrzeń kilkudziesięciu kroków, dla wielkiego tłoku zatrzymać się musiała.

Wnet oskoczyła ją gromada żołnierstwa przeróżnej broni, krzycząc, rękami machając, zasypując gradem pytań w języku francuskim, niemieckim, holenderskim, włoskim. Tylko polskiego słowa i polskiej twarzy w tym rozgardyaszu brakło.

Podróżni wpadli jakby w środek mrowiska. Otaczała ich zewsząd ciżba nieprzejrzana. Wierchem ciżby falowały gwałtownie najrozmaitszego kształtu czapki, kaski, hełmy, bermyce; połyskiwały giwery, bagnety, znaki pułkowe. Wszystko to pchało się, podążając w różnych kierunkach, przyczem ludzie drogę sobie torowali łokciem, pięścią lub głowicą szabli.

A bębny nie przestawały na chwilę warczeć, ostre dźwięki trąb nieustannie przeszywały powietrze, ziemia zaś grzmotliwie drżała od przetaczanych po wyboistym bruku ciężkich dział, furgonów i jaszczów z amunicją.

Konni adjutanci z niesłychanym trudem przedzierali się przez zbitą masę ludzi, krzycząc do ochrypnięcia:

— Rozstępujcie się! Rozstępujcie!

Żołnierstwo wdzierało się do domów, zdobywając dla siebie kwatery, kłócąc się o nie i bijąc pomiędzy sobą. Wydzierano sobie nawzajem chleb, butelki z wódką, furaż dla koni. Ostatni największą budził w tłumie żądzę i zapalczywość.

Obraz był groźny, lecz i wspaniały.

Temu obrazowi podróżni przyglądali się z początku z upodobaniem. Dla dzieci był on wcieleniem ich marzeń. Zdawało im się, że mają przed sobą jedno z opowiadań swego ojca, w żywe kształty obleczone. W Szczerbie i jego żonie harmider wojenno-obozowy budził najmilsze wspomnienia młodości. Radzi mu byli i przyjąć w nim udział gotowi. Oczy im się śmiały; wykrzykiwali też co chwila: *Wif alarme! Wif alarme!*

Woźnica, gapiowaty Białorusin, zlął z kozła, lejce o jakiś kołek okręcił, i sam jak kołek przy bryce stał, z otwartymi szeroko, niby wrota od stodoły, ustami.

Wiernego nadzwyczajny hałas oszołomił i przstraszył. Wisnął się na samo dno bryki, zagrzebał w siano i leżał cicho, jakby go nie było.

Co chwila, któryś z żołnierzy zaglądał do wnętrza arki; ujrawszy dzieci, głową kręcił i oddalał się. Niektórzy uśmiechali się do dzieci, posyłali im ręką od ust pocałunki, nawet salutowali. Dzieci były bardzo zadowolone, szczebiotały wciąż, jak para szpaków:

— *Bonjour, monsieur... Au revoir, monsieur...*

Szczerbina obcierała wierzchem dłoni wąsy, powtarzając co chwila: — Bum, kamrat, bum!... Szczerba, który nie znał nawet takiej francuzczyzny, na migi tylko pokazywał żołnierzom swój worek z tytuniem, zachęcając do brania. Brali też tak obficie, że wkrótce ani żdźbła w worku nie zostało.

Upłynęła przeszło godzina, i już wieczór zapadał, a bryka w miejscu stała, ruszyć dalej nie mogąc. Tłum gęstniał z każdą chwilą, stając się coraz natarczywszym i mniej przyjemnym. Dzieci uczuwały już znużenie, twarze obojga Szczerbów posępnieć zaczynały. Woźnica tylko wciąż stał z otwartymi jednakowo ustami, a Wierny, jak wpierw, nosa ze swej kryjówki nie wychylał.

Nagle przyskoczyło do arki dwóch nietrzeźwych huzarów francuskich, oraz jeden, zupełnie już pijany, piechur.

— *Fourrage!... Fourrage!...* — krzyczeli kawalerzyści, ręce do worków z owsem wyciągając.

— Kleb!... Kleb!... — dopominał się głodny piechur, wypatrując chciwemi oczyma, gdzie podróżni żywność chowają.

Przestraszone dzieci przytuliły się do siebie. Szczerbina, gniewnie nachmurzona, odtrąciła ręką najbliższego z żołdaków, mówiąc głosem dość jeszcze przyjacielskim, lecz stanowczym:

— *Wata, kamrat, wata!... (Va t'en).*

Ale natrętnicy nie myśleli ustępować. Owszem, coraz gwałtowniej rwali się do worków. Widoczne było, że zamyślają o grabieży.

Józia, widząc szamotanie się swej opiekunki z pijanym napastnikiem, zaczęła płakać. Ale brat, zacisnąwszy pięście, kazał jej być cicho i zapewnił, że »do ostatniej kropli krwi« bronić jej będzie. Szczerba, wąsiska najeżywszy, wyciągnął z pod kozła kij sękaty, którym zwykł był podpierać się, gdy mu dawna rana na nodze dokuczała. Eks-wiwandyerka, dla której nie było nowiną poskramiać zuchwałych kamratów, zakasała rękawy, stając w wojennem pogotowiu.

Oboje wszakże Szczerbostwo rozumieli, że walka byłaby ostatecznością, bo nuż za tymi kamratami ująć się zechcą inni, którzy tu, już nie na setki liczyli się, lecz na tysiące?...

Gdy tak z jednej strony bryki napadnięci stawiają bierny, choć i energiczny opór, woźnica, po drugiej stronie stojący, podniósł nagle krzyk:

— A-o!... Ukradł!... Psia jego mać!...

Odwrócił się prędko Szczerba i ujrzał z przerażeniem, że trzech kawalerzyści, pochwyciwszy z bryki wielką więź siana oraz wór owsa, znikają ze swym łupem w tłumie...

Ścigać grabieżców byłoby szaleństwem, więc stary zaklął tylko siarczyście i z tem większą zajadłością zwrócił się do tych, których miał

przed sobą. Zwrócił się, niestety, zapóźno, gdyż piechur zdążył już porwać torbę z żywnością, a huzarzy, chwyciwszy za jeden koniec wór z owsem, ciągnęli go do siebie, gdy tymczasem Szczerbina i dzieci, przyczepiwszy się do drugiego końca, rozpaczliwie swej własności bronili. Mimo tej obrony i mimo sękatego kija Szczerby, i ten worek doznałby losu poprzedniego, gdyby nagle z pomocą napadniętym nie przybył — Wierny. Pies, dotąd cichy i zatajony, niespodzianie wyskoczył z ukrycia, i ległszy całym cielskiem na worku, zatopił potężne kły w ramieniu huzara, na miejscu go osadzając.

Krzyknął napastnik z bólu i worek puścił. Jednocześnie wszakże drugą ręką wydobył pistolet i, bez namysłu, Wiernemu w łeb wypalił.

Z jęklwym skowytem osunął się pies na dno bryki. W tejże chwili Szczerba wziął się do kija, Szczerbina do pięści, a Józio, z zaiskrzonym wzrokiem, rzucił się na huzara i za mundur pochwycił, na piersiach go rozrywając.

Na huk wystrzału, pośpieszył w to miejsce na koniu jeden z wyższych oficerów, w otoczeniu przybocznej świty. Grzmiącym głosem rozkazał tłumowi rozstąpić się; wydając zaś rozkaz, trzymał dłoń na szabli, a towarzysze jego mieli w pogotowiu nabite pistolety.

Dokoła arki uczyniło się wnet pusto. Jeden z huzarów zdążył uciec; drugiego jednak, tego

właśnie, który strzelał, trzymano za kołnierz, choć całą siłą wyrwać się usiłował.

Oficer kazał go natychmiast zatrzymać i czterem uzbrojonym gwardzistom pod areszt wziąć. Sam podjechał do bryki i wypytywać zaczął Szczerbów: skąd są, co tu robią, dokąd dążą i po co?

Francuzczyzna Szczerbiny okazała się niedostateczną do rozmowy z wyższym oficerem. Dzieci, ile mogły, dopomagały swej opiekunce; oficer na wszystkie swe zapytania otrzymał odpowiedź, niezbyt poprawną, ale zrozumiałą. Rozrzewniła go wysłuchana opowieść. Zsiadł z konia, aby uścisnąć dzieci, a ich opiekunom pomoc zapewnić. Niech tylko złożą na jego ręce skargę z wyszczególnieniem strat, a otrzymają wynagrodzenie. Gdy jednak Szczerba wystąpił z uwagą, że najchętniej przyjąłby owies i siano w naturze, taką otrzymał odpowiedź:

— Mój stary! Żołnierzem byłeś, a nie wiesz, że na wojnie łatwiej o złoto, niż o owies, o pasztet i szampana, niż o chleb i dobrą wodę do picia. Możemy ci zwrócić wartość furażu, ale nie furaż, gdyż nam samym furażu braknie.

Westchnął ciężko Szczerba, wspomniawszy o swych czterech konikach. Potem z torby, na piersiach noszonej, wydostał list do księcia i pokazał go oficerowi. Oficer z zajęciem oglądał

adres, na którym mógł być tylko wyczytać i zrozumieć słowo: P o n i a t o w s k i.

Tymczasem Józia, z pełnemi łez oczyma pochylona nad Wiernym, przywołała brata i z płaczem pokazywała mu ślady krwi na sianie. Pies leżał nieruchomo, tylko co chwil parę wstrząsały nim dreszcze.

Józio ujął ostrożnie łeb Wiernego w obie ręce, do góry uniósł, starannie obejrzał.

— Żyje!—radośnie zawołał.—Żyje i żyć będzie. Patrz, Józiu: tylko brzeg ucha ma przestrzelony.

Dziewczynka z czułością niezmierną jedną ręką objęła psa za szyję, drugą głaskała jego sierść jedwabistą, mówiąc, jak do dziecka:

— Uspokuj się, Wiernuś... Nic ci nie będzie. Niech piesek nie drży... Ja jestem przy piesku i Józio... Damy pieskowi jeść, damy pić; wygodne posłanie dla pieska przyrządzimy... A tamten zły człowiek już sobie poszedł i nie wróci...

Pod wpływem tych słów i miłego głosu dziewczęcia pies uspokajał się, o własnej sile łeb podnosił i rękę Józii lizał, jakby dziękując za współczucie. Rana, choć trochę krwawiła, nie była ciężką, ani tem bardziej niebezpieczną. Dzieci przemyły ją wodą, której zapas miały zawsze w bryce na wypadek, gdyby któremu w drodze dokuczało pragnienie. Krew przestała płynąć; Wierny, ułożywszy się wygodnie i zwinąwszy w kółko, zasnął.

Oficer, zwracając list do księcia Szczerbie, objaśnił go: najpierw, że »jenerała Poniatowskiego« w miasteczku niema, gdyż należy on do piątego korpusu Wielkiej Armii, ten zaś korpus kroczy inną drogą; powtóre, że o tem, gdzie się w tej chwili znajduje piąty korpus, oraz jenerał Poniatowski, jemu nic niewiadomo.

— Panie pułkowniku — przez tłumaczów swych zapytał Szczerba — może o tem będzie wiedział który z pańskich oficerów?

— Choćby wiedział, nie powie. Nam nie wolno ujawniać przed obcymi ruchu naszych wojsk. Przytem, ja nie mam żadnej łączności z korpu-sem piątym, i kierunek jego pochodu jest mi najzupełniej nieznany.

Gdy to przetłómaczono Szczerbie, bardzo się zafrasował. Twarz mu się wydłużyła, wąsiska na dół opadły... Zauważył tę zmianę oficer, żał mu się zrobiło starego wiarusa.

— No, no — rzekł uspokajająco, po ramieniu go uderzając — do zmartwienia niema jeszcze powodu. Nie dziś, to jutro twój książę się znajdzie... Nic o nim pewnego powiedzieć ci nie mogę, prawdopodobnie jednak, z korpusem króla westfalskiego, zmierza on, jak my wszyscy, do Wilna.

Pocieszyły te słowa Szczerbę, utrwalając w nim przekonanie, że na właściwej znajduje się drodze.

Pocziwy oficer kazał arce jechać za sobą i zawiódł ją na dziedziniec przestronnego dworu, w którym miał kwaterę. Żona jego z macierzyńską prawie czułością zajęła się dziećmi, ugaszczając je smaczną wieczerzą i ofiarowując im wygodny nocleg we dworze.

W kwaterze oficera znaleźli też gościnne przyjęcie Szczerba i jego żona. Rozkosze dobrej wieczerzy zakłócało im to jedynie, że się nie mogli ze współbiesiadnikami swymi porozumiewać. Nadaremnie Szczerbina przemawiała do nich swą najpiękniejszą francuzczyzną. Nie rozumieli, czy też udawali, że nie rozumieją.

— To pewnikiem nie są prawdziwe Francuzy — mówiła potem nadąsana eks-wiwandyerka do męża. — Toć wiem, że dawniej, czy o gorzałkę szło, czy o kielbasę, czy o *tabak*, czy o chleb ze szmalcem, zawszem z każdym Francuzem do ładu doszła. Ale to niezawodnie farmazony...

Nie zapomniano wreszcie i o Wiernym. Oprócz uczciwego żarcia, pies otrzymał bezpłatną pomoc lekarską. Weterynarz pułkowy opatrzył mu przestrelone ucho i dostarczył maści, która miała przyśpieszyć zagojenie się rany.

XI.

Oddział, z którym spotkano się w miasteczku z końcówką na *szki*, był tylko jedną dywizją jednego z korpusów Wielkiej Armii. Liczyła ona tych korpusów jedenaście, a ludzi było w nich ogółem siedm kroć sto tysięcy. Można powiedzieć, że, z wyjątkiem Aglii, całą Europę wiódł Napoleon na podbój Rosyi.

Kogoż nie było w tym międzynarodowym zespole! Trzecią zaledwie jego część stanowili Francuzi; na resztę składali się: Niemcy, Włosi, Szwajcarzy, Holendrzy, Hiszpanie, Portugalczycy i t. d. Polaków z Księstwa Warszawskiego było siedm dziesiąt tysięcy. Prócz tego znajdowali się Polacy w legii »Nadwiślańskiej«, którą generał Claparède przywiódł z Hiszpanii. Korpusy: Macdonalda i Oudinota miały również u siebie dzielnych synów Polski. Wchodzili oni wreszcie w skład »Młodej gwardyi«, dowodzonej przez generała Mortiera.

Z szumem i łoskotem wzburzonego oceanu,

z groźbą zniszczenia w sępich spojrzeniach i na zbronzowanych słońcem twarzach, ciągnął ten ogrom ludzi, koni, dział, furgonów, trzema drogami w stronę Niemna.

»Przejdź Niemen!« — tak brzmiało hasło Napoleona, rzucone rozkazująco w odezwie do armii. Od tego miały być rozpoczęte kroki wojenne. »Przejdziemy Niemen — zapowiadał — i przeniesiemy wojnę na ziemię nieprzyjaciela«.

Zgodnie z tym planem, posuwał się i książę Józef ku brzegom niemnowym. Znaleźć je miał pod Grodnem. Ale choć król Hieronim przeciągał postoje i w drodze mitrężył, zbliżono się pod mury Grodna o wiele wcześniej, niż zjawiała się tam powożona trzema końmi arka.

Ciężar bryki zmniejszył się o kilka worów owsa, a tego ubytku nie zrównoważyły zapasy ryżu, masła, wędlin i innych produktów, którymi pocziwi pułkownikostwo obdarowali swych gości. Niewiele wagi przybyło też od ciastek i cukierków, ofiarowanych dzieciom przez panią pułkownikową. Z płaczem serdecznym żegnała ona Józia i Józię, mówiąc, że takąż samą parkę pozostawiła w Paryżu pod opieką swej matki, a teraz nie jest nawet pewna, czy ją jeszcze kiedy zobaczy i do serca przycisnie...

Pułkownik, przyrzekłszy wynagrodzić Szczerbę za stracony owies, chciał ofiarować pieniądze, lecz stary wiarus oparł się temu stanowczo. Prosił tylko

o kartę, przez pułkownika pisaną, w której byłoby w języku francuskim stwierdzone: kto on taki, kogo ze sobą wiezie, dokąd dąży i której ze stron wojujących jest przyjacielem.

Doświadczony żołnierz przewidywał, że spotkania, podobne wczorajszemu, nieraz jeszcze powtórzyć się mogą. Wolał zabezpieczyć się od nich papierem urzędowym, niż sękatą laską i zębami Wiernego.

W chwili, gdy arka opuszczała miasteczko, księżę Józef, wraz z całym korpusem piątym, stał już na drugim brzegu Niemna, który przebył po wygodnym moście Grodzieńskim.

Szedł on naprzeciw generała Bagrationa, dowodzącego lewem skrzydłem armii rosyjskiej. A zadanie miał trudne, gdyż Bagration był wódz dzielny i przezorny, strony zaś za-niemeńskie, borów gęstych i zdradzieckich moczarów pełne, nierównie większą korzyść zapewniały wojskom miejscowym, niż przybyłym. Wprawdzie Bagration miał przy sobie tylko niecałe 40.000 ludzi, ale każdej chwili mógł być przyzywać na pomoc »armię obserwacyjną«, dowodzoną przez Tormasowa, a liczącą do 50.000.

Napoleon, który, częścią przez zwykłą sobie chętność, częścią dla obudzenia w podwładnych większej wiary w swe siły, wyrażał się lekceważąco o generałach rosyjskich, Bagrationa ani razu nie wspomniał. Mawiał on z gestem

pogardliwym: »I kogóż to ma Aleksander? Kogóż to mnie i wodzom moim przeciwstawić zamierza? Jest tam Kutuzow, ale go cesarz nie lubi dlatego, że Rosyanin. Jest Beningsen, ale ten już przed sześciu laty był starcem, teraz zupełnie zdziecinniał. Jest wreszcie Barclay, któremu nie brak męstwa i znajomości wojny, ale to oficer dymisyonowany, generał w stanie spoczynku«.

Zanim jeszcze ci trzech generałowie poprawili sobie opinię u Napoleona, przypomniał się jego pamięci Bagration. Przy pierwszym spotkaniu został on wprowadzie przez księcia Józefa pobity, zmuszony do ucieczki i dość długo ścigany, wprędce jednak ze strachu ochłonął i stanął na nowo w szyku bojowym. Pod Nowogródkiem pobił króla westfalskiego i strachu mu napędził, a w dwóch spotkaniach, które zaraz potem nastąpiły: pod Mirem i pod Romanowem, mężnie się bronił generałowi Latour-Maubourg i, choć z pola bitwy ustąpić musiał, ustąpił z honorem.

Księciu Józefowi te pierwsze kroki wojenne humoru nie naprawiły. Choć zwycięzca, chmurny był i kwaśny. Wiedział doskonale, że, gdyby miał pełną władzę, wszystkoby tu poszło inaczej, i Bagration znalazłby godnego siebie przeciwnika. Ale Hieronim paraliżował wszystkie jego kroki; był mu prawdziwą kulą u nogi.

W dodatku, serce ścisnęło się dobremu księ-

ciu, gdy widział niedostatek, z nędzą graniczący, wśród szeregów prowadzonej, choć nie dowodzonej przez siebie, armii. Księstwo Warszawskie ostatni grosz z siebie wycisnęło, aby swą siedmdziesięcio tysięczną armię wystawić, uzbroić, jako tako umundurować i na pole bitwy wysłać. Każdy z tych żołnierzy posiadał dwie rzeczy najpotrzebniejsze sprawie, której służył, mianowicie: dobrą broń i osobiste męstwo. Natomiast brakło mu rzeczy najpotrzebniejszych jemu samemu, począwszy od dobrego pożywienia, skończywszy na całych butach. Niejednemu z tych bohaterów z podartego obuwia palce wyłaziły; niejeden miał w twarzy i postawie dumę jeneralską, a stopy bose...

Książę, o ile mógł, wspierał rodaków własnymi pieniędzmi. Ale tu środki prywatne, choćby największe (a takich Poniatowski nie posiadał), nie wystarczały. Książę liczył, i miał prawo liczyć, na pomoc ze strony Napoleona. Wszakże te bohaterskie, choć głodne i bose, zastępy służyły przedewszystkiem jego sprawie, jego ambicyom...

Niestety, spotkał księcia z tej strony zawód zupełny. Na delikatne i prawie pokorne przypomnienie o potrzebach armii, której nawet żołdu w porę nie wypłacano, otrzymał od cesarza surową wymówkę:

— Teraz nie o chlebie i pieniądzach myśleć

trzeba, lecz o ściganiu i zwyciężaniu nieprzyjaciela!

Książę przypomniał sobie i towarzyszom swym wiersz Krasickiego o miłości Ojczyzny... i dalej bez szemrania swą ciężką powinność spełniał.

Rzeczą gorszą jeszcze od braków materialnych było dlań nienawistne zwierzchnictwo króla westfalskiego, i tego ciężaru za wszelką cenę pozbyć się postanowił. Tymczasem jednak posłuszny być musiał głupiemu Korsykaninowi, który go to tu, to owdzie przerzucał, ku wielkiemu strapieniu Szczerby, tracącego nieustannie ślady ściganego przez się księcia.

XII.

Kierując się zbieranemi po drodze wskazówkami, udał się teraz opiekun dzieci kapitańskich do Nowogródka.

Już książę Józef to miasteczko opuścił, wyszły też stąd jego hufce. Ale Nowogródek pełny był wspomnień o dzielnych wojownikach i dziarskim ich wodzu; wodzem bowiem, i to wodzem naczelnym, był dla wszystkich książę Józef.

Cała wojna budziła wśród tutejszych mieszkańców zapal niesłychany, a blask, jakim otaczano posagową postać Napoleona, padał w odbiciu nawet na jego lichego brata. Jeśli nie osoba i nie mądrość Hieronima, to przynajmniej błyszczący jego mundur utkwiał wszystkim w pamięci.

Nie wiedząc, gdzie się obrócić w obcym miasteczku, Szczerba kazał arce stanąć w pobliżu dużego, zapewne parafialnego kościoła. Sam wysiadł, aby rozpatrzyć się trochę w nowem otoczeniu i pomieszczenie wygodne dla dzieci i dla koników swych wynaleźć.

Dokoła arki skupiła się gromadka ciekawych. Rozmawiali między sobą językiem, którego dzieci nie rozumiały, choć zdawało im się, że rozumieją. Był to język niby polski, niby rosyjski, lecz naprawdę ani ten, ani tamten. Później dopiero dowiedziały się dzieci, że to był język białoruski, którego lud wiejski w tych stronach prawie wyłącznie używa.

Prócz wieśniaków, znajdowali się wśród ciekawych i obywatele miasteczkowi, przeważnie w wieku sędziwym, wszystko bowiem, co mogło nosić broń, do szeregów na ochotnika pośpieszyło.

Wieśniacy i mieszczenie przyglądali się podróżnym; podróżni przypatrywali się wieśniakom i mieszczanom. Do rozmowy nikt się jakoś nie kwapił, nikt pierwszy rozpoczynać jej nie chciał. Znać było w tym ludzie dziwną nieśmiałość, prawie dzikość.

Nagle wystąpił z gromadki chłopiec kilkunoletni, śniadawy na twarzy, w obejściu się prosty, z ciemnymi oczyma i prawie czarnymi włosami.

Chłopiec podszedł prosto do Szczerby i, uchyłając słomianego kapelusza, rzekł:

— Niech będzie pochwalony. Skąd jesteście, dobrzy ludzie?

Podobała się wiarusowi szczerza, szlachetna twarz chłopca. Odkłonił mu się grzecznie i odrzekł:

— Na wieki wieków. Z Księstwa jesteśmy, paniczu.

Na twarzy chłopca odmalowało się lekkie zniecierpliwienie.

— Dlaczego pan mówi: z Księstwa? Trzeba mówić: z Królestwa, z Korony, a najlepiej: z Polski.

— Przecie i tu jest Polska... — trochę naiwnie zauważył Szczerba.

— Nie, proszę pana. Tu jest Litwa.

Przy ostatnich słowach chłopiec wzniósł oczy w niebo i dodał, jakby do siebie:

— Litwa, ojczyzna moja...

— To panicz jest Litwin?... — spytał wiarus.

— Tak. Ale duszę mam polską i cały należę do Polski.

— Jakże to być może? — dopytywał Szczerba, któremu chłopiec wydał się dziwnie pociągającym i niezwykłym.

— Dziwić się temu dziś — zapóźno. Jeśli jest w tem coś dziwnego i cudownego, to ten dziw i ten cud spełnił się już bardzo dawno, za Jagielly jeszcze, za Zygmunta Augusta. Odnowił się potem za Kościuszki, a da Bóg, powtórzy się i teraz, przy Napoleonie...

Zaciekawione rozmową dzieci wysiadły z arki, przy Szczerbie stanęły. Zbliżyło się też do rozmawiających kilku mieszczan sędziwych w ka-

potach i, zażywając tabakę, głowami znacząco chwiało. Miny ich mówiły:

— Dobrze gada... Mądrze gada... Młody jest, ale rozum ma stary...

Żywe oczy chłopca pobiegły dokoła, obejmując jednym szybkim spojrzeniem Józia, Józie, Szczerbinę i spotniałe od znużenia koniki.

— Tak i za coś my tu marudzimy? — z litewskim akcentem zaśpiewał. — Słońce piecze, pod dach wszystkim nam trzeba. A konikom takóż.

Przysunęła się Szczerbina, w postawie wojskowej, ale uśmiechnięta.

— Paniczek tak grzeczny — z przymileniem rzekła — może będzie łaskaw wskazać nam jaki zajazd, ale jaki porządny, katolicki, bo te dzieci, co z nami jadą, to są pańskie, delikatne dzieci...

— A po cóż do zajazdu? Dla gości z Korony u każdego Litwina miejsce się znajdzie. A jeszcze w takim momencie! Wziąłby ja was, serdeczni moi, do siebie, ale u nas zamęt. Ojca przed miesiącem straciliśmy, matka zakłopotana, wygodę nie mieli. Zaprowadzę was do sąsiada i krewniaka: on was ochotnie ugości.

Do Józia się zwrócił:

— Daj mi rękę, towarzyszu. Ceremoniować się nam ze sobą nie należy. Myślę, żeśmy równiennicy.

— Ja mam czternaście lat... — oznajmił Józio, wyciągając rękę do uścisku. — A pan?

— Ach, drogi, nie nazywaj mnie panem! Jaby chciał, aby »panować« sobie przestali wszyscy ludzie, coś dopiero my, młodzi!

To »my, młodzi« ogłoszone zostało z taką dumą i z takim zapalem, że nikomu na myśl nawet nie przyszło uśmiechnąć się z tak wczesnej młodości.

Chłopcy podali sobie ręce, potem serdecznie się ucałowali.

— Niech nam się zdaje — rzekł chłopiec — że to się całuje Polska z Litwą...

W pół godziny później arka stała już pod szopą, na dziedzińcu jednego z prywatnych dworców; woźnica rozmawiał ze służbą po białorusku, opisując przygody, doznane w miasteczku z końcówką na *szki*; Szczerba opatrywał brykę i konie, przemyśliwając o świeżym zapasie furażu, a Szczerbinę i dzieci podejmowali uprzejmi gospodarstwo »chołodźcem« litewskim, zastawionym w ogrodzie, w chłodnym cieniu drzew wiśniowych.

Gdy Józio objawił chęć obejrzenia miasteczka, młody Litwinek ofiarował mu się za przewodnika. A gdy Józio zabrał ze sobą Wiernego, tamten przyprowadził swego psa, bardzo mądrego, który nazywał się Kruk.

Zaraz też chłopcy, z pieskami swymi, udali

się na przechadzkę, objąwszy się wzajem za szyje, jak dwaj starzy przyjaciele. A byli nimi w samej rzeczy, skoro wyobrażali Polskę i Litwę.

Obejrzawszy kościoły, których tu, wraz z klasztorami, aż siedm liczono, przebiegłszy szybkim, mimo upału, krokiem wąskie, drewnianymi, jakby wiejskimi, dworkami zabudowane ulice, wyszli przyjaciele za miasto, na górę, którą wieńczyły ruiny starego zamczyska, a o której Litwinek powiedział, że się nazywa »Góra Mendoga«.

Tam, zgrzani i spotniali, usiedli wśród bujnej trawy i kapelusze zrzucili, a lekki wietrzyk przyjemnie czoła im chłodził. Rozkoszując się prześlicznym widokiem, jaki się stąd roztaczał, zapuścili się w poważną dysputę.

Właściwie z powagą wystąpił Litwin; Koroniarz dostrajał się tylko do niej, nie bez pewnej trudności. Doznawał on wrażenia, jakby go towarzysz wciągał za sobą na górę wysoką, gdzie dotąd nigdy jeszcze stopa jego nie powstała... W pierwszej chwili czuł zawrót głowy i strach przed spadnięciem; potem jednak śmiałość towarzysza dodała mu odwagi, i sam sobie dziwił się, że bez niebezpieczeństwa stąpa po takich wyżynach.

Wierny i Kruk, zaprzyjaźniwszy się ostatecznie ze sobą, wyprawiały harce na zboczach góry; potem jednak i one, uczuwszy zmęczenie, wśród trawy przyległy.

— Czy ty wierzysz w Napoleona? — spytał nagle Józia nowy przyjaciel.

Pytanie zakłopotало chłopca. Słyszał on nie-raz swego ojca, wyrażającego się niedowierza-jąco o »Buonapartem«, któremu kapitan przyzna-wał wielkie zdolności strategiczne, ale geniuszu odmawiał.

Przyszło jednak na myśl Józiowi, że może w tej chwili i jego ojciec zmieniłby zdanie. Więc po namyśle odpowiedział:

— Urodziłem się i wychowałem w domu żoł-nierza, w otoczeniu wojskowych. Od dzieciństwa słyszałem pochwały, składane Napoleonowi przez znawców sztuki wojennej. Wierzę zatem, że Na-poleon jest dziś największym na ziemi wojow-nikiem.

— To mało! — rzekł tamten. — Mnie chodzi o sprawę ważniejszą. Powiedz mi: czy wierzysz, że Napoleon zbawi Polskę?

— Wszyscy tak mówią, trudno i mnie o tem wątpić.

— Słuchaj! — podniósł Litwin głos, wpatru-jąc się w Józia wzrokiem roziskrzonym. — On Polskę zbawić musi. Musi, choćby nie chciał. Jego z tą misją na ziemię posłano.

Zmarszczyło mu się czoło od wysiłku myśło-wego. Potarł je dłonią i wzrok wypuścił w prze-strzeń, pomiędzy niebo a ziemię. Zdawał się upa-

trywać tam czegoś, co zwykłym oczom było niewidzialne.

— A jeśli nie on — mówił dalej — to syn jego, może wnuk, może nawet ktoś z linii bocznej... To pewna, że zbawienie Polski od nich wyjdzie.

Głos zniżył i znów Józioowi prosto w oczy spojrzał. Ale teraz wzrok jego był tak dziwny, pełny tajemnicy i blasku nienaturalnego, a przytem jakby lekko zezujący, że chłopiec wytrzymać go nie mógł i powieki opuścił. Uczuł coś nakszałt lęku.

— Słuchaj! — mówił tamten swym poprzednim, stanowczym, prawie kaznodziejskim głosem. — Nic się nie dzieje na ziemi, coby już wpierw nie było działane u Boga. Istnieje księga, w której są zapisane wszystkie rzeczy przyszłe. Karty tej księgi można niekiedy podpatrywać, a kto tego dokaże, ma moc przepowiadania przyszłości. Ludzie nazywają go wieszczem. Ja... Ale o tem mówić zawczasie. Nie zrozumiałbyś mnie, serdeczny Koroniarzu. Powiedziałbyś jeszcze może: — Waryat...

Józio chciał wystąpić z jakąś uwagą, tamten nie dał mu przyjść do słowa.

— Nie przerywaj mi. Chcę wyjawić tobie tajemnicę, o której skądinąd pewniebyś się nie dowiedział. Choć równy tobie latami, już wiele, bardzo wiele przeżyłem... myślą. Słuchaj! Czło-

wiek ma w sobie moc wielką, której się nawet nie domyśla. Ta moc tai się w jego duchu, a na zewnątrz objawiać się może: mową i — wzrokiem.

Podniósł oczy do nieba i pokazał Józiowi mały, czarny punkcik, poruszający się wysoko w otchłani błękitu.

— Tam, nad naszemi głowami — mówił napół nieprzytomnie, ściskając mocno rękę towarzysza — buja ptak drapieżny, jastrząb lub sokół. Czy wiesz? gdybym wzrok wyteżył, ducha nim wysłał i strzelił spojrzeniem, jak piorunem, ten ptak runąłby martwy u stóp naszych!

Józio drżał, silnie wzruszony. Jeszcze się dotąd z taką mową i z podobnymi chłopcami nie spotykał. Czuł się jakiś »nieswój« i podejrzliwie, z pewną nawet obawą, na towarzysza spoglądał.

Tamten jednak zerwał się nagle na nogi, rzeźki, wesoły, i znów się stał tym samym, co wpierw, prostym, serdecznym chłopcem.

— Patrzno, mój drogi, co te pieski wyprawiają — ze śmiechem zawołał. — Zwietrzyły pewnie kunę, albo tchórza. Muszę tu przyjść jutro i żelazo zastawić, schwytam niezawodnie którego z tych szkodników. Jeśli nie wyjedziesz, zrobimy to obydwu. Możemy nawet zaraz to zrobić. Ale może wolisz teraz pójść do kąpieli? Zaprowadzę cię w jedno doskonałe miejsce. Nie masz pojęcia, jaka wyśmienita kąpiel w Niemnie. Będziemy także zbijali »kaczki« na wodzie.

Zaraz po tych słowach obaj porwali się na nogi i z głośnym śmiechem zbiegli pędem ze stromej góry. Kruk i Wierny rzucili się za nimi w podskokach, przeraźliwie szczekając i aż skowycząc z wielkiej uciechy.

Niebawem znaleźli się chłopcy nad rzeką, użyli wybornej kąpieli i powrócili do miasteczka.

Zastali Szczerbinę, rozповідаjącą z ferworem swe przygody wiwandyerki, Józię, bawiącą się w ogródku z młodszą od siebie dziewczynką, i Szczerbę, srodze strapionego tem, że nawet za wysoką cenę nie może dostać furazu.

Młody Litwinek, choć miał głowę górnemi myślami zaprzątńioną, umiał jednak i w tym potocznym wypadku stać się wiarusowi pożytecznym.

— Tu pan dobrodziej furazu nie dostaniesz — mówił, nazywając starego »panem dobrodziejem« dla jego siwych włosów i służby przy Kościuszcze. — Polskie i saskie koniki wyjadły tutejszy owies do ostatniego ziarnka. Ale zaraz za Nowogródkiem mieszkają w zaścianku znajomi mojej matki, nawet trochę krewni, wszyscy jednego nazwiska i prawie same »Maćki«. Umieją oni ukryć tak dobrze swoje zapasy, że ich sam dyabeł nie wytropi. Dam panu dobrodziejowi do nich kartkę, dostarczą owsa, ile będzie trzeba.

Poczęstowano chłopców litewską potrawą: ogórkami z miodem. Józiowi bardzo ona smako-

wała. Przy jedzeniu opowiedział nowemu przyjacielowi cel swojej podróży. Tamten wysłuchał opowiadania z zajęciem, a potem westchnął i rzekł:

— Szczęśliwy jesteś, mój drogi, że, gdy już swego księcia dogonisz, będziesz przez czas dłuższy blisko niego. Towarzystwo wielkich ludzi musi być i przyjemne, i korzystne. Zawsze jakaś, choćby maleńka, cząsteczka ich wielkości nam się dostaje. Cóż dopiero, gdy cię książę uczyni ułanem, gdy pod jego komendą, w kasku błyszczącym, z czerwono-białą chorągiewką w dłoni, na ślicznym koniu harcować będziesz! Zazdrościłbym ci, gdyby zazdrość nie była grzechem.

— Jeśli cię zawód wojskowy tak pociąga — zauważył Józio — to czemużbyś sam nie mógł zostać żołnierzem? Wstąp do ułanów, może będziemy kiedy w jednym pułku, pod jednym wodzem, służyli...

Chłopiec potrząsnął głową przecząco.

— Nie, drogi, tak nie będzie. Prawda, że mnie bardzo nęci szabla i lanca, ale silniej od nich pociąga mnie książka i pióro. Wszyscy nie mogą być żołnierzami. Obok tych, którzy walczą, muszą być inni, którzy ich walki opisują. Gdyby tych ostatnich nie było, zaginęłaby pamięć największych bohaterów. Prócz towarzyszków, niktby o nich nie wiedział. Walczyliby, odnosili zwy-

cięstwa i ginęli z ręki nieprzyjaciół bez nadziei zmartwychwstania.

— Więc ty... — zagadnął ciekawie Józio.

— Ja — przerwał żywo tamten — pragnąłbym być świadkiem walki po to tylko, żeby ją później opisać. Czuję, że takie jest moje powołanie. Podzielimy się zatem pracą: ty, miły Koroniarzu, będziesz polskim Achillem lub Hekto-rem, ja — stanę się twoim Homerem!

Dumnie uniósł głowę do góry i ręką potrząsnął w powietrzu ruchem wyniosłym — zaraz jednak przybrał zwykłą postawę i serdecznie śmiać się zaczął.

— Homer z Nowogródka... jak to brzmi zabawnie! Ha, ha, ha!...

Znów spowaźniał.

— Wiesz? Widziałem na własne oczy tego króla, z którym twój książę idzie na Moskwę. Patrzyłem na niego, jak w tej chwili na ciebie. W naszym domu stanął kwaterą z całym sztabem swoim. Dom obstawili gęsto sztyldwachami, by nikogo blisko nie dopuszczać; nam wynieść się kazano. Ale wdrapałem się na drzewo i wszys-
tkom widział doskonale. Długim szpalerem ustawili się oficerowie, wszyscy w mundurach bogatych, srebrem i złotem haftowanych, zielonych, błękitnych, czarnych, z rabatami płonącymi, jak maki polne, jak żółte róże, jak chabry w życie... A na ich kaskach kity sążniste, koń-

skie chwosty, złociste blachy i orły. Wszystko to gięło się w pokłonach, jak poruszone wiatrem kłosa, a król szedł środkiem, ze wszystkich najpiękniejszy i najstrojniejszy, i tylko palce prawej ręki niedbale do czapki przykładał. Mówię ci, bił od niego taki blask i majestat, że byłem jak olśniony... W głowie mi się zakręciło, omal z drzewa nie spadłem... Ale czy myślisz, żem marzył wówczas, by stać się podobnym któremu z tych oficerów, lub nawet samemu królowi? Bynajmniej! Najśmielszem mojem marzeniem było — i jest dotąd — ten obraz wspaniały utrwalić i innym pokazać.

Po obiedzie naradzano się poważnie nad tem: dokąd teraz drogę obrócić? Korpus piąty, w którym znajdował się książę Józef Poniatowski, rozdzielił się na kilka części, usiłujących z kilku stron jenerała Bagrationa osaczyć i pokonać. Którym z tych oddziałów dowodził książę, nikt w Nowogródku nie wiedział.

— Zgadnij, Jezu, kto cię bije! — powtarzał zafrasowany Szczerbera, rozkładając ręce bezradnie. — Na północ jechać, czy na wschód? Do Mira, czy do Nieświeża? Radźcie, moi państwo, bo ja głowę ze wszystkim straciłem!

Szczerbina tarła wierzchem ręki szpakowate wąsiki, medytując i mruczając:

— Otóż sęk... A w sęku dziura!...

Gospodarz, który już wcześniej wychodził na

miasto języka zasięgnąć, zażył tabaki, kichnął, nos utarł i tak rezolutnie oświadczył:

— Moi acaństwo dobrodziejstwo! Szukać księcia na drodze, a wiatru w polu — jedno jest i toż samo. Jeszcze, Boże, odwracaj, pomiędzy bijących się można wpaść i po uszach oberwać. Ale *est modus in rebus*, to znaczy: że, kto ma głowę na karku, na wszystko lekarstwo znajdzie. Zważcie, acaństwo dobrodziejstwo: dokąd dążą wszystkie oddziały Wielkiej Armii? Jużci nie gdzieindziej, jeno tam, gdzie znajduje się główny jej wódz, Napolion. A dokąd dąży Napolion? Nie gdzieindziej, jeno do Wilna. Tandem tedy, acaństwo dobrodziejstwo...

Szczerba, nawykły energicznie działać i prędko myśleć, w mig zrozumiał mówiącego.

— A więc, moi państwo, co tu długo gadać. Do Wilna pojedziemy i kwita. Tam będzie nasz książę i tam będzie sam cesarz Neapolion.

— Cesarz!... Zobaczymy cesarza!... — wykrzykiwać zaczęły z zapalem uradowane dzieci.

— Wieczór blisko, powietrze się ochłodziło, więc, moi państwo, sakum-pakum i w drogę!

Tak się też stało, i w chwili, gdy słońce zachodzące skryło się za górę Mendoga, arka, w trzy konie zaprzężona, zajechała przed dworek, i podróżni miejsca w niej zajęli.

Serdecznie żegnał się Józio ze swym nowym przyjacielem. I nie dziw, gdyż to Korona rozsta-

wać się miała z Litwą, a któż mógł zgadnąć, jak prędko znów się ze sobą połączą!

Gdy już po raz ostatni podawali sobie dłonie, Józio zawołał wesoło:

— A to doskonałe! Tyleśmy się ze sobą nagadali, a jeszcześmy nie powiedzieli sobie, jak się nazywamy...

— Cóż tam nazwisko! — zauważył obojętnie Litwinek. — Nazwisko człowieka zwykłego to pusty dźwięk bez znaczenia. Dopiero gdy je z pośród tysięcy i milionów wyróżni wielki czyn i wielka sława, nabiera ono blasku i wartości. Rozumiem nazwiska: Kopernik, Kochanowski, Bonaparte... W każdym razie miło mi będzie wiedzieć, jak się nazywasz, miły Koroniarzu?

— Nazywam się bardzo prosto: Józef Kalinowski. A ty?

Litwin odrzekł ze śmiechem:

— A ja jeszcze prościej: Adam Mickiewicz.

XIII.

Po dniu upalnym nastał wieczór cichy, miły, obfitą rosą odświeżony, chłodzący twarze muskaniem łagodnego wietrzyku.

Zesunięto płócienny daszek arki, wszyscy rozkoszowali się pełnią świeżego, wonią łąk nasiąkłego powietrza. Szczerbina zabawiała dzieci uciesznymi powiastkami, w których prawda i zmyślenie tak się ze sobą zespalały, że ich rozróżnić nie było sposobu. Szczerbera podśpiewywał pod nosem marsza kościuszkowskiego, pykając siny dymek z krótkiej, żołnierskiej fajeczki. Białorus na koźle milczał swoim zwyczajem, jak zakłęty.

Jeszcze różowo-złote zorze nie zgasły na zachodzie, a już z przeciwnej strony nieba ukazał się księżyc, jak wielki, srebrny pieniądz, i bladą poświatę rzucił na wierzchołki drzew, na dachy chat wiejskich, na szklaną powierzchnię jezior, strumieni, rzeczułek.

Okolica, przez którą jechali, była falista, a stąd rozmaitości pełna. Porosłe sośniną i świer-

kami pagórki, to zakrywały, to odsłaniały widok na zielone doliny, krętymi wstęgami wody przerżnięte, mokradeł pełne, wśród których brodziły bociany i żerowały dzikie kaczki.

Wioski były tak bardzo od siebie odległe, że kraj wydawał się prawie bezludny. A i w wioskach, rzadko napotykanym, cisza panowała wielka, i tylko w niewielu chatach płonęły ognie wieczorne.

Konie, najedzone i wypoczęte, biegły żwawo, potrząsając łbami i wesoło parskając. Dzieciom było tak dobrze, czuły się tak swobodne i bezpieczne... Już im podróż nie wydawała się oglądaniem ładnej książki z obrazkami; widziały w niej teraz jakby wcielenie cudownej baśni. Wzmagająca się z każdą chwilą jasność księżycowa nadawała wszystkiemu kształty idealne, powiewne, napół fantastyczne...

Milczał Józio, nie odzywała się Józia, oboje pragnęli, żeby ta podróż przeciągała się do nieskończoności i żeby zawsze na niebie było tak jasno, w powietrzu tak wonno, na ziemi tak srebrzyście. Obawiały się też, żeby jakiś głos obcy, niepożądany, nie zmącił ciszy i nie zepsuł uroku.

Niestety! tak właśnie się stało.

Już zbliżała się północ, i księżyc, swą drogę obiegłszy, już miał zachodzić, gdy arce wypadła droga przez las dość gęsty. Zaledwie do tego

lasu wjechano, wypadło z gąszczów kilku nocnych włóczęgów i wzywać zaczęło jadących, aby się zatrzymali...

Podróżni domyślili się tego żądania więcej z głosu, niż ze słów, ostatnie bowiem brzmiały dla nich zgoła niezrozumiale. Napastnicy posługiwali się kilkoma językami naraz, nie należeli widocznie do jednej narodowości.

Szczerba rozkazał woźnicy, aby nie tylko nie stawał, lecz owszem, ze zdwojoną szybkością starał się niebezpieczny las przejechać.

Wówczas napastnicy puścili się pędem za arką, a że konie po drodze, pełnej dołów, gałęzi i wystających korzeni, prędko biedz nie mogły, zbliżyli się do podróżnych prawie na odległość jednego kroku.

Choć między drzewami było dość ciemno, doświadczone oko Szczerby poznało odrazu, z kim miał sprawę.

— Dezertery... — mruknął do żony tonem pogardliwym.

— Uciekiniery! — poprawiła męża Szczerbina i w stronę owych ludzi plunęła.

Dzieci, jakby nagle ze snu głębokiego zbudzone, wołać zaczęły płaczliwie:

— Zbójce!... Opryszki!... Mordercy!...

Tamci zajadle, krzyczeli, wywijając grubemi pałkami. W ręce jednego z nich błyszczała obnażona szabla kawaleryjska. Krzyczeli po niemiecku,



Zabłyśły ku napastnikom skierowane lufy.

po włosku, po holendersku, a pośród nawału wyrazów cudzoziemskich powtarzał się jeden, przez wszystkich wówczas używany i dla wszystkich zrozumiały:

— Kleb!... kleb!... kleb!...

Szczerba rozkazał żonie półgłosem:

— Worek z bronią!...

Po chwili i on i żona trzymali w ręku nabite pistolety. Szczerba prócz tego położył przy sobie niewielki, ale ostro bijący karabinek. Trzeci pistolet wręczono Józiowi, przestrzegając wszakże, aby nie strzelał, dopóki nie usłyszy wyraźnej komendy.

Las zaczął się przerzedzać; wskrós gałęzi przedarło się światło księżyca; w świetle zabłysły ogniście skierowane ku napastnikom lufy.

Ten widok podziałał na nich uspokajająco. Zwolnili bieg i przyciszyli głosy. Słowo »kleb« zabrzmiało teraz w ich ustach mniej groźnie — prawie prosząco.

Droga stała się gładsza; Białorus konie wypuścił. Jeszcze kilka minut gonitwy i las skończył się — przed podróżnymi rozłożyła się piękna, otwarta, w księżycowej jasności skąpana, dolina.

Szczerba, pistoleta nie odkładając, rzucił żonie komendę:

— Worek z chlebem!...

— Bum! — potwierdziła domyślna kobieta.

W chwilę później, stary wiarus stał w bryce,

mając przed sobą cztery bochny chleba. Bowiem i napastników było czterech.

— Masz, gałganie! — zawołał, rzucając chleb najbliższemu napastnikowi. — Najedz się do syta, i póki czas, wracaj do szeregów, któreś tak haniebnie tchórzostwem swem zeszpecił!

Wziął drugi bochen i rzucił drugiemu z gojących.

— Masz i ty, a nie bądź durniem i Napoliona w potrzebie nie porzucaj!

Rzucił kolejno chleb trzeciemu i czwartemu, z temiż samemi upomnieniami.

Włóczęgi słów nie zrozumieli, ale lufy pistoletowe i bochenki chleba przemówiły do nich wyraźnie i przekonująco. Porzucili odrazu postawę groźną, i objawiając wdzięczność wymownymi ruchami, w gąszczach leśnych zniknęli.

Niebezpieczeństwo było zażegnane — jednak Szczerba nie przestawał wąsów w dół ciągnąć i pod nosem gniewnie mamrotać. Eks-wiwan-dyerka milczała, sapiąc ze złości. Nagle oboje usłyszeli głośną sprzeczkę pomiędzy dziećmi.

Józia czyniła wymówki bratu, że nie tylko nie dał jej broni, lecz nawet swego pistoletu dotknąć się nie pozwalał.

— Cóż ty sobie myślisz! — mówiła. — Czy to ja strzelać nie umiem? za cyngiel pociągnąć nie potrafię? Czy to ja nie jestem córka kapitana?!...

— Nie babska rzecz wojować... — lekceważąco uspokajał ją brat.

— A czyś to nie słyszał o wojujących Polkach? Czy nie znasz historyi Dziewicy Orleańskiej? Czyś nie czytał o Amazonkach?

— To dawne dzieje! — odparł Józio z pogardliwym skrzywieniem ust. — Dziś kobieta powinna siedzieć w domu; dzieci, kuchni i gospodarstwa pilnować...

— Wyuczyłeś się zdania z jakiejś książki i powtarzasz je, jak papuga!

Zaczerwienił się chłopiec, usta zagryzł.

— No, no, nie gniewaj się — uspokoiła go siostra. — Przecie książki są od tego, żeby nas uczyły rozumu. Więc i to, coś powiedział, musi być rozumne. Ale, widzisz... czasem i kobieta chwycić musi za strzelbę lub pistolet — choćby w obronie owej kuchni i gospodarstwa.

Udobruchany Józio spokojniejszym już tonem rzekł:

— Pomyśl jednak, że strzelanie, to nie zabawka. Strzela się po to, aby wroga ciężko ranić lub trupem położyć. Czyżby ci było przyjemnie zabijać człowieka?

Dziewczynka aż podskoczyła na siedzeniu ze zgrozy i przerażenia.

— Zabijać?... Któż tu mówi o zabijaniu?... Na samą myśl o tem dusza się we mnie wzdryga.

— Na cóż ci zatem pistolet?

— Na to, żeby strzelać... w powietrze.

Tu już słuchacze wytrzymać nie mogli. I Józio i Szczerba i Szczerbina głośnym wybuchnęli śmiechem.

— Z czego się państwo śmiejecie? — zdziwiła się dziewczynka. — Zaręczam wam, że gdyby tylko zbójca usłyszał huk, zarazby uciekł!

Słuchacze z trudnością powstrzymali nowy wybuch wesołości — dziewczynka zaś dowodziła dalej:

— Wszyscy mówią, że kobiety nie powinny brać się do wojny. A ja wiem, że gdyby mi pozwolono, urządziłabym wojnę daleko lepszą od dzisiejszej...

— Pewnie bez armat i karabinów? — zauważył żartobliwie Józio.

— O, bynajmniej! Byłyby karabiny i byłyby armaty, ale wszystko nabijane — samym prochem.

— Wyśmienicie! — wykrzyknął z ogromną wesołością Józio.

— Bum! — potwierdziła Szczerbina.

— A bomby i kartacze — wtrącił Szczerba z udaną powagą — pewnieby panienka Józia kazała robić z ciasta pasztetowego.

Józio dodał:

— A w środku byłyby konfitury z malin... Wesołość udzieliła się i dziewczynce.

— Właśnie, że nie z malin — poprawiła — lecz z agrestu, bo ja takie najlepiej lubię.

Wszyscy śmiali się i żartowali. Nagle jednak zamilkli i nadsłuchiwać zaczęli.

Wierny, w tyle bryki straż trzymający, groźnie warczał...

Księżyc już zaszedł, i ziemię okrył mrok przedporanny. Trudno było rozeznawać przedmioty, tembardziej, że z mokrych łąk podniosła się mgła i mętnemi, rozchwianemi falami wszystko dokoła zalała. Podróżni wytężyli wzrok, lecz nic w ciemnościach dostrzedz nie mogli. Jednak przedłużające się warczenie psa dowodziło, że ktoś znajduje się w pobliżu.

Wśród mgły trudno było jechać zbyt prędko; owszem, ostrożny Białorus, choć znał drogę, lejce ścigał i koniom tylko na wolnego pozwalał truchcika. Zwiększało to niebezpieczeństwo na wypadek nowej napaści.

— Broń mieć w pogotowiu! — rzucił cichą komendę Szczerba.

Szczękneły odwodzone kurki.

— A ja?... A o mnie pan Szczerba zapomniał? — przypomniała się półgłosem Józia.

Wiarus w milczeniu podał dziewczynce pistolet.

Wierny, spoczywający dotąd na swem legowisku, nagle na łapy się porwał, nos wytknął i zaczął już nie warczeć, lecz głośno ujadać.

— Są blisko... — szepnął Szczerba, ściska-

jąc jedną ręką pistolet, a drugą opierając na karabinku.

Wszystkim serca biły mocno. Niebezpieczeństwo wiadome mniejby ich przerażało, napastnik widoczny wydawałby się im mniej straszny — ciemność i tajemnica wszystko wyolbrzymiały, działając na umysły przygnębiająco.

Nawet Szczerba, stary, ostrzelany żołnierz, czuł, jak mu dreszcz zimny przebiega po krzyżu.

Upłynęło kilka minut w dręczącej niepewności. Wierny nie przestawał rzucać się i czekać.

Wkrótce przekonano się, że jacyś ludzie znajdują się przed kołmi. W tę stronę pies wytknął mordę, i w tej stronie ozwały się stłumione głosy. Tam też obrócili wszyscy lufy pistoletów.

Nagle rozległ się tuż nad głowami podróżnych ogłuszający huk wystrzału. Zaraz po nim Józia przeraźliwie krzyknęła.

Rzucili się wszyscy do dziewczynki, obawiając się, że raniona. Ale Józia, trzymając w trzęsącej się ręce pistolet, z którego dym się wydobywał, napół z płaczem mówiła:

— To nie ja... Jak Bożę kocham, nie ja... To sam pistolet wystrzelił...

— Jezus, Marya! — zawołał przyciszonym głosem Szczerba. — Mogła była panienka uśmiercić mnie, albo moje żonisko... Toć w naszą stronę broń była wymierzona.

— Cóż znowu! — zaprzeczyła dziewczynka. — Ja celowałam zupełnie w co innego...

— W cóż?

— W gwiazdę, co świeci nad nami.

Rozmowa trwała kilka sekund zaledwie. Jeszcze się nie skończyła, gdy od strony zbliżających się ludzi padły dwa strzały. Kule świsnęły koło uszu Szczerby.

Jednocześnie rozległy się wołania:

— Stój! stój!... Coście za jedni?

Białorus, nie czekając rozkazu swego pana, lejce ściągnął, konie na miejscu osadził.

— Co robisz, durny chłopie? — z pasyą wykrzyknęła Szczerbina.

— Wiem, co robię — odrzekł spokojnie woźnica, okręcając sobie lejce dokoła dłoni i z zupełną obojętnością zapalając krzesiwem małą fajeczkę.

W mgnieniu oka arkę otoczyło sześciu, dziko wyglądających, ludzi. Zbliżka, pomimo mgły, można było poznać, że wszyscy odziani byli w białe kurty, przepasane szerokimi, skórzanymi pasami, na nogach zaś mieli łapcie. Każdy z ludzi trzymał w ręce broń jakąś: szablę, pistolet, oszczep lub choćby sękatą, do maczugi podobną, pałkę.

Prócz tego, wszyscy mieli za pasem wielkie noże myśliwskie.

Najroślejszy, wyglądający na herszta bandy

przyskoczył z groźną twarzą do Szczerby i zakrzyknął:

— Hola! Kto wy jesteście? — i dla czego po nocy do niewinnych ludzi strzelacie?

— Hola! — odpowiedział tymże tonem nieustraszony wiarus. — To ja właśnie zapytać was muszę: dlaczego strzelaliście do niewinnych podróżnych.

— Strzelaliśmy, bo do nas strzelano. Kulami odpowiedzieliśmy na kule.

— Nasz strzał był nieumyślny. Spowodowało go dziecko, pociągnąwszy nieostrożnie za cyngiel.

Wyrazy: »dziecko«, »strzał nieumyślny«, dziwnie oddziaływały na nieznajomych. Opuścili podniesione bronie; przez długą chwilę stali, milcząc, jakby obezwładnieni wielkiem przerażeniem.

Wreszcie ów najstarszy, głęboko westchnąwszy, zdjął czapkę, i dłonie składając, jak do pacierza, wyrzekł:

— Taki nam wszystkim Panu Bogu podziękować trzeba, że nas łaską swą przenajświętszą od grzechu śmiertelnego uchronić raczył! Toż mało brakło, żebyśmy się zabójcami ludzi niewinnych stali, dusze zbrodnią morderstwa obciążyli...

Oczy do nieba wzniosł i pobożnie się przeżegnał.

Inni również obnażyli głowy i przeżegnali się.

Otucha wstąpiła w serca podróżnych. Poznali,

że mają sprawę z dobrymi katolikami, a przeto z ludźmi, których o złe zamiary posądzać nie można.

Wierny odgadł to może instynktem, a może z zachowania się tych ludzi rozumnie wywnioskował. Przestawszy szczekać, wyskoczył z bryki, do przybyszów, jak do dobrych starych znajomych, łąsić się zaczął.

Więc Szczerba, wąsy pogłodziwszy, rzecze:

— Pytaliście nas, cośmy za jedni? — ale tłumaczyć się ludziom obcym i w dodatku — z przeproszeniem waszem — podejrzanym, nie wydało się nam rzeczą potrzebną i przyzwoitą. Teraz, gdy widzimy, kogo mamy przed sobą, nic ukrywać nie potrzebujemy.

Po tych słowach, szeroko i dokładnie opowiedział: skąd jedzie i dokąd, kogo wiezie i w jakim celu podróż odbywa.

Mniemany »herszt« wysłuchał opowiadania z wielką uwagą. Wysłuchawszy, rozrzewnił się, łzę rękawem otarł...

— Biedne sierotki!... Aniołki serdeczne!... Toż wam przyszło, duszyczki wy moje, w tak rannych latach na kraj świata wędrować!... Niechże się wam przypatrzę, niech was uściskam...

Przystąpił do samej bryki i, ujmując kolejno w szerokie ramiona Józia i jego siostrę, z całego serca oboje wycalował.

— A teraz — rzekł, prostując się i do Szczerby obracając — nam trzeba także wam się przedstawić i objaśnić: skąd się tu wzięliśmy o północy, całą kupą, z orężem w dłoni. Wzięliście nas może za nocnych włóczęgów, za ludzi złych, na krzywdę bliźniego dybiących... Boże uchroni! wcaleśmy nie tacy. Jesteśmy dobra, choć nie bogata, szlachta. Ponieważ w tym srogim czasie wojennym namnożyło się u nas łotrów i niegodziwców, i już po drogach rozbijać zaczynają, więc zbieramy się na każdą noc w kilku, żeby nad dobytkiem swoim i cudzym czuwać, a łotrów chwytąć, wiązać, i w razie zbrojnego oporu, we łby im strzelać.

— Bum! — objawiła swe uznanie dla tak szlachetnych trudów Szczerbina. — Niech Bóg waszmościom błogosławi. Już i nas napastowano, aleśmy się szczęśliwie lufami pistoletów obronili...

— I bochenkami chleba, mamó Kundziu! — dodała żywo Józia. — Ja myślę nawet, że chleb więcej pomógł, niż pistolety.

— Ty, panienczko — odrzekł ze śmiechem przybysz — wojuj chlebem, a twój stary opiekun niech taki ma zawsze od wypadku pistolecik. Będzie to lepiej i dla złotych gwiazdek na niebie, bo już żadna nie zostanie zastrzelona.

Zwrócił się zaraz potem do Szczerby, radząc mu, aby, o ile można, unikał jazdy nocą — i do-

pytując: dokąd zmierza i gdzie pierwszy postój odbyć zamyśla?

Usłyszawszy o zaścianku Dobrzyńskich, oświadczył:

— Dobrzy to ludzie, i chlebem a solą braci Koroniarzów przyjmą. Ale po co nazywać ich siedzibę zaściankiem? My mówimy prosto: okolica.

— A czy prędko tam staniemy? — spytał wiarus. — Bo dzieciom należałby się lepszy, niż na bryce, wypoczynek.

Tamten potoczył wzrokiem po niebie, zatrzymał go dłużej na wschodnich i zachodnich zorzach, po których ślad jeszcze niejaki pozostał, i rzekł:

— Jadąc dobrym truchtem, staniecie waszmość państwo u Dobrzyniaków na samym rozświcie. Ale mitrężyć nie trzeba. Jedźcie z Bogiem, bo czasu szkoda. My także śpieszyć musimy dalej — może innym podróżnym nasza pomoc przyda się na co. A że jeszcze nocy mamy kawałek, a droga przed wami niepewna, jeden z naszych przeprowadzi was przez te werstepy do bitego gościńca.

Pożegnano się z równą z obu stron serdecznością, i arka ruszyła dalej, obciążona jednym więcej podróżnym, który zajął miejsce obok Białorusina. Na intencję tego przybysza przypięzono zapasowego konia. Ciągniona przez

całą czwórkę bryka posuwała się szparko, co dzieci w doskonały humor wprowadzało.

Pomimo niewywczasu, nie myślały one o spaniu. Litwin rozповідаł takie ciekawe historye o zbójcach, dyabłach i dyabolicach! Dzieci słuchały z bijącym sercem, z powstrzymanym oddechem. Zajął ją zwłaszcza i łyzy z oczu im wycisnęła prześliczna legenda o Świteziance.

Potem jechano dość długo w zupełnej, usypiającej, ciszy. Pierwsza Szczerbina zwyciężyć się dała senności. Oparta o ramię męża, który napróżno starał się ją wytrzeźwić, chrapała głośno, wydając nosem i ustami grzmotliwe dźwięki trąby wojennej.

Dzieci milczały, pochłonięte całkowicie widokiem cudów, dziejących się teraz na ziemi i na niebie.

Z falującego morza mgły, które przed północą całą okolicę zalały, zaczęły teraz oddzielać się i podnosić lotne, dziwacznie pokręcone zwoje, dziwnie do istot życiem obdarzonych podobne.

W tych fantastycznych istotach dzieci widziały: to srebrno-brodech, w długie, białe płaszcze odzianych, kapłanów; to błyszczących srebrnemi zbrojami, w zwartym szeregu idących, rycerzy; to wreszcie zbójów, podniesionemi maczugami grożących. Po chwili, widziadła lotniejsze i smuklejsze przybierały kształty: były

dziewicami w bieli, róże białe sypiącemi; były boginkami leśnemi, wodnicami, świteziankami...

— Patrz! — przerwał nagle milczenie Józio, pokazując siostrze wydłużony, niknący w oddaleniu łańcuch widziadeł. — Toż to najwyraźniej nasze białe ułany! A na ich czele — przypatrzo się lepiej — czy poznajesz?...

— Księżę Józef! — wykrzyknęła dziewczynka tak głośno, że drzemiący zbudzili się i eks-wi-wanderka na chwilę chrapać przestała.

Upłynęło kilka chwil na wzajemnem wymawianiu sobie ospałości, poczem oboje starzy znów chrapnęli.

Oczy dzieci pobiegły na pola i łąki.

— Józiu! — zawołała dziewczynka, silnie brata ściskając za ramię — wiesz, co ja teraz widzę? Niezmierzoną ilość wojska — całe pułki, dywizye, korpusy — piechotę, konnicę, artylerję. Stoją w miejscu, ale niespokojni, drżący, oczekujący komendy... Poznają: to oni — to Wielka Armia!... A tam, na wzgórzu, na białym jak śnieg koniu, z lunetą przy oczach...

— Napoleon! — zawołał chłopiec z całej piersi, zrywając się i potrząsając kaszkiecikiem, jakby cesarza pozdrawiał.

Zbudzili się na ten okrzyk i w mgnieniu oka wytrzeźwiali Szczerbowie.

— Niech żyje cesarz! — wykrzyknął wiarus.

— *Wif Neapolion! Wif alarme!* — pośpieszyła za mężem eks-wiwandyerka.

Ale zaraz oboje zamilkli — i śmiech ogólny był zakończeniem tego epizodu.

Tymczasem widowisko, które przyroda jakby umyślnie dla dzieci urządzała, nowe przybrało kształty.

Owi kapłani, rycerze, zbójcy; owe boginki, wodnice, świtezianki; owe pułki ułanów polskich i niezliczone szeregi Wielkiej Armii — nagły powiew wiatru od ziemi oderwał, w górę uniósł, mieszał, skłębił i olbrzymią, płaską, wydłużoną smugą, pomiędzy ziemią a niebem zawiesił.

Ta smuga zwolna barwę swą zmieniała. Ze srebrnej stała się mleczna; z mlecznej złocista; ze złocistej różowa. W jednym punkcie horyzontu, tam, gdzie daleka puszcza wązkim, ciemnym paskiem ziemię obrzeżała, zapłonęło ognisko. Z początku małe, ledwie przy ziemi tlejące się, zajmowało stopniowo przestrzeń coraz większą, aż wreszcie wybuchnęło wielkim światłem, wyrzucając w górę, w kształcie olbrzymiego wachlarza, ogniste, różnymi kolorami mieniające się wytryski. Od nich to mgła tak pięknie i rozmaicie się barwiła.

Ale jeszcze przeciwną stronę nieba obciążał mrok szaro-granatowy. I jeszcze w tym mroku migotały gdzieś gwiazdy, niby iskry dogasające w popiele. I między cieniem a świa-

tłem toczyć się zdawała walka z wynikiem wątpliwym.

Tu i owdzie, w kępach drzew i po obciążonych rosą krzakach, zaczynało odzywać się ptactwo, po kilku wszakże nieśmiałych próbach milkło, jakby niepewne, czy to naprawdę dzień się przybliża, czy też noc długo trwać ma jeszcze.

Przeciągała się ta niepewność dość długo, na wschodzie bowiem ukazały się chmury i główne ognisko światła przyćmiły.

Tymczasem arka, przebywszy piaszczyste i lesiste, malownicze dla oka, lecz ciężkie dla nóg końskich manowce, wydostała się na szeroki, równy gościniec. Białorus wstrzymał konie; Litwin, eskortujący podróżnych, lekko z bryki zeskoczył i, czapki uchylając, oświadczył:

— Ot, i gościniec, waszmoście moi. Taki równo i gładko pojeździecie, kochanieńcy — jak po stole. Złych ludzi już się wam lękać nie trzeba: za moment wszędzie słońce, a przed słońcem nie tylko włóczęga i zbójca, lecz i sam bies ucieka.

— Bóg ci zapłać, zacny szlachcicu — rzekł Szczerba, dłoń do uścisku wyciągając. — Ale, gdyś na biedne sieroty i na staruchów dwoje tak łaskaw, to wskaż nam jeszcze, dokumentnie, jak się patrzy, drogę do owego zaścianka, czy też okolicy...

Więc Litwin, przeciągając mocno, rozpowia-

dać jał: jak to oni wymijać mają jedną, potem drugą, »mękę Bożą«, a potem »mogiłki«, a potem znów mostek na »poniku«, a potem jeszcze stary »lamus« i »świronek« — stamtąd zaś już dostaną się »prościuchno« do Dobrzyna.

Trudno było Szczerbie tyle szczegółów naraz spamiętać, liczył jednak na to, że co on zapomni, zatrzymają w pamięci dzieci.

Litwin udał się z powrotem do towarzyszków; arka potoczyła się dalej gościńcem.

Okazało się niebawem, że ani starzy, ani młodzi, zwłaszcza, gdy się znajdą w obcym dla siebie miejscu, na swą pamięć zbyt wiele liczyć nie mogą. Zaczęło się od tego, że każdy podawał inną ilość »mąk Bożych«, które miano wymijać. Szczerba obstawał przy trzech, dzieciom wiadomo było tylko o jednej, a Szczerbina »gotowa była przysiąc«, że słyszała o — pięciu. Sprzeczano się zajadle, wymijając tymczasem krzyże po krzyżach, które stały tu niemal co kilkadziesiąt kroków. A ponieważ nie ukazywały się i »mogiłki« — o których, co prawda, Szczerbowie, a tembardziej dzieci pojęcia dokładnego nie miały — więc trwoga ogarnęła podróżnych: czy przypadkiem drogi nie zmylili i czy, zamiast zbliżyć się do zaścianka Dobrzyńskiego, nie oddalają się odeń raczej.

Gdy tak jadą, frasując się i spierając, a Białorus, choć może wszystkiego najświadomszy, pary

z ust nie wypuszcza, zjawiała się nagle na gościńcu, z przeciwnej strony nadjeżdżająca, jednokonna »biedka«, nazywana w tych stronach »kałamaszką«.

W biedce siedział i biedką powoził stary żyd z białą brodą, któremu towarzyszyło dwóch, dziesięcioletnich może »bachórków«.

Gdy pojazdy zrównały się ze sobą, żyd pozdrowił jadących, uprzejmie uchylając kapelusza z szerokimi skrzydłami.

Odpowiedziano równie uprzejmym ukłonem, przyczem zdziwiła wszystkich okoliczność, że Wierny, tak bardzo ludowi Izraela nienawistny, na widok tego izraelity nie tylko szczekać nie myślał, lecz nawet nie warknął.

— Musi być jakieś dobre żydzisko... — mruknęła Szczerbina.

Wiarus nie poprzestał na ukłonie, lecz skinął na żyda przyzywająco.

Kałamaszka podjechała i stanęła tak blisko, że można było prowadzić obustronną rozmowę.

— Panie Mojżesz! — odezwał się Szczerba, rozumiejąc, że tak poważnego starca Mojsiem mianować nie wypada. — Czy daleko stąd jeszcze do Dobrzyńskiego zaścianka?

— Daleko to nie — odrzekł tamten poważnym, a bardzo miłym i prawie zupełnie akcentu żydowskiego pozbawionym, głosem. — Ale jeżeli waszmoście tam jedziecie, to źle jedziecie.

Szczerbina, nawykła do lekceważącego traktowania starozakonnych, odparła tonem prawie rozkazującym:

— A jeżeli Aron lepiej od nas drogę zna, to niech nie wydziwia, tylko nam ją odrazu wskaże!

— Z przeproszeniem jejmości — rzekł żyd grzecznie, lecz zarazem z jakąś dumą dostojną — nie nazywam się Aron, lecz Jankiel...

Zmieszała się trochę eks-wiwandyerka.

— Więc właśnie — znacznie większym głosem podjęła — prosić chcę pana Jankla, żeby nam drogę pokazał...

— Tu niema o co prosić — znów ją żyd poprawił. — To jest mój obowiązek. A pokazywać to ja wcale nie potrzebuję. Jedźcie waszmoście za mną, to was do samego miejsca doprowadzę.

Józia, lubiąca zawsze mieszać się do rozmowy starszych, zauważyła:

— To kupiec pewnie mieszka w zaścianku Dobrzyńskim?

Żyd uśmiechnął się na widok ładnej, rezydentnej dziewczynki i odrzekł:

— Nie, panienko, ja mieszkam w Soplicowie, troszkę w bok od zaścianka. Ale mogę kawałek drogi nadłożyć.

— To kupiec grzeczny...

Żyd znów się uśmiechnął.

— Może grzeczny... ale nie kupiec. W Soplicowie, proszę panienki, karczmę trzymam od pana sędziego. Przytem to ja jestem wielki ochotnik na muzykę, więc jak gdzie odbywa się wesele, albo inna zabawa, to mnie proszą, żebym przygrywał. Ot, i teraz wracam z wnukami swymi z jednego miejsca, gdzie ludzie przez całą noc przy mojej muzyce hasali.

— A na jakim instrumencie gra pan Jankiel? — zapytał Józio.

— Na jakimże może grywać żyd? Na cymbałkach, paniczu. A moje wnuki dmą w dudki. Wyuczyłem ich przytem różnych ładnych piosneczek...

Pogładził brodę i dokończył znacząco:

— Stosownych do okoliczności.

— Teraz okoliczności wojenne... — zauważył z naciskiem Szczerba — to i wojenne powinny być piosneczki...

Jankiel nic nie odrzekł, lecz z pod oka bawczo przyglądał się wiarusowi. Pragnął widocznie dowiedzieć się: jakiego rodzaju człowieka ma przed sobą. Po długiej chwili milczenia przemówił wreszcie, odpowiadając na pytanie pytaniem:

— Państwo zdaleka?

— To się wie! — z dumą odpowiedziała Szczerbina. — Z Polski, panie Aron. Z takiego miejsca, co od niego jeszcze pięć mil do Warszawy.

Jankiel głową kręcił z wielkiego zdziwienia.

— Taki szmat drogi!... taki szmat!... Dobrzyńscy, to pewnie państwu krewni, i ta podróż to niezawodnie wedle sukcesyi?...

Obruszyła się eks-wiwandyerka.

— Że też żydy to zawsze tylko o pieniądzach! Nie zgadł pan Aron! My do Dobrzyna tylko po drodze, dla popasu, a naprawdę to jedziemy zupełnie do kogo innego...

— Do kogo? — zapytał żyd ciekawie.

— To już nie pana Arona interes! — odburknęła impertynencko eks-wiwandyerka i odwróciła się w stronę przeciwną.

— Jak nie mój, to nie mój — spokojnie odparł żyd, podcinając swego konika.

Biedka jechała tuż obok arki i tak blisko, że jadący rozmawiać ze sobą mogli.

Teraz Jankiel zamilkł, tylko podśpiewywał pod nosem dziwną melodyę, podobną razem do mazurka i — majufesu.

Dzieci, którym się poważny, sędziwy, a wielce uprzejmy, żyd bardzo podobał, strofowały pocichu Szczerbinę za niegrzeczne wystąpienie; potem zwróciły się do Szczerby z prośbą, aby sprawę załagodził.

Wiarus, który przy srogiej twarzy serce miał gołębie, z ochotą podjął się tego.

I zaraz też, u wielkiej porcelanowej fai karczmarza zapalając swą krótką »parzymordkę«, wy-

spowiadał mu się otwarcie z celu podróży i wszystkich spraw, z nią związanych. Nie miał potrzeby tać się z tem przed nikim, czemuż więc miał być skryty wobec sędziwego izraelity, którego twarz i słowa okazywały, że jest dobrym człowiekiem?...

Rozpogodził się Jankiel, dowiedziawszy się tak niezwyklej historyi, a potem ostrzegać zaczął o niebezpieczeństwach, z podobnie śmiałem przedsięwzięciem złączonych.

— Ja nic nie wiem — mówił ostrożnie — ale waszmość sam wspominałeś o okolicznościach wojennych. Na wojnie staremu może się co złego przytrafić, cóż dopiero dzieciom!

— Na to niema rady — oświadczył wiarus, wąsiska w dół ciągnąc. — Pan Jankiel nie jesteś człek wojskowy, to nie rozumiesz, że rozkaz starszego musi być spełniony, choćby przyszło życiem nadłożyć. Zamiast straszyć, lepiej nam powiedz: gdzie się teraz znajduje książkę Józef?

— Ja nie wiem... ja nic nie wiem... — zapierał się żyd, z przyzwyczajenia ostrożny i niedowierzający. — Skąd ja mogę wiedzieć? Stary już jestem, rzadko gdzie bywam i mało z kim rozmawiam...

— To powiedz przynajmniej, gdzie się w tej chwili obraca Napolion?

— Aj! Waszmość jesteś stary żołnierz, a zadajesz pytanie całkiem dziecinne. Czy to Napo-

lion moja żona, albo mój współnik, żeby mnie gadał o swoich interesach? No, ale bądź waszmość cierpliwy. Jak ja wrócę do domu i zobaczę się ze swoim zięciem, który więcej wie odemnie, to wpadnę dziś jeszcze do Dobrzyna i powiem może waszmości co ciekawego...

Jankiel po tych słowach brodę pogładził, i jakby w obawie, aby nie powiedzieć więcej, niż należało, znów pod nosem swego majufesowego mazurka nucić zaczął.

— Co to za szabasowy kawałek? — zapytał żartobliwie Szczerbera.

— No, to jest właśnie taka, stosowna do okoliczności, piosneczka. Widzi waszmość, wprzód to myśmy śpiewali o tem, jak księżyc zaszedł i jak panna Filis poszła sobie do ogrodu. A teraz to my śpiewamy coś nowego...

— *Icełe! Mojsiele!* — do wnuków swych się zwrócił — *mach a mazurkes!*

Bachórki porwały się z miejsc, jak wskakujące na płot koguty, i cienkimi głosikami zapiały:

...Marsz, marsz, Dąbrowski,
Z ziemi włoskiej do Polski!...

Było to razem komiczne i rozrzewniające. Dzieci śmiały się, Szczerbera i Szczerbina mieli łzy w oczach...

W chwili, gdy piosenka dobiegała do końca, chmury na wschodzie rozstały się, gwałtowny

wybuch ognia, jakby z pieca hutniczego, zalał połowę nieba złotem i purpurą. W tejże chwili i ptactwo, z resztek snu otrząsnąwszy się, podniosło chór ogłuszający.

Arka wjechała na szczyt wzgórza, u którego stóp w malowniczym nieładzie rozkładała się — wieś nie wieś, miasteczko nie miasteczko, po prostu: wielka osada szlachecka. Były tam proste, ze słomianemi strzechami, chaty, ale były też dwory i dworki z gankami na drewnianych filarkach, o dachach gontami krytych. Wszystko to — w świeżej zieleni niezliczonych ogrodów i sadów.

— Ot, i zaścianek panów Dobrzyńskich — oznajmił Jankiel, biczyskiem wskazując osadę. — Bądźcie waszmoście zdrowi!

— Bóg zapłać... Dziękujemy!... Do widzenia!... — ozwały się z arki grube i cienkie głosy.

Żyd skłonił się i miał już odjeżdżać, gdy Szczerba wstrzymał go zapytaniem:

— A gdzie w tej wsi mieszka pan Maciej Dobrzyński?

Żyd wzruszył ramionami.

— Tu wszyscy są Dobrzyńscy i wszyscy Macieje. Trafi się i Bartłomiej, ale bardzo rzadko.

— Ja mam kartkę do starego Macieja, podobno całej okolicy naczelnika...

— No, to już wiem, o kim waszmość gada. Ten stary Maciej, ten najstarszy Maciej, to on

się nazywa Maciek nad Maćkami. Widzisz waszmość to wielkie domisko między drzewami, z dużym, krzywym gankiem, z rozwalonym płotem od ogrodu? Tam on właśnie mieszka.

Po tych słowach, Jankiel skierował swą biedkę w prawo, w stronę Soplicowa. Arka po łagodnem zboczu wzgórza potoczyła się prosto, do zaścianka Dobrzyńskiego.

XIV.

W chwili, gdy podróżni zbliżali się do wielkiego, niegdyś wspaniałego, dziś w połowie pustego i walącego się dworu, na ławce, wyniesionej z ganku, siedział starzec w kontuszu, wysoki, prosty, łysy, lecz z tyłu z białymi, w długich pasmach na plecy spadającymi, włosami. Poranne słońce oświecało jego twarz czcigodną, a on w tem słońcu grzał się i członki prostował, poddając się z rozkoszą jego pieścizdom i pocałunkom ognistym.

Przed gankiem, na zakolu, gdzieindziej dla pojazdów przeznaczonem, rozrosły się bujnie dzikie chwasty, tworząc jakby jakąś puszcę maleńką, pełną gąszczów, kryjówek, wonnych chłodów i zielonego mroku.

Te gąszcze i te mroki roiły się tłumem zwierzątek ładniutkich a zabawnych, z pyszczkami wąsatymi, o długich, ruchliwych uszach, które to groźnie, jak rogi, sterczały do góry, to znów potulnie na plecach się kładły. Zwierzątka były

białe, szare i łaciaste. Wybiegały z norek, wykopanych w ziemi, myły się przednimi łapkami, podrygiwały na łapkach tylnych i, igrając ze sobą, wyprawiały najpocieszniesze w świecie skoki i płasy.

Nie płoszyła rozswawolonych zwierzątek obecność człowieka, był on snadź ich dobrym znajomym, ba! pewnie i przyjacielem. One wysilały się na coraz nowe igraszki; on, wstawszy z ławki, i wzdłuż dworu i zabudowań gospodarskich chodząc, odmawiał głośno: »Kiedy ranne wstają zorze«...

Skończył modlitwę i wyniósł z sieni na dół sienie stertę kapuścianych liści, w czapce zaś, która była starą konfederatką, kilka sporych garści prosa.

Przyklęknął na ziemi i świsnął. Na ten znak zwierzątka porzuciły igraszki i zbiegły się doń, jak stado kurcząt do kwoki. On z dobrotliwym uśmiechem rzucał im świeże liście, a one chrupały je ze smakiem, jeżąc uszy, przekrzywiając łebki i zabawnie poruszając wąsami.

Z każdą chwilą powiększało się to dzikie stadko. Śmielsze zwierzątka wchodziły starcowi na ramiona, pyszczki wilgotne do jego policzków przykładając. On wówczas gładził dłonią ich miękkie, puszyste włosy i powtarzał:

— Króliczki wy moje... królewietka... królewskiaki...

Gdy już cały zapas kapusty rozdał, wstał i garście prosa z konfederatki na ziemię jął sypać. Czatowały na to gołębie i wróble, i wnet głodne ptactwo srebrno-popielatą chmurą dziedziniec nakryło.

Gdy tak wszyscy uczują, a starzec z uciechą rolę gospodarza hojnego pełni, rozległ się nagle w pobliżu turkot kół. Na ten głos nieoczekiwany, na dziedzińcu wszczął się popłoch. Z głośnym szumem skrzydeł porwały się i na dach uciekły wróble; za wróblami podążyły cięższe od nich i nie tak płochliwe gołębie. Króliki pierzchnęły, jak zastęp białych duszków, niknąc błyskawicznie w gąszczach zielsk i w ziemnych, ledwie dostrzegalnych, norkach.

Starzec pozostał sam. Zdziwiony i gniewny, wyprostował się i surowe spojrzenie rzucił w stronę, skąd ów turkot dobiegł. A już stamtąd, przez wywalone wrota, kroczył ku niemu, równie jak on biały i sztywno, po żołniersku trzymający się, Szczerbera.

Kroczył powoli, poważnie i uroczyście; dopiero na połowie drogi siwą głowę obnażył i rzekł donośnie:

— Niech będzie pochwalony...

Uchylił czapki i Maciej, chrześcijańskie »na wieki« odpowiedział, oblicze wszakże jego wcale nie wyrażało radości z widoku gościa.

— A z czem to?... Od kogo?... — szorstko zapytał, nachmurzywszy się.

— Z pismem do acana dobrodzieja od Mickiewiczów z Nowogródka.

Stary cokolwiek się rozpogodził.

— A cóż tam? Toż wdowa opiekę prawną ma. Synaczkowie także. Nic ja im nie poradzę. A już mi też i przytrudno pisane czytać. Nie mógł to Adaś sam przyjechać?

— On właśnie do acana dobrodzieja pisze. Nie chodzi tu przecie o panią Mickiewiczową, jeno o starego Kościuszkowskiego żołnierza, który tu oto przed acanem dobrodziejem stoi.

Dobrzyńskiego jakby coś podrzuciło. Zaczerwienił się mocno, wyprostował, za bok chwycił, jakby głównie szabli chciał pomacać.

— Kościuszkowski?... — z błyszczącymi oczyma wykrzyknął. — Waść nie łiesz?

— Cóż miałbym łąć!... Kościuszkowski i — księcia Józefa Poniatowskiego.

— Księcia-wodza?

— Tak.

— Pod Dubienką byłeś?

— I pod Lubarem, i pod Zieleńcami, i pod Kurowem, wszędzie, gdzie należało.

— Patrz... toś ty mój towarzysz! Jam się także po tych wszystkich kątach tłukł. Dobrzyński... zwano mnie Maciek. Słyszałeś może?

— Słyszałem!... Słyszałem!...

— A ty jak się zwiesz?

— Szczerba. Marcin Szczerba.

— Szczerba?... Poczekaj: jak trochę pomyślę, to ciebie pewnikiem przypomnę... Ale chodźno bliżej, pyska daj, stary wiarusie!

Ucałowali się obaj starcy i łzy ukradkiem otarli.

— Teraz więc, mileńki, rozporządzaj się wszystkim, co tu widzisz. Pieniędzy chcesz? przyodziewku? broni? — wszystko dla ciebie znajdę. A może życzeniem twem byłoby na resztę dni ze mną, pod jednym dachem, osiaść?

Szczerba ruchem głowy przeczącą odpowiedź wyraził.

— Bóg zapłać! — rzekł, dłoń towarzysza ściskając. — Dziś prosić będę tylko o krótką gościnę dla dzieciątek dwojga, które aż z poza Warszawy wiozę — i dla baby mojej, która ich dozoruje.

— Twoje dzieci?...

— Gdzieżby zaś!... Sieroty po kapitanie Kalinowskim.

— Bój się Boga!... Toć ja kapitana Kalinowskiego znałem... W ułanach był, przy księciu Józefie. Pod Kurowem Kozaki pikami go pokłuli.

— Ten sam. Jedną nogę wówczas postradał, a i drugą mu nadwerężono. Jednak i na szczudle żwawiej się zwijał, niż drugi na zdrowych nogach.

— I cóż owe dzieciątka? Za cóż aż na naszą Litwę z niemi się telepiesz?

— Księżciu Józefowi je odwożę, jako depozyt.

— Co? co?... Wyraźniej mów, mileńki.

Szczerba opowiedział pokrótce całą sprawę. Dobrzyński, słuchając, co chwila za bok się chwytał, w poszukiwaniu szabli, której tam nie było. Od wyprawy Kościuszkowskiej nabrał był tego przyzwyczajenia, skąd przezywano go »Zabokiem«.

— Bóg ci pomóż, braciszku, ale szaloną rzecz przedsięwziąłeś. Wszyscy wy tacy, Koroniarze mili. A my, Litwa, choć rozważniejsi i nieruchawi, zawsze taki wam pociągnąć się dajemy. Cóż robić! Musi być, sam Pan Bóg tak zrządził. Ale chodźmyż po one dzieciątka...

W kilka godzin później, Józio i Józia biegali po całym zaścianku Dobrzyńskim, oprowadzani przez dwoje wnucząt starego Maćka nad Maćkami. Dzieci odrazu i z łatwością do siebie przystały, były bowiem w tym samym niemal wieku. Szczerbina przez czas jakiś swym wychowankom kroku dotrzymywała, potem jednak chwyciła ją wielka senność i, dorwawszy się do świeżych pokosów, smacznie pod stogiem siana chrapnęła.

Stary Dobrzyński kazał wynieść stół i ławę pod wielki dąb, rozpościerający ciemną koronę nieopodal dworu. Znalazło się tam zaraz szklanek

kilka i miodu spory gąsiorek. A po chwili, jakby aromatem tęgiego trojniaku przyciągani, zjawili się do kompanii to ci, to owi z Dobrzyniaków, sami Macieje i Bartłomieje.

Rozmowa stała się ogólna i gwarna; rozmawiano zaś o tym, którego osoba podówczas wszystkie umysły w Europie zajmowała: o cesarzu Napoleonie. Miał on tu samych zwolenników i chwalców. Widziano w nim geniusz, wyższy nad wszystkich i wszystko.

Nikt nie wątpił, że wyprawa na Moskwę skończy się zupełnym tryumfem Napoleona, w tym zaś tryumfie każdy upatrywał wielkie dla siebie szczęście.

Zwłaszcza jeden z Bartłomiejów, zwany »Prusakiem«, miary nie znał w wychwalaniu Francuzów i ich cesarza. Przed sześciu laty bawił w Wielkopolsce i widział, jak na samą wieść o zwycięstwie Napoleona pod Jeną, Prusacy w popłochu, pakując na gwałt manatki, z zabranego przez się kraju zmykali. Wyprowadzał z tego i teraz daleko sięgające wnioski, pełen był zapału i otuchy — że zaś głos miał silny i wysławiał się energicznie, innych porwał za sobą.

A byli to naogół ludzie z duchem rycerskim, rwący się jeśli nie do bitwy, to choć do bójki, gotowi każdej chwili ruszyć jeśli nie na wojnę, to przynajmniej na zbrojny zajazd cudzego mienia, z którego właścicielem byli w »kontrowersyi«.

Dodawał też im fantazyi i krzepki miodek Maćka nad Maćkami.

Więc inny Maciek, z przewiskiem »Chrzci-ciel«, albo »Kropiciel« (od wielkiej, krzemieniami nabijanej maczugi, która była straszną w jego rękach bronią), dowodził, że należy, nie zwlekając, całą masą iść na pomoc Napoleonowi. Maczugę swą przyniósł ze sobą i wywijał nią, jak piórkiem, nad głowami obecnych, krzycząc:

— Kropić! kropić! kropić!

Podobało się to innym Dobrzyńskim, z których każdy posiadał jakąś broń szczególną, osobliwie przez siebie nazwaną.

Jeden z Bartłomiejów, a krócej mówiąc Bartków, wysunął z pochwy karabelę, niezwykle długą, od ciągłego zaś ostrzenia wąską, jak szkło błyszczącą i nadzwyczaj ostrą. Tę szablę, a od niej i samego Bartka, przewali towarzysze »Brzytewką«.

Bartek Brzytewka, łącząc się duchowo z Bartkiem Prusakiem i podnosząc myśl Maćka Chrzci-ciela, wyskoczywszy na ławę, wołał donośnie:

— Golić, bracia! Golić i kwita!

Rósł z każdą chwilą gwar i wzmaczał się animusz, powitano też okrzykiem nadchodzącego Macieja z przydomkiem »Konewka«, który zbliżał się od strony wsi, dzierżąc w ręce strzelbę z grubą lufą o bardzo szerokim wylocie. Ta strzelba była z rodzaju tak zwanych »garłaczów«



Brzytewka wołał donośnie: »Golić bracia!«

i sypano do niej po tuzinie kul, któremi, niby wodą z konwi, chlustała na przeciwników. Od tej strzelby dostał Maciej przydomek »Konewka«.

I ten minę wojowniczą przybrał i garłaczem swym groźnie potrząsał, jakby już szedł na wyprawę.

W rozprawiającem, rozkrzyczanem gronie dwaj tylko ludzie zachowywali milczenie: Szczerba, który jako obcy trzymał się na stroonie i — sam gospodarz.

Milczenie ostatniego dziwiło obecnych. Z różnych stron zwracano się doń:

— I cóż, Maćku nad Maćkami?... I cóż, nasz drogi Zaboku?... I cóż, Króliku Dobrzyńskiego zaścianka?...

On nic nie odpowiadał, głową tylko kiwał rytmicznie, brwi ściągał, wąsy jeżył...

Świadomszy od innych wojennego rzemiosła i zawodności fortuny, przytem doświadczony weteran, znający wojnę nie tylko z posłuchu, lecz i z własnej praktyki, nie poddawał się tak łatwo ułudnym nadziejom.

Napoleona stary Maciej nie widział, działań jego zbliżka nie rozpatrywał. Z tego powodu jeszcze sobie o nim dokładnego zdania nie wyrobił, a na niepewne ani chwalić, ani ganić nie chciał.

Gdy wreszcie po długiem milczeniu głos zabrał, nie zwrócił się z nim do swych zadzie-

rzystych braci zaściankowych, lecz do spokojnego Szczerby.

— Cóż ten Napolion? — z nachmurzoną twarzą, trochę lekceważącym głosem zapytał. — Co ty o nim myślisz, kolego? Wart on naszemu naczelnikowi buty czyścić? Nie porwał się, jak to mówią, z motyką na słońce?...

Szczerba wdół pociągnął białe wąsy, przygarbił się też tak samo, jak tamtem.

— Ha, moi państwo — niskim głosem, niezbyt głośno wyrzekł. — Bogiem a prawdą, ja sam niewiele o nim wiem. Jużcić, niema co-gadać: wojak z niego tęgi, Szwabów zdrowo zbił, za co niech mu Bóg da zdrowie. Ale co w nim siedzi?... czy jest naszym szczerym przyjacielem?... czy naprawdę nas kocha i szczęścia naszego pragnie?... Mądry będzie, kto na to akuratnie odpowiedzieć potrafi!

— Zrobił z Korony Księstwo... — mruczał gniewnie stary Maciej, tabaki spory niuch pociągając. — Nie wielkać to sztuka!... Obciąć łatwiej, niż nadstawić!... Monarchę wam dał malowanego; i tego dokazać nie trudno... Cóż tam przecie o nim gadają, nie jenerały i biskupy, nie magnaty i dygnitarze, ale prosta szlachta, rzemieślniki, lud kmiący?...

Szczerba wyciągnął palce do tabakierki Maćkowej, zażył, kichnął, nos utarł.

— A no, bracie Litwinie — z namysłem wyrzekł — kiedy prawdy ode mnie żądasz, to ci prawdę powiem...

I rozповідаć zaczął obszernie, ze szczegółami wszelkimi, wszystko, co mu było wiadome o ucisku, jakiego Księstwo od swych zarządców doznawało. Więc o niezmiernie wysokich podatkach, o ubóstwie narodu, o szemraniach niechętnych wśród ludu wiejskiego i małomiasteczkowego. Nie zataił i tej okoliczności, że pełne zapachu pułki, idące z Księstwa Warszawskiego pod sztandary francuskie, dziarskie miały miny i głowy do góry, ale stopy w podartem obuwiu lub nawet całkiem bose...

Maciek nad Maćkami coraz bardziej się chmurył i coraz bardziej się garbił, a pod nosem mruczał coś niezrozumiałego, co było podobne do głuchego grzmienia, poprzedzającego piorun. Było to u niego w takich okolicznościach zwyczajne, wszyscy też na wybuch czekali. I byłby z pewnością piorun zagrzmiał, ale w tej chwili skrzypnęły wrota i na wielki dziedziniec wtoczył się na swym wózku jednokonnym — Jankiel.

Lubiano siwego arendarza po zaściankach, — więc wyciągnęły się doń wszystkie ręce i powitany został serdecznie, jakby do rodziny należał.

Żyd, nisko się wszystkim skłoniwszy, do starego Macieja przystąpił, ten zaś go zaraz

obok siebie posadził i o nowiny wypytywać zaczął.

Jankiel skąpy był w odpowiedziach, onieśmiałała go obecność człowieka obcego. Zrozumiał to Maciej i zwrócił rozmowę na co innego. A wówczas Żyda zagadnął Szczerba.

— I cóż nam powiesz, panie Mojżesz? Obiecałeś przywieźć wiadomości o Napolionie i o księciu Poniatowskim. Cóż tam słyszać o nich nowego?

Jankiel, swoim zwyczajem, udał, że pytanie bardzo go dziwi.

— Co ja mogę o nich wiedzieć? Ja nic nie wiem. Mój zięć słyszał coś nie coś, ale też niewiele.

— Cóż słyszał o Napolionie?

— Słyszał, że on już wstąpił na nasze litewskie ziemie...

Gdy to Dobrzyniaci usłyszeli, powstał hałas niezmierny.

— Więc już go mamy!... Więc już nasz!... Już między nami gości!... Oho! nie puścimy go teraz od siebie, nikomu nie damy! — na różne głosy wykrzykiwali Maćki z Bartkami.

— A Niemen przeszedł? — mruknął, głowy nie podnosząc, Maciek nad Maćkami.

Jankiel, choć już poprzedniem odezwaniam się ten fakt stwierdził, znów udał nieświadomego.

— I tego wiedzieć nie mogę. Na mój rozum to jest tak: jeżeli on mógł przejść, to go prze-

szedł, a jeżeli nie mógł, to nie przeszedł. Ale mój zięć mówi, że przeszedł.

— Gdzież więc jest teraz?

Jankiel zniżył głos, jakby się własnych słów lękał.

— Mój zięć mówi — prawie szeptem odrzekł — że on jest teraz w Kownie...

— A księżę Poniatowski?

Żyd rozłożył ręce. Znaczyło to, że o tym ostatnim nie ma już naprawdę żadnej zgoła wiadomości.

Ale tu wtrącił swą uwagę jeden z Dobrzyńskich:

— Gdzie cesarz, tam i jenerały.

— Pewnie, że tak! — poparł go drugi.

Trzeci ujął to w sentencję:

— W kupie muszą być, bo jeno w kupie siła!

Dość tego było dla Szczerby. Dopił z pośpiechem swej szklanki miodu i zwrócił się zaraz do najbliższego z sąsiadów:

— Do Kowna stąd daleko?

— Nie blisko. Ale jadąc bokiem, na ukos i na przełaj, wielce tę drogę skrócić można. Prawda, że to trakt psi i dyabelski i trzeba mieć mocne kości, żeby się nie roztrzęsły.

— Moje, choć stare, ale mocne — zuchowato oświadczył Szczerba.

Zaraz się jednak zasepił.

— Ba! Ale co będzie z dzieciątkami? Czyż mnie wolno po takich wertepach je wozić?

— Po cóż wozić! — odezwał się stary Maciej, postać zgarbioną prostując. — Niebożątka niech w naszym zaścianku zostaną. Będą jadły orzechy z miodem, spróbują naszych litewskich kołdunów i z wnuczętami memi nahasają się do woli po łąkach i lasach. Opiekować się niemą będzie moja synowa i inne nasze baby. A miarkuję, że i swoją niewiastę przy nich na straży zostawisz.

— Bum! — potwierdziła Szczerbina, która właśnie, z łąki wracając, na koniec oracyi Maćkowej nadeszła.

Rozsunięto się, aby zrobić miejsce zamaszystej eks-wiwandyerce. Ona swobodnie się rozsiadła, górując wzrostem nad wszystkimi. Gdy jej podsunięto gąsiorek, nalała sobie i wychyliła, jedną po drugiej, trzy szklanki miodu. Dobrzyniacy byli zachwyceni.

— A zatem, moi państwo — zadecydował ostatecznie Szczerba — jutro o świcie jadę do Kowna!

Szczerbina, wierzchem dłoni wąsy otarłszy, spytała:

— Czemże pojedziesz? Toć grzech byłby tłuc naszą piękną arkę po jakichś tam manowcach...

— Ja waszmości swojej biedki pożyczę —

wystąpił z ofiarą Jankiel. — A koń znajdzie się u panów Dobrzyńskich.

— Znajdzie się i u mnie — odrzekł Szczerba. — A za biedkę pięknie panu Mojżeszowi dziękuję. Zaręczam, że ją zwrócę w całości, bez uszkodzenia, a może i jaką dobrą nowinę waszmościom na niej przywiozę.

Długo jeszcze siedziano pod dębem, gwarząc, gawędząc, pokrzykując. Stary Maciej kazał przynieść z piwnicy drugi i trzeci gąsiorek. A gdy dzieci nadeszły, dostały pierników i obwarzaneczków smorgońskich, które, choć przez Żyda wypiekane, smaczne były i na całą Litwę sławne.

O zachodzie słońca wszyscy poszli na łąki odetchnąć świeżem, wonnem powietrzem. Tam mężczyźni popisywali się fechtunkiem i strzelaniem do celu; niewiasty zaś otoczywszy Szczerbinę, medytowały z nią nad pytaniem: co też te czasy niespokojne ich mężom i dzieciom przyniosą?

O sobie żadna nie myślała.

XV.

W drodze do Kowna doświadczył Szczerba na swej biedce — całej biedy.

Włókł się wśród największej spieki po jałowych, rozpalonych piaskach, przedzierał się z trudem przez gęste zarośla, przebywał strome wzgórza, głębokie parowy, kamieniste strumienie. Nigdzie znaleźć nie mógł pożywienia dla siebie i dla swego konia, i gdyby go żona nie była zaopatrzyła w koszyk z zimnem mięsiwem, chlebem i owocami, głodu-by doświadczył. Nasyćwszy jednak głód, nie mógł zaspokoić pragnienia, — studnie po wsiach powysychały, a woda w strumieniach była błotnista i cuchnąca.

Ani jednej karczmy na drodze nie spotkał. Wieśniacy, ponurzy, zpodełba patrzący, po chałupach przed nim się chowali. Kilkakrotnie z niewygodnego wózka wypadł i potłukł się; to znów koń jego wśród kamieni zgubił podkowę i, kulejąc, zwolnić musiał biegu. Szczęściem zdarzyło się to już blisko kresu podróży.

Nareszcie, gdy już długi dzień czerwcowy kończył się i cienie wieczorne okrywały ziemię, znużony, spotniały, dręczony pragnieniem i ledwie żywy, ujrzał w oddaleniu, mgłą i dymem zasnuwając wieże kościołów kowieńskich. Nie znajdowały się jednak one tak blisko, jak mu się to na oko wydawało. Nie dostał się też do nich tak łatwo i prędko, jak się spodziewał.

Po dniu, nadzwyczaj skwarnym, wypełzły na niebo od strony zachodniej ciężkie, czarne chmury. Te chmury błyskawicznie zakryły czerwoną, do połowy dopiero schowaną, tarczę słoneczną. Niemal w jednej chwili gęsty mrok zalał ziemię — dzień ustąpił miejsca nocy.

Zerwał się szalony wichur, ze świstem przebiegającym z końca w koniec całą okolicę przeleciał. Pod naporem wichru koń Szczerby, jakby skrzydłem olbrzymiego ptaka potrącony, zwałił się z nóg, wywracając bryczkę.

Szczerba, po raz już chyba piąty w tym dniu fatalnym, znalazł się na ziemi. Szczęściem, upadając, nie wypuścił z ręki lejców; inaczej, koń poniósłby i roztrzaskał biedkę, a może i sam połamał nogi lub łeb roztrzaskał o kamienie przydrożne.

Choć potłuczony i obolały, dźwignął się wia rus na nogi i koniowi podnieść się pomógł. Obaj, cudem prawie, nie ponieśli wielkiego szwanku.

Tymczasem wichler, po wściekłym natarciu, którego ofiarą paść musiało dużo drzew, dachów, a może zwierząt i ludzi, przepadł kędyś bez śladu. Pozostało tylko po nim w powietrzu jakby echo jęku głośnego...

Ubiegło kilka minut w zupełnej, głuchej, prawie cmentarnej ciszy.

Szczerba umocnił nadwerężone koła, poprawił uprząż na koniu i w dalszą drogę ruszył, nie siadając jednak na bryczkę, lecz idąc obok niej, z lejcami w ręce. Nie kierował teraz koniem, lecz się na instynkt jego zdał, wiedząc, że w ciemnościach lepiej zaufać jemu, niż własnym oczom.

Nagle zadrżała ziemia i Szczerba omal po raz szósty nie przewalił się z koniem i bryczką. Ogłuszający huk rozległ się w powietrzu, a stary weteran, choć z głosami bitewnymi otrzaskany, nie mógł w pierwszej chwili poznać: czyto niebo zagrzmiało, czy też z olbrzymiego działa wystrzelono?

Ale nie długo pozostawał w wątpliwości. Po pierwszym huku nastąpił drugi, przeciągły, — potem grzmienie na chwilę nie ustawało, zlewając się w jakąś piekielną symfonię, czy fugę, ogłuszającego zgiewku. Jednocześnie obłoki zaczęły raz po raz stawać w ogniu, co sprawiało wrażenie, jakby się niebiosy otwierały i zamykały.

Szczerba, silnie ściskając w garści lejce i ra-

mieniem podpierając wywrotną bryczykę, postępował noga za nogą, odmawiając w głos to »Pod Twoją obronę«, to »Kto się w opiekę«... Modlił się też w duchu, żeby mu Pan Bóg zesłał jaką ludzką istotę, któraby mu z niebezpieczeństwa wydobyć się pomogła.

Próśb jego wysłuchano. Wśród najgłębszej ciemności usłyszał nagle, prawie tuż nad uchem, okrzyk:

— *Qui vive?*

Nawet bez głębszej znajomości francuzczyzny zrozumiał, że ten okrzyk znaczy to samo, co nasze: »Kto idzie?« Nie miał też żadnej wątpliwości względem tego, że głuche szczęki, które zaraz potem nastąpiły, oznaczają: odwodzenie kurków karabinowych.

Nie zatrwożyło go to. Owszem, pełen otuchy, głosem prawie wesołym odpowiedział:

— Swój, panie Francuz! *Bq, kamrat!*

Nie uspokoiło to pytających. W mgnieniu oka Szczerba i jego wózek otoczeni zostali przez kilka cieniów, krzykliwie paplających po francusku.

— *Bq, kamrat, bq!* — zapewnił raz jeszcze wiarus.

— *Bon! Bon!* — powtórzył któryś z cieniów. — *Marche avec nous, vagabond!*

Zrozumiał i to doświadczony Szczerba.

— Łziesz, panie Francuz! — tonem uprzej-

mym, lecz stanowczym oświadczył. — Nie żaden wagabunda jestem, lecz dobry Polak i może lepszy od ciebie sługa Napoliona.

Dla stwierdzenia swych uczuć i przekonań, na cały głos wykrzyknął:

— *Wif alampër!*

Śmiali się Francuzi, — jednocześnie dwaj z nich ujęli wiarusa pod ramiona, a pozostali zajęli się bryczką i koniem. Szczerba nie próbował nawet opierać się: znał dobrze prawa i obowiązki służby żołnierskiej. Postępował między swą strażą spokojnie, próbował nawet z Francuzami rozmawiać, w przekonaniu, że żołnierz z żołnierzem zawsze się zrozumie. Ale gdy usłyszał, że, szwargocząc ze sobą, wymówili kilkakrotnie słowo: *espion*, które obcem mu nie było, rzucił się, jak wściekły, chcąc najbliższego zamalować pięścią w gębę. Gdy mu się to nie udało, poprzestał na siarczystem zwymyślaniu Francuzów. Nazywał ich psami, przybłędami, kupą łotrów, nicponiów i złodziejów. Mógł swobodnie językowi folgować, wymyślani bowiem wcale go nie rozumieli.

Po kwadransie drogi, wśród ciemności, grzmotów, ulewnego deszczu i błyskawic, doprowadzono Szczerbę do wpół rozwalonej lepianki, gdzie oficer służbowy poddał go przedwstępnej indagacyi. Skutek indagacyi, na migi przeważnie prowadzonej, był ten, że wiarusa wzięto pod rygiel, za-

brano mu torbę z papierami, a bryczkę z koniem odprowadzono pod dach stajni obozowej.

Nazajutrz Szczerba miał być odstawiony do głównej kwatery.

Doświadczony wiarus, czując się niewinnym, nie obawiał się ani trochę o siebie. Ale trwoga przejmowała go na myśl, że w tym zamęcie drogocenny list do księcia Józefa może wpaść w niewłaściwe ręce, być otwartym, sprofanowanym lub może nawet zniszczonym.

Niecierpliwie czekał chwili, gdy go stawią przed starszyzną wojskową. Był pewny, że z generałami łatwiej trafi do ładu, niż z sierżantem. Byle tylko mógł zrozumieć, co do niego powiedzą i sam zostać zrozumianym...

Ach! czemuż »baby« swej nie miał przy sobie! Toż Marcinowa we władaniu językiem francuskim mogła iść o lepsze z samym Napoleonem.

Kanonada grzmotów cichła z każdą chwilą. Już tylko, w coraz rzadszych odstępach czasu, rozlegał się potężny huk pioruna, niby wystrzał moździerzowy; zresztą unoszone przez wicher chmury przestały już sypać batalionowym i nawet rotowym ogniem. Rozlegała się teraz jedynie pukanina bezładna, — jakby kolumna, cofająca się w porządku, tylko dla formy i tylko »na wiwat« ostrzeliwała opuszczony plac boju.

Niepokój nie pozwolił Szczerbie ani na chwilę zmrużyć oczu. Gdy błądy świt ołowianem świa-

tłem rozjaśnił zakratowane okienko jego celi, już burza zupełnie ustała. Jednocześnie uczuł wiarus dotkliwe zimno. Gdzieś w pobliżu spaść musiał wielki grad.

Niebawem wyprowadzono Szczerbę z zamknięcia i pod strażą do głównej kwatery odeślano. Przedtem jeszcze otrzymał sporą miarkę wódki, oraz porcyę czarnej, gorącej kawy. Pokrzepiło go to i rozweseliło. Chętnieby uściskał swych strażników i dowodzącego nimi podoficera, ale subordynacya na to nie pozwalała. Więc tylko uśmiechnął się do każdego, powtarzając:

— *Bq, kamrat, bq!*

Tamci jednak mieli miny kwaśne, bo zimno nie żartem dokuczało.

Niespodziany chłód, po wczorajszym nadzwyczajnym upale, oddziałał szkodliwie nie tylko na ludzi, lecz i na zwierzęta. Po drodze spotykali sporo trupów końskich; gęsto też uwijali się dookoła lekarze i chirurgowie wojskowi, śpiesząc z pomocą chorym żołnierzom.

Im bliżej głównej kwatery, tem liczniejsze wymijać musieli oddziały pieszych i konnych. I oficerowie i szeregowcy, skuleni od zimna i zębami dzwoniący, mieli miny opłakane i nie wyglądali bynajmniej marsowo. Byli to przeważnie ludzie z południowej Francyi i Włoch, do kli-

matu ostrzejszego nieprzywykli. Chłód poranny zwarzył ich, jak kwiaty cieplarniane.

Wiarus Kościuszkowski spoglądał na zmarzłaków lekceważąco...

Nagle dobiegła go śpiewana chórem, w rzeźkiem tempie, piosneczka:

...Oj, z góry, z góry
Jadą Mazury!...

— Swojacy!... — pomyślał, i tak się ucieszył, że wyrwać się chciał konwojowi, aby biedz do śpiewających.

Przytrzymano go, więc tylko na cały głos zawołał:

— Witajcie, bracia!... A skąd Bóg prowadzi?

— Z Hiszpanii, kolego! — odkrzyknął oddział piechurów z Legii Nadwiślańskiej, którą z pod palącego słońca przywiódł i do krainy lodów prowadził surowy generał Claparède.

Zuchy, choć opaleni, jak cyganie, nie zatarcili odrębnego znamienia polskości. Zdaje się, że i w piekle poznałoby się ich po szczerym i wesołym wyrazie twarzy, po oczach niebieskich, śmiało patrzących, wreszcie po sutym wąsie, który posiadał pewną znamienne, swoistą buńczuczność.

Z żalem pomyślał Szczerba, że ci mili rodacy w inną stronę pomaszerowali i że nie będzie ich

miał przy sobie przy indagacyi. Tak bardzo przydałoby mu się jako tłumacze! Trudnoż na wszystkie pytania odpowiadać: *Ba, kamrat*, a i to jeszcze pytanie: czy to byłaby odpowiedź właściwa w rozmowie z generałem?...

Pomimo, że słońce jeszcze nie weszło, w głównej kwaterze i dokoła niej ruch panował nadzwyczajny. Szczerbie, który już zapomniał, jak to wygląda obóz i jakim rytmem pulsuje życie w porze wojennej, aż w oczach się zaćmiło i zakreśliło w głowie na widok szalonej zawieruchy mundurów, kasków i broni, wszelkich barw i najrozmaitszego kształtu.

Stara gwardya, w wysokich bermycach, z obwisłymi wąsiskami i miną surową, straż tu trzymała. Ale cesarza już w kwaterze głównej nie było. Jeszcze przed świtem, z korpusem generała Oudinota, w otoczeniu najoddańszych mu ułanów polskich, pogalopował na brzeg Wilii, przez którą Oudinot przeprowadzić się miał w stronę Kiejdan.

Gdy Szczerbę wezwano do indagacyi, westchnął, nabożnie do świętego Marcina, patrona swego poczem, wąsy wdółp ociągając, odważnie już wkroczył do wielkiej, gwarem rozmów huczącej, izby.

Łuna tu biła od błyszczących, jeneralskich mundurów. Nigdy ich jeszcze wiarus w takiej obfitości, na jednym miejscu nie oglądał.

W głębi izby stał duży stół, papierami zarzu-

cony; przy stole siedział wysoki, chudy generał, z twarzą surową, ze ściągniętymi gniewnie brwiami.

Groźny ten oficer trzymał rękę na zabranej wiarusowi torbie, z której wychylał się wielki list nieboszczyka kapitana.

Szczerba odetchnął swobodniej, dojrzwawszy, że wielka, czarna pieczęć nie była naruszona.

Jenerał nawiązał krótką, energiczną rozmowę z podoficerem, który przywiódł więźnia; potem zwrócił się do ostatniego i prędkim, urywanym, popędliwym tonem, z trudnością oddzielne wyrazy wymawiając, zapytał:

— Ty... goworysz... po... francuski?

— Ani po francusku, panie jenerale, ani po rusku! — bez namysłu wykrzyknął Szczerba. — Skądżeby zaś! Mazur jestem, z pod Nasielska, swojego tylko języka uczony.

Rozpogodziła się twarz jenerała, tracąc swój groźny, sępi wyraz. Łagodniejszym wzrokiem obejrzał więźnia i rzekł:

— Więc... Polak?

— To się wie, panie jenerale! — potwierdził energicznie wiarus; jednocześnie zaś pomyślał:

— Cóż się to dzieje, Matko Najświętsza? A dyć ja tego Francuza dokumentnie rozumiem...

— Skądżeś tu się wziął? Coś czynił w obrębie naszych placówek? Co znaczy ten list do księcia Poniatowskiego? Kto cię wysłał? Skąd

przybywasz? Dokąd dążysz? — rzucał generał pytanie po pytaniu, zasypując niemi, jak kulami, oszołomionego Szczerbę.

Wiarusowi zakręciło się na chwilę w głowie, ale zaraz przywołał sam siebie do porządku i, wypreżony, z ręką przy czole, odpowiedział dokładnie na wszystkie zapytania, jakby raport zdawał przed swym dowódcą.

Wysłuchiwał tamten raportu z uwagą; twarz jego zupełnie się wypogodziła.

— No, stary — wyrzekł życzliwie — uniknąłeś brzydkiej awantury. Podziękuj Bogu, żeś trafił na Polaka.

— To pan generał Polak? — radośnie wykrzyknął Szczerba, teraz dopiero zrozumiałwszy, że rozmawia z rodakiem.

Srogi generał, który już zupełnie srogości się pozbył, bąknął, jakby od niechcenia:

— Chłopski jestem. Możesz słyszał?...

Szczerba rozkrzyżował ręce, w oczach mu łzy zabłyśły...

— Boże wielki!... Cóż za radość!... Więc to pan generał?... A ja, głupi, odrazu tego nie zgadłem!...

Nie zważając na powstrzymującą go straż, rzucił się do kolan Chłopskiemu, ręce jego z rozrzewnieniem całował...

Obecni przypatrywali się tej scenie z wytrzeszczonemi oczyma, nic nie pojmując. Pojęli

dopiero, gdy Chłopicki wydał rozkaz pozostawienia Szczerby w spokoju i zwrócenia mu zabranych rzeczy. Sam też oddał wiarusowi torbę, z nie tkniętym listem do księcia Józefa.

Wyszli potem obaj na ulicę, gdzie generał, po długiej nieobecności wracający do kraju, długo jeszcze wypytywał wiarusa o różne sprawy publiczne i prywatne. Kazał też opowiadać sobie o kapitanie Kalinowskim, którego znał dobrze i wspominał życzliwie.

Wyprawę Szczerby na poszukiwanie księcia Józefa nazwał wprost: awanturniczą. Roześmiał się jednak zaraz i dodał:

— Ha, cóż robić? Tacyście już — poprawił się: — tacyśmy już wszyscy!

Szczerba dopytywać zaczął o księcia.

— W naszym korpusie go niema — objaśnił generał. — Przyłączono go do korpusu króla westfalskiego, choć właściwie jemu należało być wodzem, a ten król malowany — obejrzał się Chłopicki i zniżonym głosem dokończył — buty czyścićby mu powinien. Mam zresztą nadzieję, że się tak, prędzej lub później, stanie.

Gdy Szczerba w dalszym ciągu dopytywał o przypuszczalne miejsce pobytu księcia, otrzymał odpowiedź, często w ostatnich czasach słyszaną:

— Stary żołnierz jesteś, a nie wiesz, że o takich sprawach: *primo*, nic się nie wie; *se-*

cundo, gdyby się nawet wiedziało, to się o nich nikomu nie mówi.

Szczerba wielce się zafrasował, co widząc, Chłopicki, pośpieszył z uspokojeniem:

— Wszelako, nie trać, mój stary, nadziei, że księcia nie dziś, to jutro odnajdziesz. Nie jest on szpilką, żeby mógł łatwo zginąć. Tem bardziej nie jest szpilką jego korpus, kilkadziesiąt tysięcy dzielnego żołnierza liczący.

— Słyszałem — nieśmiało zauważył Szczerba — że księżę podąży pewnie do Wilna, aby tam połączyć się z Napolionem.

— I ja tak myślę — przytwierdził Chłopicki. — Zresztą — dodał zaraz ostrożnie — jest to tylko moje osobiste, na niczem nie oparte przypuszczenie.

W tej chwili przygalał do rozmawiających adjutant i, nie zsiadając z konia, wręczył Chłopickiemu jakiś papier.

Jenerał przebiegł go szybko oczyma.

— No, mój stary — do Szczerby się zwrócił — bywaj zdrów! Konia i wózek zwrócą ci; za sprawioną mitręgę przeproszą. A na przyszłość strzeż się szwędać, nocą zwłaszcza, zbyt blisko obozu. Czas jest wojenny, gorący, łatwo wzięty być możesz za rosyjskiego szpiega. O pomyłki w takim czasie nietrudno, i nikt się z niemi nazbyt nie liczy. Wiarus jesteś, wiesz, że w czasie pokojowym lepiej uwolnić dziesięciu winnych,

niż skazać jednego niewinnego; ale na wojnie bezpieczniej stu niewinnych powiesić, niż darować życie jednemu szpiegowi.

Już podnosił nogę do strzemięcia, gdy Szczerba, po żołniersku wyprężony, przytrzymał go słowami:

— Panie jenerale, przebacz staremu inwalidzie. Prośbę mam do pana jenerała.

— Mów, lecz prędko.

— Nie chciałbym, żeby o mnie gadano: »W Rzymie był, papieża nie widział«...

— O Niego ci chodzi?

— Tak, panie jenerale. Bo jakże? Baba moja, co była tylko wiwandyerką, patrzyła na Niego zblizka, jak ja teraz na pana jenerała, a ja, żołnierz wysłużony, com się prochu nawąchał więcej, niż tytoniu...

— Rozumiem. Ciężkoby ci było umierać z myślą, żeś Jego tylko ze słuchu znał, żeś się Jemu własnymi oczyma nie przyjrzał... Poczekajże.

Jenerał, pomyślawszy trochę, dokończył:

— Siadaj na jedną ze szkap, co tam stoją. Ruszamy wszyscy, gdzie On nas czeka. Przyczep się jakkolwiek do nas, i z tyłu za oddziałem pośpieszaj.

Rzucił podwładnym komendę francuską, i wszyscy ostro z miejsca się kopnęli.

XVI.

Szczerba, choć już od jazdy konnej odwyk-
nął, mocno trzymał się siodła i nogami konia
ściskał, aby nie spaść i nie stać się pośmiewi-
skiem młokosów. Udało mu się to przy Boskiej
pomocy, choć, po stromej pochyłości pędząc,
o mały włos wierzchowcowi swemu przez łeb
nie przeleciał.

Po jakimś czasie galopujący oddział zwolnił
biegu. Ujrzano liczne szeregi wojska, pokrywa-
jące stromą pochyłość, i ujrzano u podnóża tej
pochyłości błękitną wstęgę rzeki.

Chorągiewki ułanów polskich, wiatrem poru-
szane, zdawały się fruwać w powietrzu, niby
czerwono-białe ptaki.

Widok ułanów tak oczarował Szczerbę, że,
wpatrzony w nich, zapomniał nawet o cesarzu.

A właśnie w chwili, gdy oddział Chłopickiego
nadjeżdżał w to miejsce, kilkanaście owych barw-
nych ptaków odłączyło się od stada i, pocwało-
wawszy ku rzece, rzuciło się w jej fale.

Wówczas dopiero dojrzał Szczerba Jego, tytana, co był na całej kuli ziemskiej, czem papiież w Rzymie.

Wydał mu się posągiem.

Na białym koniu, który kopytami przednich nóg w ziemię się zarył, siedział w surducie jasno-popielatym, spokojny i nieruchomy. Koń i jeździec mieli pozór figur, wyrzeżanych z marmuru: koń z białego, jeździec z siwego.

Szczerba, gdy przypadł oczami do tej postaci, jak bóstwo przez armię czczonej, już oczu oderwać od niej nie mógł. Pierś mu się podniosła od gwałtownego wzruszenia; z wysiłkiem powstrzymywać się musiał od wykrzyknienia:— *Vive l'empereur!* Ten żywy posąg świat cały sobą mu zakrył.

A gdy tak patrzy i patrzy, jakby to wyraziście, blado-oliwkowe, niby skamieniałe oblicze na wieki odcisnąć chciał w pamięci, dobiegł go nagle głośny krzyk trwogi. Oderwał wzrok od cesarza, obrócił go na wojska. W szeregach widniał popłoch; jeźdźcy, porzucając pozycye, pędzili ku rzece i wskakiwali w nią na koniach.

Nie rozumiał Szczerba, co się stało, lecz gdy podjechał bliżej do rodaków ułanów, objaśnili go oni o wszystkim.

O świcie tego dnia przeprawić się miał przez Wilię korpus drugi, dowodzony przez Oudinota. Saperzy już z wieczora poprzedniego dnia most

na rzece zbudowali. Ale gdy nazajutrz przybyto na miejsce, most był zerwany.

Zwykle spokojna, lecz ostatniemi ulewami gwałtownie wezbrana Wilja w ciągu niespełna godziny zniszczyła i uniosła ze sobą mozolną pracę saperów.

Cesarza widok tego zniszczenia wprowadził w gniew szalony. Byli tacy, co widzieli, jak wygrażał rzece szpicrutą. A zaraz potem rozkazał — trudno zgadnąć, w jakim celu — aby pierwszy szwadron ułanów polskich, dowodzony przez Kozietulskiego, w którym znajdowali się także kapitanowie: Załuski i Szeptycki, rzucił się do rzeki i wpław ją przebył.

Na środku rzeki bystry prąd uniósł kilka koni, które poszły pod wodę. Ludzie unosili się na powierzchni, z wysiłkiem walcząc z zalewającą ich falą...

Krzyk trwogi rozległ się wśród hufców, na brzegu zgromadzonych. Na ratunek tonącym pośpieszyli saperzy na łodziach. Prócz nich, kilkudziesięciu ochotników z piechoty, bądź rozebranych, bądź w mundurach, wskoczyło do wody, aby bliźnich ratować.

Niestety, nie wszystkich ocalić zdołano. Młody ułan, Trzeciński, chwycony silnym wirem, utonął. Ten sam los omal nie spotkał kapitana Józefa hrabiego Załuskiego. Byłoby niezawodnie i więcej ofiar, gdyby nie bohaterskie poświęcenie ra-

tujących, wśród których znalazł się i szef pułku, Wincenty hrabia Krasiński. Hrabia jednego ze swych ułanów własnymi rękoma z toni wyciągnął.

W strasznem zamieszaniu zapomniał Szczerba na chwilę o cesarzu. Gdy wreszcie wzrok nań obrócił, zdumiał się, widząc go na tem samym miejscu, w tej samej pozycji, z tą samą posągową, jakby skamieniałą twarzą...

Przy Napoleonie kręcili się adjutanci konni, którym on wydawał krótkie, niegłośnie rozkazy. Przytem wszakże ani jednym ruchem nie okazał nie tylko wzruszenia, lecz nawet nieco żywszego zajęcia się sceną wstrząsającą.

Nieruchomy był i marmurowy wówczas nawet, gdy Trzeciński, po raz ostatni z wody się wynurzywszy, gasnącym głosem wykrzyknął:

— *Vive l'empereur!*

Szczerba, to wszystko zważając, głową kręcił, wąsy ciągnął i z twarzą nachmurzoną pod nosem coś mamrotał.

Tymczasem rozproszone szeregi uformowały się nanowo, i rozkazano saperom, aby jak najenergiczniej zabrali się do budowy nowego mostu.

Słońce podniosło się wysoko i dopiekać zaczęło. Jednak Napoleon, choć od pewnego czasu bardzo na upał niewytrzymały, nie cofnął się do miasta. Pozostał na brzegu rzeki, saperów swych dozorując i do pośpiechu ich nagląc.

Dzięki temu zadziwiająco prędko budowa mostu została ukończona. Wstąpiły nań natychmiast zbrojne szeregi i szczęśliwie, w zupełnym porządku, dostały się na brzeg przeciwny. Dopiero, gdy ostatni żołnierz i ostatni wóz wojenny z mostu zjechali, Napoleon konia zawrócił i, otoczony błyszczącym sztabem, do Kowna odjechał.

Za cesarzem i jego eskortą powlókł się na chudej szkapinie i Szczerba. Zaraz po przybyciu do miasta, pośpieszył uwolnić z pod aresztu biedkę Janklową i swego konia, poczem, nie zatrzymując się dłużej i nie korzystając nawet z zaproszenia Francuzów, którzy go na wino ciągnęli, udał się w drogę powrotną.

Choć marzenie długich lat jego życia spełniło się i choć ujrzał tego, co sławą swą świat wypełniał, Ojczyźnie zaś jego miał nieść zbawienie, chmurny był i zafrasowany. Wzdychał też często i modlitwy do Ducha Świętego odmawiał, błagając o rozproszenie mroków i wątpliwości, które mózg mu obsiadły i spokoju nie dawały...

XVII.

I znów po szerokim litewskim gościńcu, wśród spieki, wysuszającej mózg, odbierającej siły, przez płowe tumany kurzu, gryzącym pyłem zasypującego oczy, toczy się poważna, mocna, szczebiotem dzieci i poszczekiwaniami wielkiego psa rozweselona — arka.

Toczy się w stronę Wilna, jakby porwana prądem ogólnym, który, śladem Napoleona, wszystko do grodu gedyminowego ściąga.

Dzieci są, jak zawsze, wesołe; Wierny, jak zawsze, czujny i chałatom a pejsom nie dowierzający. Tylko Szczerbina, wbrew zwyczajowi, milczy, zadąsana i z gniewną twarzą od męża odwrócona; ten zaś ostatni, zamiast na dzieci i na tłómoki, patrzy na łąki i lasy, goniąc przysłanym wzrokiem dym unoszący się z krótkiej fajeczki.

Od powrotu Szczerby z Kowna, sprzeczki pomiędzy małżonkami często się powtarzają. Przedmiotem ich bywa stale — Napoleon.

Dla eks-wiwandyerki cesarz jest słońcem bez plam; dawny żołnierz kościuszkowski dostrzega na tem słońcu plamy i palcem je wytyka...

— Napolion — dowodzi kobieta — wie zawsze, co robi. Nie nam, prostakom, mędrkować i sądzić, że to dobre, a tamto złe. »Słucham!... Wedle rozkazu!... *Wif alamper!*« — i po wszystkim...

Szczerba, wydmuchując dym na stronę, mruczy, jakby do siebie:

— Baba zawsze babą: ona tylko dobrą minę szanuje i dla ostrej komendy posłuszeństwo zna.

— Dla starych inwalidów, co służyli przy Kościuszcze, nic niema na świecie, oprócz Kościuszki. A z pewnością i Kościuszko stanąłby »frontem« przed Napolionem i na całe gardło wykrzyknął: — *Wif alamper!*...

— Właśnie — moi państwo, od nieboszczyka kapitana słyszałem, że Naczelnik nie lubi Bonaparta (bo on się po ojcu Bonapart wabi) i rodaków swych ostrzega, żeby się przed nim na ostrożności mieli...

Szczerbina staje się czerwona, jak pomidor, i rękawy podciąga, jakby do walki się gotowując...

— Proszę!... bardzo proszę!... — wybucha złością, szyderstwem zaprawioną. — Jeżeli stary inwalida wie coś złego o cesarzu, niech gada. Wolno przecie i na Pana Boga szczekać.

Szczerba ciągnie się wówczas za długie wąsiska, jakby je urwać chciał. Zasadą jego stałą: »babie« ustępować, z zasady jednak również ustępuje zawsze w porządku, aby mówiono o nim: »odchodzi«, lecz, broń Boże, nie »rejteruje«.

— Ja o Bonaparcie nic do gadania nie mam — mruczy, pilnie swą fajkę zajęty. — Ani mi on brat, ani swat. Powtarzam tylko, co mądrzy ludzie gadali, i koniec.

Tu zniża głos i, jakby do fajki mowę obracając, kończy:

— Ale co prawda, to prawda. Pocóż to jemu zawsze »na sztych« Polaków wystawiać? A potem... kiedy ów nieboraczysko tonał... At, moi państwo! porządne cesarze tak nie robią...

Reszta uwag ulatuje z dymem fajki na pola i lasy.

Dzieci z zajęciem przysłuchiwały się sporom. Józia trzymała stronę Szczerbiny, Józio przytakiwał milcząco Szczerbie. Ale i chłopca i dziewczynkę najwięcej zaciekawiało: jak Napoleon wygląda?

— Nie wygląda on tak, jak inne ludzie — objaśniał wiarus. — Jest trochę jakby z wosku, a trochę jak z kamienia. Nie bardzo się rusza, ale jak się ruszy, to jakby ziemia paliła się pod nogami jego i jego konia. A ten koń białusieńki, jak z labastru. I co prawda, dziwno mi, że ludzie mogą z nim rozmawiać... Ja, moi państwo,

stałbym przed nim, jak kołek, i językabym w gębie zapomniiał.

Takie rozmowy toczyły się w arce, która tymczasem już tylko na odległość jednej mili zbliżyła się do Wilna.

Dzieci, które wyteżonym wzrokiem wpatrywały się w przestrzeń, niecierpliwe widoku kościołów i pałaców litewskiej stolicy, wykrzyknęły nagle z uciechą:

— Wojsko idzie!... Wojsko!...

Starzy nic w pierwszej chwili dojrzeć nie mogli, lecz i im zabłysnęły niebawem przed oczyma długie szeregi połyskujących w słońcu bagnetów.

Z obłoków rudej kurzawy wyłaniać się zwolna zaczęły nieprzejrzane zastępy piechoty.

Szczerba trącił żonę.

— Nasi to, czy Francuzy?

Eks-wiwandyerka przysłoniła dłonią oczy od słońca.

— Ani nasi, ani Francuzy.

— Patrzcież, moi państwo! Czyżby to byli...

Zanim dokończył, już się wątpliwości same przez się rozproszyły. Drogą od Wilna szły sztywne pułki piechoty rosyjskiej. Właściwie nie szły, lecz biegły. Był to niby zwykły krok podwójny, lecz wyglądał prawie, jak galop.

Piechota biegła do taktu, lecz bez muzyki i ze sztandarami zwiniętymi,

Szczerba, praktyk w rzemiośle wojennem, mrugnął znacząco w stronę żony i wąsami śmieśnie poruszył. Zrozumiała ten znak eks-wiwandyerka i odpowiedziała nań pogardliwem poruszeniem ust.

· Dzieci tymczasem z wielką ciekawością przypatrywały się obcemu sobie wojsku. Dziwiła ich sztywność krzepkich, jakby z drewna wystruganych żołdatów; zrozumieć nie mogły, dlaczego ich marsz jest tak prędki i gwałtowny.

— Mamo Kundziu! — spytał Józio — czy wojsko rosyjskie zawsze w tak szybkim tempie maszeruje?

Szczerbina roześmiała się.

— Zawsze, ale gdy je kto z tyłu popędza.

— A któżby to teraz mógł czynić?

— Któż, panie Józiu, jak nie Napoleon!

W tej chwili w stronie miasta rozległ się straszny, ogłuszający huk... Ziemia zadrżała, z drzew posypały się liście.

A potem wszystko zagłuchło, i ludzie słyszeli tylko głośnie w uszach dzwonięcie.

Józia, przestraszona, zesunęła się z siedzenia. Brat jej podskoczył na pół łokcia w górę. Szczerba i Szczerbina tylko powiekami mrugali, spoglądając na siebie porozumiewająco.

— Do stu piorunów! — zaklął woźnica, z trudem osadzając na miejscu przestraszone, rwące się konie.

— Dobrze gada — przytaknął wiarus. — To było naprawdę tak, jakby sto piorunów odrazu trzasło. Ale to nie były, moi państwo, pioruny.

— Tylko co?... Tylko co?... — dopytywał ciekawie Józio.

Stary milczał, ciągnąc wdół wąsy i pilnie coś rozważając. Niecierpliwa Szczerbina wyręczyła go w odpowiedzi.

— Cóż miało być? Bomba była — i kwita!

— Właśnie, że nie bomba — mruknął zamyślony wiarus. — Znam ja dobrze ten interes. Od bomby jeno powietrze się trzęsie, a tu zatrzęśła się cała ziemia. To, moi państwo, było co innego. To był, wybuch miny.

— I cóżby tam kto minami miał wysadzać? — sprzeciwiła się mężowi Szczerbina. — Rossi-janie sami ustąpili, wykurzać ich nie było potrzeby...

Szczerba głową kręcił, powiekami mrugał.

— Inna tu była, moi państwo, kalkulacya. Ci właśnie, co ustępowali, minę podpalili.

— Ależ po co?... po co?... — dopytywali słuchacze.

— Po to, moi państwo, żeby najpierw od pościgu się zabezpieczyć, a powtóre, żeby nieprzyjacielowi trochę krwi napsuć.

Gdy tak rozmawiali, nad miastem ukazała się chmura gęstego, prawie czarnego dymu, zaczerwieniona od dołu odbłaskiem płomieni.

Szczerba wskazał ręką tę chmurę.

— Widzicie państwo? — rzekł. — Nie tylko krwi im napsuli, ale jeszcze potężnego psikusa urządzili. Wpierw wyleciał w powietrze most, teraz palą się magazyny...

Zrozumiała nareszcie Szczerbina, co się święci; rękami w kolana się uderzyła...

— A to ci dopiero naród zawzięty!...

Tymczasem »zawzięty naród«, sypiący się coraz gęściej, niby pszczoły z podkurzonego ula, tak ścisnął arkę, że już się wcale naprzód posuwać się mogła. Szczerba kazał woźnicy zjechać na bok i w miejscu stanąć, ale i to nie pomogło.

To ten, to ów z biegnących cwałem żołnierzy, brykę wymijając, wyciągał rękę, i albo chwycił coś z prowiantów, albo potracił boleśnie siedzących w arce. Od jednego potrażenia wypadła Szczerbie fajka z zębów. Od innego płakać zaczęła dziewczynka, bólem i strachem przejęta.

Wierny wysunął z barłogu wielki łeb, lecz pomny otrzymanej nauki, nie szczekał, tylko wielkie kły w milczeniu wyszczerzył.

I tego mu jednak nie darowano. Otrzymał pchnięcie »szytykiem«, które mu na szczęście, tylko gęste kudły przeszyło.

Zmiarkował Szczerba, że to nie przelewki, więc kazał woźnicy skrócić w bok i przez świeże rżysko pędzić jak najdalej od gościńca.

Rżysko, nierówne, miejscami jakby powyry-

wane i napół jeszcze zielone, świadczyło, że zboże skoszono niedojrzałe, na paszę dla koni.

Jazda po zagonach, bardzo niewygodna, boleśnie uczuć się dała dzieciom. Józio zaciskał zęby i miną nadrabiał, ale siostra jego wciąż miała łzy w oczach. Więc radość napełniła serca dzieci i ich opiekunów, gdy, wjechawszy na dość wyniosłe wzgórze, ujrzeni w dole małą rzeczulkę, na niej młyn, a przy młynie budynki mieszkalne i gospodarskie.

Byli głodni, znużeni; koniom również śpieszyło się do żłobu i koryta z wodą, mieli to wszystko znaleźć w zagrodzie młynarskiej, której gospodarz pewnie im gościnności nie odmówi. Zresztą niczego żądać nie będą darmo.

Koło młyńskie nie obracało się, ale to na przednowku rzecz zwyczajna. W zagrodzie było cicho, pewnie ludziska przed zawieruchą wojenną w kąty się pochowali.

Jednak ta cisza wydała się Szcerbie niezwykłą i niepokojącą.

Gdy już arka zbliżała się do zagrody, nie oskoczyła jej — jak to zwykle bywa — zgraja psów młynarskich, tłustych i rzekomo zajadłych. Jeden tylko sromotnie chudy kundel wyjrzał lękliwie z za węgła, szczerknął niezbyt głośno i uciekł zaraz, ujrawszy Wiernego. Ostatni, wyskoczywszy z bryki, nie raczył nawet na zaczepkę odpowiedzieć, owszem, odwróciwszy się tyłem do zmy-

kającego kundla, wierzgnął w jego stronę zadnią łapą, ruchem najwyższej pogardy.

Furtka w parkanie była zamknięta. Pchnął ją Szczerba i wszedł na zupełnie puste podwórze, po którym nawet nie uwijały się kury, w młynarskiej zagrodzie tak zwyczajne, jak wróble w pełnej stodole.

Z domku nikt nie wyszedł; nie ukazała się nawet niczyja twarz z poza drobnych szybek w oknie. Chudy kundel był tu widocznie jedyną żywą istotą.

Zafrasował się Szczerba, zaniepokoiła się i jego żona. Dzieci tylko spokojnie i z zajęciem rozglądały się dokoła. Każdy nowy widok bawił je, zaciekawiał, o głodzie i znużeniu zapominać kazał.

Domek zamknięty był z zewnątrz na kłódkę. Aby się dostać do środka, należałoby zamek odebrać, o czym naturalnie wiarus ani pomyślał. Wejście do stajenki i obórki zabezpieczono tylko przetkniętym przez skobel patykiem. Tu łatwo dostał się Szczerba, ale prócz pustych żłobów, nic więcej nie znalazł.

Wszystko wskazywało, że młynarz ze swą czeladką w pośpiechu opuścił dom, zabierając ze sobą cały, żywy i martwy dobytek, i jedynie starego kundla na straży pozostawiając.

Cokolwiekby, postanowił Szczerba rozgościć się w tej zagrodzie i nawet w niej zanocować, a dopiero nazajutrz ruszyć do Wilna, w którym

Bóg wie, co się w tej chwili działo. Wprowadził przeto arkę na podwórze, wrota i furtkę zamknął. Gdy konie wypoczęły, napoić je kazał w rzezułce i do stajenki zaprowadzić. Dano im zaraz siana i podsypano owsa, jeszcze bowiem, dzięki Bogu, jednego i drugiego w zapasach podróżnych nie brakło.

Gdy Szczerbina krzątać się zaczęła około obiadu, narzekając, że niema kuchni, ani spiżarki, wiarus, wyjąwszy z ust fajeczkę, wyśmiewać ją zaczął:

— Patrzcie ją... wielka dama! Kuchni jej się chce, spiżarni, kredensu, może jeszcze kucharza i kuchcików! A zapomniałaś to, matko, jak to się warzy krupy w obozie?...

Uśmiechnęła się ekswiwandyerka, wierzchem dłoni górną wargę otarła.

— Przetrzej oczy, stary... — żartobliwie rzekła. — Dyć to nie obóz, jeno zagroda, jak się patrzy.

Zkolei zaśmiał się wiarus.

— Słyszycie, ludzie? Mojej babie w głowie się przewróciło. Pod gołem niebem stoi, a wyobraża sobie, że się rozsiadła w zagrodzie. To ty oczy przetrzej, kobieto, i zrozum, że nie na kwaterze jesteś, lecz na biwaku. Jeno, żeś ty już na szczeręt zabyła: jak to się biwak urządza.

— Otóż nie zabyłam! — obruszyła się ko-

bieta. — Jak biwak, to biwak. Dzieci! pomóżcie mi rozpalić ognisko...

I chłopcu i dziewczynce oczy się zaśmiały do nowej zabawki. Zaraz też, spełniając polecenia swej opiekunki, znosić zaczęły suche gałęzie i przerąbywać je dobytym z arki toporkiem. Pomagał im w tem stary wiarus, choć, słuchając jego wskazówek, nic mu własnymi rękoma robić nie pozwalały.

W arce znalazł się szpadel do wykopania dołka na głównie; znalazł się też kociołek miedziany, pobielany, kształtu obozowego, i trójnóg żelazny do zawieszania kociołka, i wielka warząchew, i obozowe miseczki, oraz inne przyrządy stołowo-kuchenne. Przewidujący Szczerba zaopatrzył się we wszystko; wiedział on, że w podróży tak dalekiej na wszelkie niespodzianki gotowym być trzeba.

Po raz pierwszy w życiu dzieci spożyć miały obiad obozowy, obiad z kotła. Któż mógł zgadnąć: czy i po raz ostatni?...

— Ba! — myślał doświadczony wojak — daj, Boże, aby tylko zawsze miewały kaszę z kotła gorącą, masłem, słoniną lub choć sadłem okraszoną!...

Wpadł przytem w zadumę i w milczeniu zawąsy się ciągnął, w ziemię patrząc posępnie.

Od pewnego czasu dochodziło zdala głucho, przeciągłe huczenie, niby echo dalekiego grzmotu.

Ale że przytem ziemia lekko drżała, grzmot wydawał się podziemnym.

Z początku nikt na owe głosy pilniejszej uwagi nie zwracał. Zajęci byli wszyscy jedzeniem, a przy jedzeniu żartami wesołymi. Dzieci zwłaszcza były w usposobieniu doskonałem i śmiały się co chwila z byle czego.

Ale gdy obiad skończył się już, a grzmienie podziemne nie ustawało, przysłuchiwać mu się zaczęli uważniej oboje Szczerbowie.

— Wiesz, Marcinie, co ja myślę? — odezwała się po chwili kobieta.

— Wiem — przerwał jej niecierpliwie wiarus. — Ty myślisz, że to burza się zbliża, a tymczasem jest przeciwnie. Burza oddala się, na bory, na lasy odchodzi...

— To prawda, ale ja myślę takóŜ, że ten grzmot to nie z chmur idzie.

— To się wie, bo to grzmot... armatni.

Dzieci przybiegły do starego.

— Więc to z armat strzelają?... Kto strzela, panie Marcinie?... Czy kule armatnie daleko niosą?... Czy do nas taka kula nie doleci?...

Uśmieł się wojak z tych zapytań.

— Jakże dolecieć ma kula, kiedy nikt o wystrzeliwaniu jej nie myśli!

— Jakto? A ten huk nieustanny?...

— Pochodzi od armat, ciągnionych całą siłą koni po twardym gościńcu.

— Ehe! Rossi-janie — zaśmiała się Szczerbina — ze swemi »puszkami« ostro zmiatają. Neapolion potężnie ich pogania!

Zżymnął się na te słowa Szczerba.

— Kiedy kto interesu nie rozumie — gniewnie oświadczył — to niech język za zębami trzyma!... Tu nikt, moi państwo, o zmiataniu nie myśli. I to nie jest wcale rejtereda.

Szczerbina wsparła obie ręce o biodra.

— I jakże się to u ciebie, mój mądry Marcinie, taka rzecz nazywa?

— Nazywa się: przemarsz artyleryi z jednego miejsca na drugie. Nikt tu przytem nie potrzebuje uciekać, bo nikt nie jest goniony. Neapolion, choćby chciał, zrobić tego nie może.

— Co też ty gadasz, człowieku! Niema takiej rzeczy, którejby Neapolion nie mógł!

— Czy tak? To niechże ze swoją armią przez rzekę przeskoczy, albo niech każe swojej piechocie wpław ją przejść...

— A czyż to mostu niema?

— Niema, bo go Rosyanie za sobą w powietrze wysadzili.

— Pewnyś tego?

— Pewny, bom słyszał, jak most w powietrze wylatywał.

Przy tych słowach mrugnął Szczerba znacząco oczami.

— Umiem ja, moi państwo, rozeznać po gło-

sie: czy mina burzy redutę, czy rozrzuca wał ziemny, czy też most wysadza... Jakem jeno usłyszał tamten huk, zaraz zmiarkowałem, co się święci!

Tu, zwróciwszy się do dzieci, zaczął im, jako doświadczony żołnierz, poglądy na całą sprawę wykladać.

Według niego, strategiczny manewr Rosyan nie dowodził bynajmniej słabości i obawy. Opuścili Wilno, gdyż mieli przekonanie, że to dla nich korzystniejsze, niż przyjęcie i stoczenie bitwy. Jaki był ich plan, o tem ani Szczerba, ani nikt zgoła, oprócz cesarza Aleksandra i jego sztabu, wiedzieć nie mógł. To wszakże pewne, że Rosyane »wzięli na chytróść«, są zaś oni w tym kierunku mistrze niedościgli...

— Nic im to nie pomoże! — zawołała, zawsze pełna zapału, dziewczynka. — Napoleon wszystkich pobił, to i ich pobije!

Józio, spokojnie każdą sprawę rozważający, oświadczył:

— Ja myślę, że tym razem chytróść na złe wyjdzie Rosyanom. Trzeba im było, nie zwlekając, uderzyć całą siłą na Francuzów. Armia, długim pochodem znużona, pewnieby się nie oparła...

Szczerba przytaknął chłopcu wymownym ruchem głowy i uśmiechnął się znacząco, jakby chciał powiedzieć:

— Brawo, Józiu! Mimo młodego wieku, rozumiesz rzecz lepiej, niż wielu starszych i mądrzejszych od ciebie.

Ale dziewczynka nie chciała ustąpić.

— Bajki to są! — mówiła głośno, rękami wymachując. — Ani pod Wilnem, ani pod Moskwą i Petersburgiem Napoleon pobić się nie da. Nikt dotąd tej sztuki nie dokazał i nikt jej nie dokaże. Cesarz Aleksander najlepiejby zrobił, gdyby odrazu swe państwo oddał Napoleonowi. Jak będzie go drażnił, może dostać się do niewoli i siedzieć w więzieniu o chlebie i wodzie!

Wiarus głową chwiał.

— Wszystko w mocy Bożej!... Jak Bóg postanowi, tak będzie!... Nikt wyroków Boskich odgadnąć, ani zmienić nie potrafi!...

Nad wieczorem wyprzątniono obórkę i rozestano w niej siano. Dzieci ułożyły się do spoczynku pod opieką swej przyjaciółki i opiekunki. Szczerba uczynił się stróżem swej drużyny, wzięwszy ze sobą Wiernego, obchodził zagrodę, wypatrując, czy nie grozi jej skąd niebezpieczeństwo.

Pies miał przykazane: nie czekać. Pomny rozkazu, poprzestawał w potrzebie tylko na głuchem warczeniu. Warczał jednak często, co dowodziło, że w pobliżu snują się maruderzy.

Wiarus, na wszelki wypadek, miał przy sobie dwa pistolety nabite, oraz stare, kościuszkowskie szablisko. Na szczęście, noc była bardzo

ciemna, a zagrodę, prócz ciemności, szczelnie zakrywały drzewa. Młyn stał, nie zdradzając się klekotem swych kół; nie było psów, niespokojnie po nocy naszczekujących; na chwilę też nawet nie zapalano w zagrodzie światła. Naboje w lufach i szabla w pochwie spokojnie mogły spoczywać.

Szczerba wyteżał wzrok i słuch w kierunku Wilna. Nad miastem zjawiały się co pewien czas ognie szybko gasnące; słychać też było trzask głuchy. Nietrudno było staremu wojakowi odgadnąć znaczenie tych światel i głosów: porozumiewały się niemi rozciągnięte na dużej przestrzeni oddziały Wielkiej Armii.

Józia na świeżem sianie wyspała się wyśmienie. Ale Józio spoczywał tylko do północy. Potem zerwał się energicznie z posłania, szybko, »na trzy tempa«, ubrał się i wyszedł na podwórze, aby chodzącego na czatach wiarusa »zluzować«.

Uśmieł się stary z tej propozycji, ale chłopca pochwalił i ofiarę jego przyjął. Wkrótce też Józio, zaopatrzony w pistolet i »przywiązany do pałasza« (jak się wyraził Szczerba), obchodził miarowym krokiem zagrodę, czuwając nad bezpieczeństwem śpiących, nad nim zaś czuwał ukryty za węglem wiarus. Nad ranem jego z kolei zluzowano i spać poszedł, bardzo zadowolony ze służby swej i z siebie.

Nazajutrz, gdy jeszcze rosa na łąkach stała, wyjechano do Wilna.

Na samem wyjeździe dzieci, po wszystkich kątach myszkujące, zrobiły ważne odkrycie: w małej komórcie, gdzie chowano niepotrzebne gospodarskie rupiecie, znalazły kilka wiązek siana, oraz spory worek owsa. Były to rzeczy w tym czasie nieocenione, dla podróżnych zwłaszcza, udających się w drogę daleką a w strony nieznane.

Szczerbina bez namysłu chwyciła worek z owsem, dzieciom kazała siano na brykę pakować.

— Ba! — powstrzymał ich Szczerba, za wąsy się ciągnąc. — A siódme przykazanie Boskie?

Eks-wiwandyerka wystąpiła z zaprzeczeniem:

— Jeśli komu zabiera się rzecz niepotrzebną, nie jest to kradzież.

— A ty skąd wiesz — spytał wiarus — że to siano i ten owies były młynarzowi niepotrzebne?

— Inaczej, nie porzucałby ich przecie!

— Terefere... To są, moi państwo, zwykłe wykręty, żeby sumienie uciszyć.

— Ech! sam nie wiesz, co gadasz... Zapomniałeś to, że na wojnie inny porządek, niż w spokojności?

— Jeszczeć my, dzięki Bogu, z nikim nie wojujemy...

— My i Neapolion, to jedność.

Do rozmowy wmieszał się Józio.

— Jabym sądził, że nam ten furaż wziąć trzeba. Tu leży on bezużytecznie, i tylko myszy na nim się wypasają; tymczasem nasze koniki mogą głód cierpieć i nie dowieźć nas do celu podróży. Aby zaś młynarza nie skrzywdzić, sposób na to jest prosty...

— Jaki? — zapytali żywo oboje Szczerbowie.

— Zapłacić mu.

— Ba! szukaj wiatru w polu!

— Po cóż szukać? To, co się należy, w kopertę włożyć i młynarzowi zostawić!

Podobała się ta myśl Szczerbie. Zaraz też z podróżnego »sekretarzyka« wydostano kopertę, papier i przyrządy do pisania. Józio napisał list i rachunek, Szczerba odliczył i do koperty włożył pieniądze, i umieszczono list w komórce, kamieniem go przycisnąwszy.

Świeży zapas furażu bardzo się przydał podróżnym, a w potrzebie stać się mógł nawet ich zbawieniem. Koniki, jakby o tem wiedziały, wesoło potrząsnęły łbami i żwawo ruszyły do miasta.

XVIII.

Mostu na Wilii nie było, wypadło przeto zatrzymać się na przedmieściu. Szczerba umieścił arkę u jakiegoś poczciwego Litwina, który za skromną opłatą podjął się opieki nad bryką, końmi, zapasami i psem.

Woźnicę odprawiono, uczciwie go wynagrodziwszy. Szczerba spodziewał się, że tu już będzie kres jego włóczęgi, a na powrotną drogę wzięć będzie można innego woźnicę.

Pieszo, z małymi tylko pakunkami, udali się wszyscy do miasta.

Na rzece ponuro sterczały wystające z fal zręby zniszczonego mostu. Wilia płynęła wartko, odbijając w sobie drżący obraz rozsiadłego nad nią miasta. Krążyły po niej liczne łodzie, przewożąc ludzi z jednej strony na drugą.

Po przedmieściu snuli się już gęsto a beładnie żołnierze francuzcy. Przyglądały się im dzieci z nadzwyczajną ciekawością. Żołnierze byli gadatliwi, palili krótkie fajeczki i zaglądali

we wszystkie kąty, jakby upatrując ukrytego nieprzyjaciela. Naprawdę jednak szło im zgoła o co innego...

Kilkunastu piechurów, którzy szli, trzymając się pod ręce i zajmując całą szerokość ulicy, spostrzegłszy idących, wieńcem ich otoczyło. I zaraz słyszeć się dało jakby klekotanie bocianów:

— Kleb, kleb, kleb... Kleb, kleb, kleb...

Jeden wykrzyknął na cały głos:

— Kelbas!

Zaraz potem rozległy się wołania:

— Daj kleb!...

— Daj kelbas!...

— Daj wotki!...

Choć to był wyraźny napad, z chęcią rabunku złączony, Szczerbina śmiała się wesoło, miny dobrej nie tracąc. Przypomniały się jej dawne, dobre, wiwandyerskie czasy; wyobrażała sobie, że znów ją otoczyła głodna, żołnierska czereda, pchająca się do jej wózka z prowiantem.

— Ńja kleb!... Ńja kelbas!... Ńja wotki!... — tłumaczyła nacierającym, głęboko przeświadczona, że mówi po francusku.

Ale ich ta francuzczyzna nie uspokoiła. Kłaniając się i szczerząc zęby w uprzejmym uśmiechu, przeglądali kolejno wszystkie »węzełki«, doszukując się jedzenia i trunku. Gdy nic nie znaleźli, skłonili się jeszcze uprzejmiej i odeszli.



Na białym koniu siedział spokojny i nieruchomy.

Szczerba dał im na drogę wszystek swój tytuń, za co został przez nich po plecach poklepany.

Odchodzących pożegnała Szczerbina okrzykiem:

— *Wif alarme!*

Przybywszy nad rzekę, z trudnością znaleźli miejsce w wielkiej, ludźmi natłoczonej łodzi, która ich przewieźć miała do miasta. Gdy znajdowali się już blisko brzegu, dobiegł ich tętent licznych koni i ujrzeli wielki tłum, gromadzący się na wybrzeżu. Niebawem wyjaśnił się powód zbiegowiska. Od strony miasta, w otoczeniu licznej świty, najeżdżał — Napoleon.

Siedział na białym arabczyku, znacznie mniejszy od swego otoczenia i ze wszystkich najmniej okazały. Ale od jego drobnej postaci biła nadzwyczajna, jakby nieziemska potęga, i, nie wiedząc nawet, kim on był, czuło się, że to człowiek wielki.

Zatrzymawszy konia na stromym brzegu i lunetę polową do oczu przyłożywszy, rozpatrywał cesarz pilnie okolicę i generałom swym polecenia wydawał.

Dzieci przyglądały mu się z zatrzymanym oddechem. Łódź o tyle już zbliżyła się do brzegu, że mogły dokładnie rozpoznawać każdy rys jego oblicza. Odniosły wrażenie podobne do tego, ja-

kiego doświadczył pod Kownem Szczerba. Napoleon wydał się im — ożywionym posągiem.

W jednej chwili, jakby wewnętrznemu nakazowi posłuszni, wszyscy w łodzi powstali. Mężczyźni zdjęli czapki, kobiety powiewać zaczęły chustkami, ze wszystkich piersi wybiegły okrzyki:

— Niech żyje cesarz!... Niech żyje Napoleon!...

Dzieci krzyczały najgłośniej.

Na innych łodziach powtórzyło się to samo. Cała rzeka rozbrzmiała okrzykami.

Ale posągi są głuche... Napoleon na wiwatujących nawet okiem nie rzucił. Wkrótce też ostatnie polecenia wydawszy, skierował konia w stronę miasta i wraz z całym orszakiem do Wilna odjechał.

Odbyło się to wszystko tak szybko, że dzieci, nagłemi wrażeniami oszołomione, przez długi czas przyjść do siebie nie mogły.

W milczeniu przybito do lądu; w milczeniu opuszczano łódź i wstępowano do miasta. Dzieciom wydawało się chwilami, że miały tylko krótkie widzenie na jawie.

Jeden z »Dobrzyniaków« zaopatrzył Szczerbę w list polecający do swego krewniaka, mieszkającego na jednej z oddalonych uliczek Wilna. Nazywał się ten krewniak Szutinas i, choć nie trzymał otwartej dla wszystkich gospody, ugasz-

czał chętnie znajomych, oraz tych, którzy z ich polecenia przybywali. Był to już człek stary, na jedną nogę sparaliżowany, i za próg swego dworku prawie nigdy się nie wychylał, miał wszakże bardzo ruchliwego syna, który pracował w sądownictwie i żywo zajmował się sprawami publicznymi.

Młody Szutinas po kilka razy na dzień przybiegał z miasta do dworku i staremu ojcu przynosił wiadomości, których w tym czasie każda chwila obficie dostarczała.

Gości przyjęto jak najserdeczniej. Józię i Szczerbinę stara Szutinasowa wzięła do siebie; chłopiec i jego opiekun zostali umieszczeni w oddzielnej stancyi, tuż obok tej, którą zajmował gospodarz.

Wierny musiał dzielić legowisko z psami miejscowymi. Z początku kundle litewskie szczerzyły zęby na przybysza z Korony; niebawem jednak pokumał się on z nimi.

Po jasnej i wesołej Warszawie Wilno, pełne wązkich uliczek, starych gmachów, nadrujnowanych kościołów, wydało się dzieciom miastem ciemnem i posępnem. Choć przepełniały je liczne pułki piechoty, jazdy i artyleryi, nie było tu ani śetnej części tego harmidru, jaki panował w małym, pamiętnem im, miasteczku przy gościńcu. Obecność cesarza wystarczała do utrzymania

w karbach tej całej niezmiernej masy pieszych i jezdnych.

Dla Szczerby było sprawą najpilniejszą zasięgnąć języka o księciu Józefie. Nie było to łatwe. Nie mógł jakoś wiarus przydybać Polaka, z Francuzami zaś, Włochami i innymi Sasami nawet jego żona porządnie rozmówić się nie mogła.

Zagadnięty o księcia młody Szutinas zapewnił, że »w minut pięć, dziesięć, a najwyżej dwadzieście lub trzydzieście«, o wszystkim będzie wiedział i pytających zawiadomi.

— Niech przecie panisko nie zapomni, że ksiązę, choć wart tego, korpusem nie dowodzi. Pytać o niego w korpusie króla Hieronima...

— Wiem, wiem: króla westfalskiego. Ksiązę, król, czy sam imperator, wszystko mi zarówno. Wszystkich znam, ze wszystkimi rozmawiać mogę, jak tu oto z rodzicem moim i jegomością!

Dobrego o sobie rozumienia był młody Szutinas. Nie stanowił wszakże wyjątku. Wszyscy Wilnianie byli jak upojeni przybyciem wielkiej armii, każdy wyobrażał sobie, że w Napoleonie ma już nie tylko zbawcę i przyjaciela, lecz wprost: dobrego kolegę.

Zjawił się młodzieniec dopiero na wieczerzę, ale przybiegł rozpromieniony i już w progu zawołał;

— Kto nie wie, to nie wie, a Szutinasowi taki wszystko wiadomo!...

Do Szczerby zwrócił się.

— Cóż mi tam jegomość mówiłeś o królu westfalskim... Już króla niema!

— Co słyszę! — zadziwił się wiarus. — Czyżby do niewoli wzięty lub, uchowaj, Boże, poległ?

Roześmiał się tamten.

— Jeszcze gorzej, proszę jegomości. Jemu brat, to jest Napolion, dał — delikatnie mówiąc — szc lutka w nos i kazał »na kuryerskich« do domu z powrotem odjechać. Tak on wziął i odjechał.

— A książę?

— Książę teraz prawy król, choć nie westfalski. Korpusem całym dowodzi, jenerały słuchać go muszą, pułkownicy kłaniają mu się, a on służy jednemu tylko Napolionowi...

— I ojczyźnie! — mruknął z kąta basem stary Szutinas.

— Gdzież jego kwatery?—dopytywał Szczerba.

— Tego ja jeszcze nie wiem, ale za minut pięć, dziesięć...

Podano wieczerzę, do której wszyscy zasiedli w usposobieniu jak najlepszem. Szczerba nie wątpił, że już lada chwila stanie przed obliczem księcia i misyę swą spełni. Dzięki temu, miał dobry humor, który udzielał się dzieciom i ich opiekunce.

Zaraz po wieczerzy młody Szutinas wymknął się do miasta, powrócił jednak zbyt późno, aby można go było o nowiny wypytować.

Dopiero nazajutrz, przy śniadaniu, zetknął się z nim Szczerba.

— I cóż? — zapytał. — Gdzie książe?

— O to zapytaj jegomość Napoliona. On najlepiej wie: dokąd go posłał i jaki rozkaz mu dał.

— Więc w Wilnie księcia niema?! — z rozpaczą zawołał wiarus.

— A któż mówił, że jest? Księcia wysłał cesarz inną drogą, a sam poszedł inną. Pewnie jednak, poczekawszy, razem się zjedzą.

Zwiesił głowę Szczerba, przeczuł nową mi-tręgę, nowe trudy i niewygody.

Dzieci zbyt wiele nowych rzeczy miały do oglądania, aby je doznany zawód zbytecznie mógł dotknąć. Od rana do nocy bawiły ze Szczerbiną na mieście, wracając tylko na obiad i wieczerzę. Posępne miasto ożywiło się, na ulicach łuna biła od błyszczących uniformów, na placach wygrywały dziarsko kapele wojskowe.

Ale obywatele miasta chodzili zamyśleni, poważni, niczem wesołości, ani zadowolenia nie objawiając.

Tymczasem młody Szutinas, który »wszystkich znał i wszystko wiedział«, znosił do dworku wiadomości coraz ciekawsze.

Więc najpierw doniósł, że budowniczy Szulc,

który budował olbrzymią salę balową dla cesarza Aleksandra — sala zaś ta w sam dzień balu zawaliła się — utopił się w Wilii...

Następnie, że cesarz rosyjski oświadczył przez posła cesarzowi francuskiemu, iż gotów jest zawrzeć pokój, pod warunkiem, że cesarz francuski swe wojska za Niemen cofnie. Na to cesarz francuski odpowiedzieć miał rosyjskiemu, że spełni to żądanie, gdy tylko cesarz rosyjski ściśle dotrzyma warunków pokoju Tylżyckiego.

Nareszcie, że przybyła z Warszawy deputacya, która miała do Napoleona długą, pełną zapału przemowę, Napoleon zaś odpowiedział jej »ni to, ni owo«...

— Gadaj wyraźnie — domagał się stary Szutinas — co Polakom powiedział Napolion?

— Jedno z drugim nic. Same faramuszk, dyrdymałki... Naprzykład, że bardzo ich szanuje za to, iż kochają Ojczyznę... Że, będąc na ich miejscu, to samoby czuł i czynił, co oni... Że, jeśli siądzie wraz z nim na koń cała Litwa, Żmudź, ziemie: Witebska, Połocka, Mohilewska, oraz Wołyń, Podole i Ukraina, wówczas losami Rzeczypospolitej zajmie się niewątpliwie — Opatrzność...

— Opatrzność?! — wykrzyknął zniecierpliwiony wiarus. — Opatrzność i bez Napoliona potrafi zrobić, co będzie jej wola. Lepiejby po-

myślał o tem, żeby Krakowskie do ogólnego ruchu przyłączyć.

Na wzmiankę o Krakowskiem uśmiechnął się młodzieniec złośliwie.

— O Krakowskie — z naciskiem wyrzekł — niech już nikogo głowa nie boli... Bo i po co ma boleć, kiedy z tej mąki chleba wcale nie będzie.

— Jakto nie będzie? — rzucił się niespokojnie stary.

— Niechno panisko mówi wyraźniej... — nalegał Szczerba.

— Ano, powiedział cesarz wręcz, że temu interesowi raz na zawsze trzeba dać pokój!... »Z Austryakiem — powiedział — ja mam teraz przyjaźń i słowo jemu dałem cesarskie, że z jego posiadłości ani cala jednego nie uskubnę. Więc, panowie — powiedział — o tem sza! ani mru-mrul«...

Obaj starzy porwali się ze stołków.

— Więc do czegoż on zmierza? Więc na co ten cały hałas? — krzyczał stary Szutinas, stukając laską w podłogę. — Czyżby chciał skrajać Rzeczpospolitą kuso, z obciętymi połami, niby frak niemiecki? Nie dla Polaka taki strój!

Wiarus, za wąsiska się ciągnąc, powtarzał:

— Oj! święte były słowa nieboszczyka kapitana!... On nigdy Bonapartowi nie dowierzał. »Chytra to sztuka — mawiał zawsze — i niech

Polacy pilnie się strzegą, żeby ich w pole nie wywiódł«... A słyszałem, że i Naczelnik myśli o nim tak samo...

— Skądże się wzięło Napolionowi tak nie-mądrze gadać? — dopytywał Szutinas, dowlóklszy się z trudem do stołka, bo mu chora noga dokuczała.

— To nietrudno zgadnąć — objaśnił syn. — Odkąd cesarz ożenił się z córką Austryaka, dbać musi o interesy swego teścia. Tóż byłby głupi, żeby samochcąc obcinał wiano własnej żony!

Zaśmiał się przy tych słowach młody. Ale starym do śmiechu nie było. Zamilkli obaj i w posępnych pogrążyli się myślach.

— Cóż na to deputaci? — ozwał się wreszcie Szutinas, głęboko wpierw westchnąwszy.

— He, he — żartował syn, krotochwilnie wciąż nastrojony — nosiska im się na pół łokcia wyciągnęły i zwiesiły. Chodzą teraz po mieście jak czaple, albo bociany...

— A Litwa?

— Litwa z podełba patrzy i pary z gęby nie puszcza. Nasz brat węch ma dobry, zwietrzy pastkę o wiorstę. Ale bodaj, że na ostrożność już zapóźno. Tymczasem Francuzy głowami kręcą i dziwują się: »*Sapristi! Ces Lithuaniens*, to naród zimny, jak ryby. My do nich z drugiego końca Europy przybyli, a oni patrzą na nas, jak

kot na wodę. Nawet sadła nam skąpią i winem nie częstują«...

Coraz większa chmura wpełzała na pochylone czoła starców.

— Ha! — ocknął się wreszcie jeden z nich z zadumy — wszystko w mocy Boskiej. Jak Bóg postanowi, tak będzie.

— Dziej się święta Jego wola! — dokończył z westchnieniem drugi.

Szczerba zagadnął młodego:

— A cóż tam słyhać o księciu?

Tamten, zabierający się już do odejścia, odrzekł prędko:

— Ja wszystko wiem i wszystko będę wiedział. Ale nie w tej chwili. Teraz śpieszę na miasto. Za pięć, dziesięć minut...

Wybiegł, nie kończąc.

Dzieci, które z drugiego pokoju słuchały rozmowy starszych, wznowiły między sobą swój spór zwyczajny. I im Napoleon nie wydał się takim, jakim go widzieć pragnęły. Tem bardziej nie ziściła ich marzeń armia Napoleona. Oboje miny mieli kwaśne.

— Jeszcze się to wszystko odmieni! — uparcie zapewniała dziewczynka. — Po tak długiej podróży, wszyscy są zmęczeni, nie wywczasowani, trudno im zdobyć się na uprzejmość i serdeczność. Ale niechno wypoczną, zobaczysz, bracie, jak będą wołali: — *Vive la Pologne!*...

I o Krakowie wówczas nie zapomną, bo przecie wiedzą, że to serce Polski...

— Daj to, Boże!... Daj to, Boże!... — powtarzał Józio, oczy wznosząc do nieba.

— Ze wszystkiego widzę — podjęła dziewczynka — że nam znów w drogę jechać wypadnie...

— Wolałabyś zostać?

— Cóż znowu! Jak dotąd, podróż nasza jest bardzo przyjemna, ale choćby i przykra być miała, to cóż? Czyż nie jestem córką kapitana? czyż zapomniałam, że ojciec, umierając, kazał nam księcia odszukać i list swój do rąk mu oddać!...

— Obawiam się, że odtąd podróż nasza połączona będzie nie tylko z niewygoda, lecz i z niebezpieczeństwem... Wpaść możemy w odmet walki, pomiędzy kule i szable...

— Ojciec nasz nie lękał się kul i szabel, to i nam bać się ich nie przystoi!...

Józio serdecznie ucałował siostrę.

— Bądź pewna — wyrzekł z mocą, że, jeśli miałem jaką obawę, to tylko o ciebie. Ale teraz gotów jestem na wszystko i bez wahania pojedę choćby do samej Moskwy.

— Oby tylko — cichszym głosem dokończyła Józia — przestała mię boleć głowa... Od wczoraj bardzo mi ten ból dokucza i nawet w nocy mało spać mogłam...

— Mówiłaś o tem mamie Kundzi?

— Nie, bo myślę, że to przejdzie, więc pocóż ją miałam przestraszać. Mogłaby uroić sobie, że naprawdę chora i wyjazd nasz powstrzymać. A mnie tak pilno do księcia, do naszego ukochanego księcia Józefa!...

Przeczcucia dzieci sprawdziły się. Tego dnia jeszcze młody Szutinas przyniósł wiadomość, że Napoleon ze swą armią wyrusza niebawem do Mohilewa, a stamtąd pod Smoleńsk, pod Smoleńskiem zaś połączyć się ma z korpusem, dowodzonym przez księcia Poniatowskiego.

Po otrzymaniu tej wiadomości, Szczerba udał się zaraz na przedmieście, aby przygotować arkę do drogi, nająć woźnicę i powiększyć zapasy podróże.

Od starego Litwina, dozoruującego brykę, z przerażeniem dowiedział się, że maruderzy skradli jednego konia i część zapasów, oraz silnie uszkodzili arkę, przebijając jej pudło szablami...

— Pogański to jakiś naród! — użalał się Litwin. — Przyjaciółmi naszymi nazywają się, a postępują, jak z wrogami. Obdarzałem ich, czem mogłem: słoniną, wódką, tabaką, im wszystkiego za mało. Niedowiarki! farmazoni przeklęte! Najlepszego psa mi struli, żeby ich szczekaniem nie spłoszył!...

Bardzo się zmartwił Szczerba nową mitręgą,

której usunięcie dwóch dni co najmniej wymagało. Obawiał się, czy zdąży — jak sobie obiecywał — wyruszyć w drogę w aryergardzie wielkiej armii. Kupować musiał konia, naprawiać brykę, szukać woźnicy, wreszcie, co było wówczas najtrudniejsze, w furaż się zaopatrywać.

Ciężko zafrasowany wrócił, postępując, do miasta, tam zaś czekała go nowa, przykrzejsza jeszcze nowina. Józia dostała gwałtownej gorączki; wezwany lekarz stwierdził silną febrę i na cały tydzień do łóżka położyć się jej kazał.

Dziewczynka napierała się gwałtem jechać, kazała ubierać się, konie zaprzęgać i pędzić, pędzić, pędzić... Wzmogło to gorączkę i po paroksyzmie silnego ziębienia spowodowało malignę.

Szczerbina z wysiłkiem powstrzymywać musiała chorą od wyskoczenia z łóżka. Gdy Józio najczulszemi słowy uspokajać ją chciał, nie rozumiała go, może nawet nie słyszała.

Dziewczynce roilo się, że w całym pędzie galopujących koni ugania się za jakimś cieniem, ów zaś cień w żaden sposób pochwycić się nie daje. Niezmiernie ją to męczyło; policzki miała pałające, czoło jak rozpalone żelazo...

Józio i Szczerbina na chwilę jej nie odstępowali. Dotrzymywał im towarzystwa Wierny, który w postawie Sfinksa ułożył się na podłodze blisko drzwi i swych błyszczących, mądrych oczu na chwilę z chorej nie spuszczał.

Szczerba to chodził markotny po mieście, to ze starym Szutinasem *de publicis* gawędził, to jego żonie o księciu-wodzu opowiadał. Najczęściej wszakże jego zajęciem było: wystawać pod drzwiami od pokoju chorej i dowiadywać się o jej zdrowie.

W tem nowem, ciężkiem zmartwieniu zapomniał nawet o głównym celu wyprawy. Chwilami przerażała go myśl nagła, że z każdym dniem zwiększa się przestrzeń, dzieląca go od wielkiej armii i księcia Józefa, i że Bogu tylko wiadomo, czy tego ostatniego doścignąć potrafi...

Tak upłynął tydzień.

Po tygodniu, zgodnie z orzeczeniem lekarza, choroba przesiliła się i niebezpieczeństwo minęło. Ale po ustąpieniu gorączki chora tem słabszą się czuła i wszystko wskazywało, że poprzednie siły nieprędko odzyska.

O przedsięwzięciu dalszej podróży mowy być nie mogło. A Józia napierała się koniecznie jechać. Napróżno dwóch lekarzy, oboje Szczerbowie, Szutinas i Szutinasowa tłumaczyli, że mogłaby to śmiercią przypłacić; dziewczynka powtarzała wciąż swoje:

— Nie obawiam się niczego... Jestem córka żołnierza. Do księcia mi pilno. Dopóki księcia nie odszukam, zdrowa nie będę!

Musiano uciec się do fortelu i mówić jej, że arka popsuta, a na naprawę długo czekać trzeba.

Stara Szutinasowa doradzała, żeby Józsi wogóle nie narażać na niebezpieczeństwa dalszej podróży. Ona jednak, dowiedziawszy się o tem, wpadła w gniew i rozpacz.

— Jeśli nie weźmiecie mnie ze sobą — mówiła z błyszczącymi od łez oczami — pieszko, o żebranym chlebie, za wami polecę!...

Dopiero w dziesięć dni później, a w trzy tygodnie po przybyciu do Wilna, mógł Szczerba usadzić swą drużynę w arce i drogą na Oszmianę, Mińsk, Mohilew, wyruszyć do Smoleńska.

Konia zapaśnego, po namyśle, nie kupował. Powiedziano mu, że w potrzebie znajdzie tego towaru wszędzie podostatkiem i to — darmo. Trudniej było w tej porze o żywność dla koni, niż o same konie.

XIX.

Już to nie była ta przyjemna, urozmaiceń pełna podróż, co poprzednia. Dobry humor i rezolucyjność nie opuszczały jednej Szczerbiny. Szczerba bywał często posepny; Józia, osłabiona chorobą, mniej niż zwykle okazywała żywości, a brat, o siostrę niespokojny, również spoważniał. Nawet w usposobieniu Wiernego zaszła odmiana: hałaśliwy dawniej pies prawie zupełnie przestał szczekać.

Skończył się już lipiec. Choć za dnia słońce mocno piekło, wieczory i noce bywały chłodne. A chłód tem bardziej dokuczał, że noclegi odbywać musiano w czystem polu, niekiedy w lesie, gdyż wsie, spalone i bezludne, nie dawały schronienia, a i w miastach, rzadko spotykanych, nie było o nie łatwo. Zwykle Szczerba rozkładał na ziemi, tuż przy bryce, rodzaj namiotu, który służył za sypialnię jemu i jego żonie, dzieci zaś spały wewnątrz arki, starannie okryte ciepłymi

wojłokami, których znaczny zapas wzięto na drogę.

Przez kilka pierwszych nocy bardzo mało spano, gdyż ponure wycia wilków, rozlegające się po całej okolicy, przejmując zgrozą i strachem, sen z oczu płoszyły.

A i w dzień nie było lepiej...

Niemal co krok spotykano liczne trupy końskie, które nie tylko zapełniały rowy przydrożne, lecz i na środku gościńca leżały. Wiele koni było zmiażdżonych, często na dwie i trzy części rozszarpanych. Pogruhotane kości, wiszące strzępami mięso wskazywały, że po nich przeszły koła ciężkich wozów. Wistocie po tych cieleśkach okrwawionych przetaczano całe parki artyleryi...

Ile razy arka podjeżdżała do takich odkrytych, końskich cmentarzysk, zrywały się z nich stada wron i kruków; niekiedy z przeraźliwym wyciem uciekały spłoszone psy i dzikie zwierzęta...

Widok był straszny, zwłaszcza dla dziecięcych, nie przywykłych doń oczu. Szczerbowie, o ile mogli, zakrywali tę ohydę przed wzrokiem Józi i jej brata. W tym celu płóciennego nakrycia arki prawie wcale nie zesuвано. Ale młodzieńcze, wszystkiego ciekawe oczy dojrzały i przez szparę ów obraz żałobny.

— Czy bardzo cię to przeraża? — dopytywał chłopiec siostry.

— Nie... — zapewniała dziewczynka, siląc się na ton stanowczy, choć jej wargi lekko drżały. — Tyle się już takich widoków napa-trzyłam... na obrazkach! Pamiętasz, Józiu, land-szafty wojenne, których tak wiele w tatusia po-koju wisiało? Na każdym znajdowały się konie zabite...

Dzieci, które ożywiał duch ojca, dzielnego towarzysza Kościuszki, starały się przewyciężyć wstydzące uczucie strachu i wstrętu, i — osią-gnęły, co zamierzały. Po kilku dniach sama Jó-zia zażądała odsłonięcia bryki, i odtąd dzieci, jadąc, rozglądały się swobodnie dokoła.

Kilkakrotnie spotykano i żywe konie, które armia pozostawiła na drodze, nie mając ich czem wyżywić. Błąkały się biedne koniska po polu, wychudłe, napół zdziczałe, ze zwieszonymi łbami, ze smutnym, jakby skarżącym się, wzrokiem...

Szczerba, któremu bardzo zależało na pośpie-chu, wybrał z pośród tych końskich podrzutków dwie, co najlepsze sztuki i do arki przyprzągł. Wiedział, że i jemu, prędzej lub później, rozstać się z nimi wypadnie.

— Aby do Mohilewa!... — pocieszał siebie i towarzyszków. — Aby do Smoleńska!...

Na chwilę nie wątpił, że w Smoleńsku księcia dopędzi i że tam już ich bieda kres będzie miała.

Ponieważ huragan wojenny, którego śladami jechali, już daleko od tych miejsc odleciał, więc, prócz pustki i ruiny, nic im groźnego w drogę nie wchodziło. Jednak kilkakrotnie dostrzegali ze strachem niezmiernym przemykających się w oddaleniu kozaków. Zjawiali się oni i niknęli, raz wszakże lotny ich oddziałek przygalopował do arki i, otoczywszy ją, stanąć kazał woźnicy.

Nie było napastników więcej, niż pięciu lub sześciu, ale podróżnym byłoby trudno i tej garstce stawić opór skuteczny.

Szczerba z niepokojem spojrzał na dzieci, lękając się wrażenia, jakie ten napad na nich wywrze.

Niepokój ustąpił miejsca — zdumieniu.

I chłopiec, i dziewczynka siedzieli spokojnie, z błyszczącymi zapalem oczami, z brwią surowo ściągniętą. W dłoni każdego z nich błyszczała lufa pistoletu. Byli gotowi do strzału, do obrony, a zawzięty, wcale już nie dziecinny wyraz ich twarzy wskazywał, że są przygotowani drogo sprzedać swe życie.

Wiarus uczuł gwałtowną chęć ucałowania obojga, lecz nie było na to czasu. Szepnął więc tylko, żeby nie lękali się, a broń mieli ukrytą.

Tymczasem jeden z kozaków zwrócił się do woźnicy:

— Ty chrancuz?

— Niet — zaprzeczył tamten — ja biełarus.

— A chrancuzow lubisz?

Woźnica, nie w ciemię bity, splunął z udanem obrzydzeniem.

— Traścia na nich! — po swojemu zaklął. Dobrze to podziało na Kozaka.

— Dokąd jedziesz? — spytał jeszcze.

— A ot! — machnął tamten biczyskiem w kierunku najbliższej wioski.

Kozak zwrócił się do budy, którą zakrywało nasunięte płótno.

— A tam kto? — tonem większym już zapytał. Białorus lekceważąco wzruszył ramionami.

— Eh, nikt ważny! Staryki da dzieci.

Kozak uchylił zasłony i na wstępie spotkał się z wyciągniętą doń ręką, w której tkwiła — pękata butelka.

— Pan Kozak pozwoli wodki? — zapraszała Szczerbina z najmiłszym ze swych wiwandyerskich uśmiechów.

— Mogę. Dawaj!

Butelka zniknęła w kieszeni szerokich szara-warów.

— Na pohybel Francuzom! — dodała pani Marcinowa.

Kozak głową skinął.

— A tiutiun masz?

W odpowiedzi Szczerba ofiarował mu woreczek tytuniu i rubla srebrnego.

— Wy dobrzy ludzie, znaczy — uśmiechnął się kozak. — Tak jedźcie z Bohom.

Nie trzeba im było tego powtarzać. Ruszyli zaraz z kopyta, aż ziemia pod kołami zadudniała. Dopiero, gdy ich od napastników duża przestrzeń oddaliła, dziewczynkę opuściły siły, i płaczem wybuchnęła.

— To nic... — mówiła, łzy ocierając. — To tylko tak pierwszy raz. A przy drugim spotkaniu... oni będą płakali...

.

Tymczasem pod Smoleńskiem i w samym Smoleńsku szerokimi strumieniami płynęła krew rosyjska, a jednocześnie: francuska i polska.

Armią oblężniczą dowodził sam cesarz. Przy cesarzu skupili się najpiersi wodzowie francuscy: Ney, Davoust, Berthier i inni. Był też Murat, rozmiłowany w pozach teatralnych, odziany w długi płaszcz fantazyjny, w jedwabie i aksamity, w wysokim kołpaku, z pękiem piór strusich, przy tem wszystkiem naprawdę dzielny, odważny, ducha rycerskiego pełny. Tu wreszcie korpus księcia Poniatowskiego, po raz pierwszy od początku kampanii z gwardyą cesarską złączony, czynami bohaterskimi budził podziw i cześć u sprzymierzeńców i nieprzyjaciół. Czoło korpusu tworzyła jazda polska, strojna, pokaźna,

minami dobrymi wszystkie oczy i serca pociągająca.

Wpierw jeszcze stoczyli Francuzi zwycięską bitwę pod Mohilewem, gdzie Davoust pobił na głowę Bagrationa. I w tej bitwie szalę zwycięstwa przechylili ułani polscy, choć w niej czynnego udziału nie brali. Sama wieść o zbliżaniu się księcia Józefa rzuciła popłoch między szeregi rosyjskie.

Ale jeśli ułani zwyciężyli samą sławą imienia, to więcej jeszcze zdziałali polscy strzelcy konni, gdyż do sławy dołączyli bohaterstwo. Historia wojen XIX stulecia, która zapisała szarżę Kozietulskiego pod Sommo-Sierra, poświęcić też musi kartę Przebendowskiemu, który ze swym pierwszym pułkiem strzelców cudu waleczności dokazał. Odcięty od swoich przez całą awangardę rosyjską, potrafił przerznąć się kolejno przez dziewięć linii nieprzyjacielskich i z korpusem swym połączyć. Więcej, niż połowa jego junaków pozostała na ziemi, ale sława polskiej jazdy pod obłoki się wzbiła!

Zwycięska była bitwa pod Mohilewem, krwawa jednak i ofiarna. Wielka Armia straciła tam nie więcej, niż tysiąc żołnierzy, ale Rosyan padło przeszło pięć tysięcy. Trupy pozostawiono na pobojuwisku, gdyż obie strony śpieszyły dalej, podobne dwom sępom, dążącym wzajemnie do rozszarpania się na sztuki...

Widok zabitych, zwłaszcza po stronie rosyjskiej, straszny był i ohydny. Ciała leżały tam całkiem nagie, gdyż cofająca się armia zabierała ze sobą broń i mundury, jako rzeczy, do rządu należące, czyli »kazienne«.

Smoleńsk budził w Polakach wspomnienia chwały, ale wspomnienia smutne, gdyż ta chwała była miniona i może miniona bezpowrotnie.

Jednak myśl, że tu przed dwoma wiekami król Zygmunt III i syn jego, Władysław, potrafili przełamać zawzięty i prawdziwie bohaterski opór zamkniętych w twierdzy Rosyan, budziła w żołnierzach polskich zapał i otuchy im dodawała.

Pod murami Smoleńska doścignął wreszcie Napoleona i połączył się z głównym sztabem Wielkiej Armii książę Józef Poniatowski. Przybywał z godnością wysoką, jako głównodowodzący korpusem piątym, ale przybywał z wojskiem znacznie uszczuplonem, prawie zdziesiątkowanym...

Niedbalstwo, zarozumiałość i zupełna nieznamość rzeczy króla Hieronima, jego poprzedniego wodza, nie tylko nie pozwalały księciu odnosić zwycięstw, lecz wprost niszczyły i do zguby wiodły najlepsze jego pułki. Gdyby pozwolono księciu działać na własną rękę i według własnych planów, korpus Bagrationa byłby osaczony i zapewne wybity lub do niewoli wzięty.

Ale Hieronim pozwolił mu wymknąć się z zasadzki i sprowadził tem jak najgorsze następstwa.

Zresztą dzielnym hufcom Księstwa Warszawskiego klęskę najdotkliwszą zadały nie kule i szable nieprzyjaciół, lecz panujący w armii nieład, brak zdrowego pożywienia dla ludzi i koni, niedostatek namiotów i obuwia, wreszcie ogólne rozprężenie, powodujące liczną dezercyę.

Żołnierze, słabi fizycznie lub na duchu upadli, a także piecuchy i awanturnicy, idący na wojnę pod przymusem lub w wyłącznym celu grabieży, tłumnie opuszczali szeregi, przystając na drodze i tworząc na tyłach armii olbrzymi obóz maruderów. Te szumowiny wojenne utrudniały i do reszty zohydzały pułkom regularnym pochód przez kraj obcy, gdzie wyjątkowa ostrożność była niezbędna.

Przez maruderów wsie i osady były pustoszone, łąki wypasane, niedojrzały plon obracany na podściółkę dla ludzi i koni. Dobierali się oni nawet do furgonów wojennych, porywając, co się dało, staczając bójki zacięte ze swoimi.

Księcia Józefa gryzło to wszystko niezmiernie, gryzło tem dotkliwiej, że nie było dlań nie spodzianką. Jako wódz doświadczony i świadomszy warunków miejscowych, niż ktokolwiek inny z otoczenia cesarza, z góry przewidywał losy kampanii, źle pomyślanej, gorzej jeszcze prowadzonej.

Miał książkę w głowie plany genialne, zdolne wszystko naprawić i nadać wypadkom kierunku zgoła inny, ale tych planów dotąd uwzględniać nie chciano, słuchać ich nawet nie raczono...

Nie poddawał się jednak wielki patriota zwątpieniu: liczył jeszcze na cesarza, wierzył, że orle oko bohatera z pod Austerlitz dojrzy odrazu cel wskazany sobie i oceni wartość wiodącej do niego drogi.

Ta jedynie nadzieja krzepiła księcia. Żył też samą tylko nadzieją, bo rzeczywistość przynosiła tylko ból, rozpacz i rozczarowanie...

Jakby niedość jeszcze było głodu, niewygody, wstydzających prawdziwego żołnierza bójek z kozactwem oraz nieustannych, różnorodnych podrażnień i irytacji, wybuchła wśród pułków polskich epidemia szkorbutu. Junacy, marzący o bohaterskich bojach w otwartym polu, ginęli marną, wszelkiej poezji pozbawioną śmiercią na barłogu, w skleconych byle jak budach lazaretowych. Pomoc lekarska była licha i niewystarczająca, brakło lekarstw i środków opatrunkowych.

Księżciu serce się ścisnęło, z wysiłkiem bronił się rozpacz...

Ale na zewnątrz ten bohater, z duszą ze spiżu odlaną, nękających go uczuć niczem nie ujawniał. Był zawsze ten sam: zuchowaty, wyprostowany, z podkreśnionym wąsikiem, z przyczesanymi gładko faworytami, strojny, świeży, aż rażący

wytwornością całej postaci wśród zapyłonych, źle ogolonych, niedbale odzianych towarzyszków.

Zaledwie po długim, morderczym pochodzie znalazł się książę w głównej kwaterze, natychmiast pośpieszył do cesarza. Towarzyszył mu pułkownik Fiszer, szef sztabu, oraz kilku polskich generałów.

Wieczór już zapadał; na bardzo długiej, wprost miasta wyciągniętej linii oblężniczej, zapalono ognie biwakowe. Napoleon od kilku godzin objeżdżał pozycje, wydając polecenia, badając miejscowość, na wszystkie strony adjutantów rozsyłając.

Rosyanie, którzy w pierwszej chwili przyjęli nadciągającą armię gęstym ogniem armatnim i karabinowym, teraz umilkli i przyczaili się. Ponuro wyglądały ciężkie i bezludne z pozoru mury twierdzy, wykreślające się czarno na zorzy zachodniej. Było coś złowrogiego w tej ich czarności i w tem milczeniu...

Napoleon, z konia zsiadłszy, stał właśnie przy jednym z biwaków, rzucając polecenia impetycznie i opryskliwie, gdy nadszedł w to miejsce książę ze swym orszakiem.

Twarz cesarza, oświecona z jednej strony łuną zachodu, z drugiej płomieniem ogniska, wyglądała fantastycznie. Orli nos zdawał się dłuższym, niż zwykle, broda bardziej wystającą; oczy, rozszerzone a zapadłe, nabrały barwy zu-

pełnie czarnej, skrząc się od chwili do chwili czerwonymi płomykami. Ogólny wyraz twarzy był dziki i drapieżny.

Książę Józef znajdował się już o kilka kroków od Napoleona, a on jeszcze uwagi nań nie zwrócił. Udawał, że go nie widzi.

Dopiero, usłyszawszy głośnie pozdrowienie, raczył wzrok podnieść. Błady uśmiech przemknął po jego wargach. Ze sztuczną, wymuszoną uprzejmością powitał księcia i zaraz tonem urzędowym zapytał:

— Korpus twój, jenerale?

Książę zgiał się w pełnym uszanowania pokłonie.

— Gotowy na usługi waszej cesarskiej mości— z żołnierską służbistością odrzekł.

— Stan jego czynny? — badał dalej tamten.

Odpowiedź była cicha; książę wygłosił ją z zająknięciem.

— Pię... piętnaście tysięcy żołnierza.

Cesarza jakby coś podrzuciło.

— Ile?! — strasznym głosem wykrzyknął.

— Piętnaście tysięcy.

— A reszta?...

— Ośm tysięcy odeszło z jenerałem Dąbrowskim do Bobrujska.

— A reszta?...

Książę pochylił głowę, ramiona rozłożył, oczy

wbił w ziemię. Cała jego postać wyrażała boleść niezmierną, smutek, żal...

Cesarz również przez chwilę milczał. Ale było to milczenie działa, gotowującego się do wystrzału.

— Pułkowniku! — wrzasnął nagle, zwracając się do Fiszera. — Gdzie reszta piątego korpusu? Gdzie pułki, na które tak wiele liczyłem? Co stało się z moimi ludźmi? Gdzie się podzieli moi ludzie? Gdzieście moich ludzi zaprzepaścili?...

— Najjaśniejszy panie... — jękał pułkownik drżącym głosem, trzęsąc się ze wzruszenia.

— Żadnych wykrętów! — przerwał mu Napoleon. — Chcę wiedzieć: co się dzieje z armią Księstwa Warszawskiego! Chcę tę armię mieć przed oczami! Gdzie ona?

Fiszer bełkotał:

— Choroby, najjaśniejszy panie... Klimat zmienny... Brak dobrego pożywienia...

Napoleon wpadł we wściekłość.

— Oddajcie mi moje wojsko! — krzyczał, prawą nogą uderzając w ziemię i ciskając oczami pioruny. — Oddajcie mi mój korpus piąty! Wykrętów waszych nie słucham! Gardzę nimi!... Tak się to obchodzicie z pułkami Wielkiej Armii, panie pułkowniku! panie jenerale!... Gdzież wasze ładne słówka? Gdzie wierność, zaprzysiężona cesarzowi?... Ha! Znam was, Polaczki! Wyście zuchy tylko do romansów!...

Fiszer nie miał już siły odpowiadać. Wzruszenie jego było tak wielkie, że słał się na nogach, blizki zemdlenia.

A i z księciem, nieopodal stojącym, działy się dziwne rzeczy. Z zaciętymi ustami, z twarzą trupio-błądą, nie poruszał się prawie, jak w ziemię wrosły, jak skamieniały. I tylko prawa jego ręka wykonywała ruchy nerwowe w kierunku zdobiących pierś oznak jeneralskich, z widoczną chęcią zerwania ich i — ciśnięcia pod stopy Napoleona...

Na szczęście cesarz wyrzucił już z piersi cały ładunek gniewu, który tał się tam od wielu godzin, może od wielu dni i tygodni.

Ukończone już były przygotowania do szturmu, który nastąpić miał nazajutrz o świcie. Cesarz skierował się ku głównej kwaterze, polskim dostojnikom ledwie głową skinąwszy.

Księżę długo stał w miejscu, jak nieprzytomny. Napół obłąkanym wzrokiem wodził dokoła, coś niezrozumiałego mówiąc do siebie.

Gdy Fiszer przystąpił doń i za rękę go ujął, on tego zdawał się nie widzieć i nie czuć. Wciąż tylko powtarzał jedno:

— Dymisya — śmierć... Śmierć — dymisya...

Długa upłynęła chwila, zanim wreszcie dał się przyjacielowi pod ramię ująć i na spoczynek odprowadzić.

Wątpliwe jest wszakże, czy tej nocy choć na

chwilę oczy zmrużył. W jego sercu toczyła się straszna walka pomiędzy dumą osobistą a poczuciem obowiązku. Zwyciężył obowiązek, zwłaszcza, gdy mu przyszła w pomoc miłość Ojczyzny i gotowość poniesienia największych dla niej ofiar.

Jeszcze było szaro, gdy otrąbiono w obozie pobudkę i oddziały, do szturmów przeznaczone, stanęły w pogotowiu. Korpus piąty, bardzo uszczuplony, ale silnie zwarty i dziarsko wyglądający, najwcześniej wystąpił, sformował się i na czoło armii oblężniczej wysunął.

Książę ukazał się strojny, jak na bal albo paradę wojskową, z oczyma błyszczącymi, z uśmiechem na pięknych, koralowych ustach. Dosiadł wspaniałego wierzchowca, którego sierść w słońcu porannem mieniła się, jak atlas, po szeregach powiódł miłosnem i zachęcającem spojrzeniem, które mówiło:

— Dziś nasz dzień, rodacy! Pokażmy światu, do czego Polak zdolny!

Oczy podwładnych odpowiedziały:

— Nie zawiedziesz się na nas, ukochany nasz wodzu!

Na poblizkiem wzgórzu wyrósł, jak z pod ziemi, cesarz. Na białym siedział koniu, w popielatym, rozpiętym surducie. I on wyglądał świątecznie. Blade zwykle jego policzki płonęły rumieńcem, oczy ciskały błyskawice. Drobną postać

wyolbrzymiała; zdawał się wyższym od swych najwyższych generałów.

Taki bywał zawsze w dniach walki. I on szedł do boju, jak na tańce.

Spojrzenia, jakie cesarz rzucał na korpus piąty, wyraźną okazywały niechęć. Było to w części skutkiem intryg, które w głównej kwartery knuli niechętni Poniatowskiemu; przyczyna jednak zasadnicza tkwiła znacznie głębiej. Napoleon widział, że jego plany krzyżowane są wciąż przez nieobjęte rachunkiem wypadki, drażniło go to, odbierało pewność siebie, truło...

Tłumionemu gniewowi musiał dać ujście, wierając go na kimś z otoczenia. Swoich oszczędzał i bał się, sprzymierzeńców nie chciał zniechęcać — najdogodniejszą ofiarą wydali mu się Polacy. Wmówił w nich przecie, że jego sprawa jest ich sprawą; mógł być mieć pewność, że go w żadnym wypadku nie odstąpią.

Rozdrażnienie silnych najdotkliwiej odczuwają najsłabsi!

Na szczęście, niedostępny był rozdrażnieniu spiżowy charakter księcia. Osobiste zawody i upokorzenia zawsze był gotów składać na ołtarzu dobra publicznego; najwyższem zaś dla niego dobrem było dobro Ojczyzny.

W tej chwili książę jedno tylko widział przed sobą: twierdzę nieprzyjacielską, którą za wszelką cenę zdobyć należy.

Nie było to zadanie łatwe. Z jednej strony Dniepr, z innych głębokie fosy, wodą napelnione, potężnie broniły przystępu. A ze starych baszt i z nowych a krzepkich murów i wałów gęsto rozmieszczone działa piekielnym ogniem bez przerwy zionęły.

Francuzi i Niemcy uważali Smoleńsk za niezdobyty; jednym Polakom, własnych dziejów świadomym, sprawa przedstawiała się inaczej. Z męstwem bezgranicznem i z gotowością na śmierć, lecz zarazem i z wiarą w zwycięstwo, odważnie szli do szturmu.

Nikt tak się nie narażał i nikt takich cudów nie dokazywał, jak oni. A szturm, wcześniej zaczęty, nie wcześniej miał się skończyć.

Minął świeży ranek i upalne południe; słońce, obłokiem dymów przesłonię, skłaniać się już ku zachodowi zaczęło, a bój zażarty na chwilę nie ustawał.

Od grzmotu wystrzałów ziemia drżała, mury trzęsły się i kruszyły, drewniane budynki padały na ziemię. Wszystkie drogi, do miasta wiodące, wszystkie wzgórza i fosy pełne były trupów. Potępieńczy chór jęków rozdzierał powietrze, zagłuszając chwilami nawet wściekłe ryki armat.

Kolumny, idące do szturmu, przerzedzały się, topniały, niknęły. Piechota polska, choć dziesiątkowana i na ogień morderczy najbardziej wy-

stawiona, darła się wciąż naprzód. Zdobywała ona pozycje najniebezpieczniejsze.

Książę, pod którym już kilka koni padło od kuli lub ze znużenia, słowem gorącym i własnym przykładem zachęcał rodaków do walki. Wspierały go w tym podnieceniu, które piękną, wyrazistą jego twarz jeszcze piękniejszą i wyrazistszą czyniło. Narażał się tak bardzo, iż cudem prawie nazwać to można, że go która z kul, chmurami dokoła niego przelatujących, trupem nie położyła.

W chwili, gdy cienie zapadającej nocy w czarny całun spowijać zaczęły oblężonych i oblegających, nagle łuna ognista morzem krwi rozlała się po ziemi i niebie.

Płonął Smoleńsk.

Kule działowe, z blizkiej już odległości do miasta wpadające, wznieciły pożar w kilku odrazu punktach. Płomienie szerzyły się gwałtownie. Z obozu dostrzegano co chwila walące się w gruz wieże kościołów i gmachów publicznych. Częste wybuchy, których huk rozchodził się na kilka wiorst dokoła, były znakiem wylatujących w powietrze prochów i amunicji.

Sądzone powszechnie, że to już koniec oblężenia. Cesarz rozkazał przypuścić ogólny atak i wtargnąć do miasta. Więc z krzykiem przerażliwym rzuciły się liczne pułki na mosty, reduty, okopy i mury.

Rzuciły się i — w miejscu stanęły. Nieprzyjaciel jeszcze nie dawał za wygraną, jeszcze bronił się, rozpaczliwie a zawzięcie.

Czerwony odbłask łuny rozwidniał miejsce walki, ukazując, jak na dłoni, pozycye szturmujących. A że zbliżyli się oni pod samo miasto, każdy strzał obłężeńców cel swój osiągał, każdy był trafny i śmiertelny.

Nowe stosy trupów spiętrzyły się dokoła twierdzy.

Powtarzała się historia z przed dwóch stuleci, gdy najszaleńsze wysiłki wojsk polskolitewskich rozbijały się o niezłomną zawziętość Szehina, jak fale o skałę.

Ale, jak wówczas, tak i teraz, Polakom sądzone było tę skałę skruszyć.

Już cesarz, z wyniosłego wzgórza przyglądający się zapasom, zżymać się zaczął i w furję włoską wpadać; już najzasłużeńsi generałowie wysłuchiwać musieli jego gwałtownych wymówek i łajań; już adjutanci, zupełnie z sił opadli, nie byli w stanie poleceń cesarskich roznosić; już wreszcie noc ku schyłkowi się miała, a jeszcze kresu obłężenia widać nie było.

Wówczas książę Józef, orlem spojrzeniem pole działań ogarnąwszy, po raz ostatni poprowadził Polaków do szturmu.

Zajadłość, z jaką zuchy nadwiślańskie z nastawionymi bagnetami rzucili się na mury, z ni-

czem porównać się nie da, chyba tylko z szarżą polskiej jazdy pod Sommo-Sierra.

Przed takim natarciem piekło samo ustąpićby musiało...

W mgnieniu oka mały otwór w murze stał się wyłomem; mrowie polskich piechurów wierzchem muru i wyłomem wdarło się do środka; ogłuszający okrzyk zwycięstwa rozdarł powietrze i na jednym z bastyonów zabłysnął sztandar francuski.

Smoleńsk był wzięty.

.

Spodziewano się jeńców, ale jeńców nie było. Spodziewano się, że liczna załoga dostanie się do niewoli, a przedstawiciele miasta z kluczami na srebrnej tacy naprzeciw Napoleona wyjdą, ale załoga bez śladu zniknęła, a mieszkańcy, w kościołach pozamykani, błagali Boga tylko o śmierć dla siebie, o pomstę na nieprzyjacielu.

Miasto przedstawiało widok okropny, krew w żyłach mrożący. W połowie było pogorzeli-skim, w połowie cmentarzem.

Trupy pokotem leżały na ulicach, pozgar-niane miejscami w sterty, jak kłody drzewa. Cała załoga, jeszcze przed wtargnięciem polskiej piechoty, pośpiesznie miasto opuściła.

Gdy osiągnięto wreszcie cel zamierzony, kor-pus księcia Józefa i cała armia oblężnicza uległy

nagle potężze silniejszego od Rosyan przeciwnika... Powaliło je na ziemię nadzwyczajne, do bezwładu dochodzące znużenie, które szalony wysilek nerwów niemal przez całą dobę sztucznie przezwyciężał.

I oddzielni żołnierze i całe kolumny wojska padały, gdzie kto mógł, z tornistrem, lub choćby kamieniem pod głową, broni z rąk nie wypuszczając.

Wschodzące słońce oświeciło tłumy leżących pod domami, lub wprost na bruku, bezwładnych postaci, wśród których trudno było rozróżnić żywych od zabitych.

Książę, dopadłszy pierwszego lepszego, napół zwęglonego domostwa, a w nim tapczana prostego, rzucił się nań w ubraniu i zasnął snem kamiennym.

Słońce stało już wysoko, gdy ozwały się trąbki, zwołujące wojsko na plac obszerny, przed oblicze cesarza. Wszyscy błyskawicznie na nogi się zerwali, szybko na sobie poprawili odzież, opatrzyli broń i w zwartych szeregach, pod wodzą oficerów, na punkt wskazany pośpieszyli.

Tam dopiero ukazały się w pełni szczyby, sprawione przez walkę. Najwięcej strat poniósł korpus piąty, zwłaszcza pułki Księstwa Warszawskiego, one bowiem najbardziej się narażały

i im też przypadła w udziale chwała ostatecznego tryumfu.

Umiał Napoleon oceniać i wynagradzać bohaterstwo. Najlaskawiej i z największym uznaniem przemawiał do Polaków, im też rozdał największą ilość krzyżów i oznak honorowych. Prawie wszyscy oficerowie zostali posunięci na wyższe stopnie. Otrzymał też rangę oficerską prosty sierżant, nazwiskiem Klusek, pocziwina, który czytać, ani pisać nie umiał i w obozie ciesielką się trudnił, miał jednak za sobą dwadzieścia lat służby wojskowej i trzy zaszczytne naszywki na mundurze.

— To nic, że niepiśmienny — odrzekł cesarz na uczynioną sobie uwagę — ale przy szturmie Saragossy z pewnością nie był ostatni. Wielkiej Armii nie uczonych trzeba, lecz bohaterów!

Księżę otrzymał od cesarza najgorętsze zapewnienia wdzięczności i przyjaźni. Zbratał się z nim Napoleon i spoufalił; ujawszy go pod ramię, przechadzał się z nim przed frontem armii, okazując publicznie miłość i szacunek.

— Cesarz dziś obchodzi dzień pokuty... — szeptali między sobą oficerowie.

Inni wyrażali się po prostu:

— Przyszła koza do woza...

Księżę, baczniejszy zawsze na sprawy publiczne, niż osobiste, postanowił skorzystać z do-

brego usposobienia Napoleona. Po skończonym przeglądzie, wzięwszy do pomocy generała Davoust, udał się do namiotu cesarskiego. Tam, w słowach oględnych, lecz stanowczych, wznowił dawną myśl obrócenia pochodów na Kijów, na Wołyń, Podole, Ukrainę.

— Najjaśniejszy panie — mówił — mój korpus, do Wielkiej Armii przyłączony, nie oddaje twej sprawie takich usług, jakie oddaćby mógł, przeniesiony gdzieindziej...

— A więc? — rzucił niecierpliwie cesarz, którego czoło, dotąd pogodne, skaziła nagle prostopadła brwi ściągniętych zmarszczka.

— Więc pragnieniem jest mojem poprowadzić ten korpus na południe i zaatakować nieprzyjaciela od jego strony najsłabszej.

Zniecierpliwienie cesarza wzrosło.

— Już raz ten plan odrzuciłem — oschle wyrzekł. — Nie widzę potrzeby wracać do niego.

Książę zaczął argumentować. Mówił, że na południu zawiązał już stosunki, że jest pewny czynnego współudziału całej tamtejszej ludności, że atak z tamtej strony przerazi Rosyan i szyki im popsuje, że armia rosyjska, na dwa fronty walczyć zmuszona, niezawodnie ulegnie i podda się. Wspomniał też i o tem, że okolica, przez którą teraz Wielka Armia przechodzi, zniszczona i wyjałowiona, nie jest w stanie ani wyżywić jej, ani nawet od słoty i zimna zabezpieczyć.

Tymczasem na południu wszystkiego jest w bród; nagromadzone tam zapasy na rok cały wystarczą.

Argumenty były silne, logiczne, przekonujące. Ale cesarza, gdy się zaciął, nic nie było w stanie przeprzeć. Zresztą miał on swoje racje, których głośno wyjawiać wzdragał się: wyprawa na południe mogła stać się niebezpieczną dla krajów cesarza austriackiego, ojca jego żony, dziadka jego syna...

Więc wezbrany potok argumentów, które jego wątle rozumowania wywracały, zatamował nagle jednym, prawdziwie imperyalistycznym zdaniem:

— Moje plany są inne, nie mam zaś zwyczaju od swoich planów odstępować!

Księżę był blizki rozpacz. Jego bystry umysł, wybiegając w przyszłość i uprzedzając wypadki, widział już straszne skutki uporu cesarza.

Przejęty wzruszeniem, któremu rzadko opanowywać się dawał, do prośby się zniżył i, przyklękając na jedno kolano przed Napoleonem, ze łzami prawie wyjęczał:

— Najjaśniejszy panie, błagam cię... wysłuchaj! Wszystko od tego zawisło: losy wojny, całość armii, przyszłość twoja i świata!

Cesarz rzucił się, jak wściekły.

— Dość! — piorunującym głosem krzyknął. — Ani słowa więcej! A gdybyś ośmielił się wbrew

mojej woli mówić lub działać, zaaresztować cię
każę, pod sąd wojenny oddam!

Odwrócił się, zamykając posłuchanie.

Księżę odszedł do swego namiotu znękany,
opadły z sił, przygarbiony, jakby mu nagle
z pięćdziesiąt lat przybyło.

Od początku kampanii ciężkie przeżywał
chwile...

A końca ich widać nie było!

.

W kilka dni później Wielka Armia opuściła
Smoleńsk. Napoleon wiódł swe nieprzeliczone
hufce prosto już na Moskwę. Z planów swych
nie spowiadał się nikomu, widoczne jednak było,
że chce Rosyi zadać cios śmiertelny, godząc
w jej serce.

Za armią pociągnął ze swym korpusem
i księżę Józef.

Był on już o dziesiątki mil oddalony od Smo-
leńska, gdy arka z dziećmi i dwojgiem ich sta-
rych opiekunów przybliżać się dopiero do tego
miasta zaczęła.

XX.

Pomimo protestów Józia i cichej opozycji jego siostry, Szczerbina nie pozwalała teraz odślaniać bryki. Jechano stale pod rozpostartem nad arką płótnem.

Eks-wiwandyerka, gdyby była mogła, chętnieby na czas tej podróży pozbawiła dzieci wzroku, albo uczyniła cały świat niewidzialnym. Sama nawet, choć zgrozy wojennej świadoma i z widokiem pobojowisk otrzaskana, starała się na nic nie patrzeć, niczego nie widzieć.

To wszystko, mimo czego przejeżdżano, wydawało się wcieleniem jakiegoś gorączkowego, okropnego snu, jednego z tych snów, które pierś tłoczą, jak ciężki kamień, i od których wybawieniem jest tylko przebudzenie.

Pod płócienną budą duszno i niezdolnie było jadącym. Noce były chłodne, lecz za dnia słońce mocno grzało, a nawet w samo południe żywym ogniem paliło. Osowieli Szczerbowie, stracili humor i dzieci.

Oddawna już z ust Szczerbiny nie wybiegło jej dziarskie: »bum!«, które na dzieci oddziaływało rozweselajaco; oddawna też już w zamaszystym ruchu nie obtarła wierzchem ręki swych siwawych wąsików. Mniej, niż zwykle, gadatliwa, wpatrywała się tylko wyteżonym, niespokojnym wzrokiem to w chłopca, to w dziewczynkę, dopytując często: jak się czują? czy czego nie chcą? czy ich co nie boli?... Dzieci odpowiadały uspokajajaco; Józio zdobywał się nawet na swój zwykły ton zuchowaty, siostra starała się dostrajać do brata, czuć jednak było w tem wszystkim pewną sztuczność.

Widok spotykanych często podartych i zeszpeconych ciał ludzkich oddziałalby wstrząsająco nawet na dojrzałego, z zahartowanymi nerwami mężczyznę, jakże mógł nie przerazić i nie przygnębić dwojga istot, zaledwie wyrosłych z dzieciństwa!

Jakkolwiek dzieci kapitana Kalinowskiego posiadały niezwykły zasób męstwa i odporności i jakkolwiek, o ile tylko się dało, zakrywano przed ich wzrokiem ohydłą rzeczywistość, zgroza wojennych zapasów przedostała się i do ich dusz wrażliwych, napełniając je smutkiem i lękiem.

Dawniej podtrzymywał energię dzieci i uspokajajaco na nie działał stary wiarus kościuszkowski, który miał zawsze na zawołanie anegdotkę żołnierską, albo jakieś trafne przypomnienie

wojennych czynów »naczelnika« lub »pana kapitana«. Teraz i ten junak siedział najczęściej zamyślony, milczący, ciągnąc swe białe wąsiska, które już prawie półłokciowej dochodziły długości. Odnalazłby on pewnie swój zwykły animusz, gdyby mu pozwolono zapalić ulubioną fajeczkę, ale żona nawet mu o niej myśleć nie pozwalała. Dzieciom w zakrytej bryce brakło często odrobiny świeżego powietrza, jakże można było zatruwać je jeszcze ostrym, gryzącym dymem ordynarnego tytoniu!

Wierny, który dziwnie zmadrzał w czasie długiej podróży i rozlicznych przygód, zdawał się doskonale rozumieć ogólne położenie. Poczciwe psisko leżało spokojnie, wstrzymując się od głośnego szczekania, choć nastawiooe uszy i bystre, w prawo i w lewo biegające ślepie wskazywało, że pilnie czuwa nad bezpieczeństwem swych państwa.

Niekiedy z wielkiej, zamkniętej paszczy Wiernego dobywał się krótki, przytłumiony pomruk. Było to znakiem, że gdzieś w pobliżu znajduje się żywa istota. Najczęściej tą istotą był odbity od swego oddziału poszukujący łupu kozak lub też chyłkiem przez gąszcze przedzierający się dezterter.

Pies odczuwał ich obecność z wiorstowej nie-raz odległości; zjawiali się oni i niknęli, nie przybliżając się wcale do arki.

Nocami, które bywały dokuczliwie chłodne, Wierny na krok nie odstępował dzieci. Kładł się zwykle pomiędzy nimi, ogrzewając jedno i drugie swem wielkiem, kudłatem cielskiem.

Można było wreszcie mniemać, że ten mądry pies, odgadując ciężkie położenie jadących, których zapasy były już na wyczerpaniu, zdobywa się na pewnego rodzaju delikatność i rozmyślnie apetyt swój poskramia. Jadał teraz mało, o pożywienie nigdy się nie upominał, obficie za to pijał ze wszystkich przydrożnych strumieni i rowów.

Pod jednym tylko względem nie był w stanie poskromić swej psiej, bardzo wrażliwej i współczującej natury. Nocami, gdy dokoła, na mилоwej może przestrzeni, rozlegał się przeraźliwy chór wycia i psich lamentów, i on też swój głos do głosu współbraci dołączał.

Straszna to była muzyka, i dzieciom przez czas długi sypiać nie dawała. Ale potem i do niej przywykać zaczęły.

— Cierpliwości, moi państwo... — uspokajał towarzyszków Szczerba, dorwawszy się do swej fajeczki, która mu rezon i wymowę wracała. — Byle tylko dociągnąć do Smoleńska, to już się tam wszystkie nasze biedy skończą. Miasto duże, »gubernskie«, jak oni tu mówią — da Bóg, znajdziemy tam wszystkiego dostatek. Dzieci dostaną dobrego, gorącego rosołu i pieczeni ze świeżego

mięsa, wypoczną i wyśpią się uczciwie na porządnych łózkach, pod ciepłymi pierzynami...

— Ja tam pierzyny nie chcę! Brzydzę się pierzyną! — zawołał z oburzeniem Józio. — To dobre dla Szwabów. Polski żołnierz i syn polskiego żołnierza pod pierzyną nie sypiają!

— I mnie pierzyna niepotrzebna! — zawtórzyła Józiovi siostra.

Szczerba wypuszczał dym nozdrzami i uśmiechał się. Jedno i drugie było dziś u niego zjawiskiem bardzo rzadkiem.

— Patrzcież, moi państwo — rzekł, za wąsy się chwytając. — Pierzyną, panie Józiu, gardzisz, więc jakżebyś ty sypiać chciał?

— Po żołniersku, panie Marcinie, po żołniersku! Na skórze łosiowej, a choćby i na gołej ziemi; zamiast poduszki, tornister lub pięść własna, do przykrycia płaszcz.

— A panna Józia? — zwrócił się stary z uśmiechem do dziewczynki.

— Ja mogłabym całą noc przesiedzieć na trawie, głowę o drzewo oparłszy...

— Bum! — wykrzyknęła rozweselona tą gadaniną eks-wiwandyerka. — Zuch z mojej córeczki! Prawdziwa Kalinowska!

Szczerba, wydmuchnąwszy resztę dymu i popiół z fajki wyrzuciwszy, zamknął rzecz słowami:

— Romanse to są, moi państwo. Łatwo to prawić o gołej ziemi i twardem drzewie, ale

tylko, z przeproszeniem, głupi sypiałby w ten sposób, mogąc mieć łóżko wygodne i pościel, jak się patrzy. Nawet pies wyciągnąć się woli na miękkim, niż na twardym. Nieprawda, Wierny?

Ale Wierny, czem innem zajęty, zapytania nie słyszał. Od kilku chwil objawiał on niepokój i, raz po razu pysk na zewnątrz wysuwając, zcicha naszcze kiwał. Było to naszcze kiwanie żałośne i jakby litościwe.

Szczerba nadstawił uszu i usłyszał wkrótce jęki ludzkie, z niewyraźnemi słowami pomieszane.

Kazał woźnicy stanąć i, uchyliwszy płótna, wyjrzał.

Przy drodze siedział żołnierz francuski bez kasku, w podartym na strzępy mundurze, z twarzą wynędzniałą, prawie czarną. Na trawie obok niego leżały: broń, tornister, kask i manierka. Ruchem błagalnym wyciągał ramiona do jadących.

Gdy turkot kół ucichnął, można było słyszeć jego wołania, które Szczerbina, przy pomocy dzieci, mężowi po polsku wyłożyła.

Żołnierz wołał:

— Zatrzymajcie się, dobrzy ludzie!... Ulitujcie się nad nieszczęśliwym!... Pomóżcie!...

Szczerba, nie wątpiąc, że Francuz cierpi od głodu i pragnienia, wy dostał z podró żnej spiżarki bochenek chleba, duży kawał zimnego mięsiwa,

oraz wina butelkę, i przy pomocy żony zaniósł to wszystko jęczącemu.

Ale żołnierz przeczącym ruchem głowy dał poznać, że mu nie chodzi o jadło i napój. Pokazał w tornistrze chleb, w manierce wódkę, na dowód, że mu tych rzeczy nie trzeba, pochwycił następnie broń nabitą i Szczerbie ją podawał, dużo o czemś rozprawiając i dając znaki, których wiarus nie mógł zrozumieć.

Przywołano dzieci, i one dopiero stały się tłumaczami nieszczęsnego Francuza.

Jęcząc, wzdychając i w piersi się bijąc, opowiadał on, że był jednym z sześciu krewniaków, z jednej wioski pochodzących, którzy w jednym pułku i w jednym szwadronie służyli, poprzyśniętyszy sobie, że nigdy jeden drugiego w nieszczęściu nie opuści.

Przed kilku dniami nieopodal tego miejsca toczyła się walka zażarta. Pięciu jego towarzyszków padło na placu boju, pokłutych bagnietami, rozszarpanych przez kartacze. On sam, lekko ranny, nie mógł towarzyszom ani życia ocalić, ani cierpień umniejszyć. Wtrąciło go to w rozpacz. Śmierci szukał, aby się z braćmi połączyć choć w wieczności. Ale omijały go kule, a szable, choć raniły, śmiertelnego nie zadawały ciosu.

Po skończonej walce znaleziono go na polu bitwy, omdlałego z upływu krwi i osłabienia.

Gdy przyszedł do siebie i stan swój poznał, prze-
raziła go myśl, że ma żyć jeszcze, osierocony
przez braci. Uciekł więc w nocy, broń ze sobą
zabrawszy, chciał bowiem przy jej pomocy ra-
chunki z życiem załatwić. Ale w danej chwili
zabrakło mu odwagi, właściwie zaś wszczepione
weń w dzieciństwie zasady religijne nie pozwo-
liły mu splamić duszy grzechem samobójstwa.

Mimo to nie przestawał pragnąć śmierci
i dlatego właśnie podawał broń Szczerbie, czy-
niąc znaki, które ten ostatni dopiero teraz wła-
ściwie pojął.

Wzdrygnęła się dusza starego wiarusa na
widok tego bezmiaru ludzkiej niedoli i słabości.
Odtrącił broń ruchem pełnym zgrozy i gniewu,
lecz ze spojrzeniem, wyrażającym litość głęboką.
Zarazem wymownemi słowy przedstawiać jął
zrozpaczonemu wielką nieszlachetność i niereli-
gijność jego zamysłu. Tamten jednak gorzko się
śmiał, słuchając argumentów, które mu niezręcz-
nie na jego ojczysty język tłómaczono.

Przystąpiła wreszcie do rzucającego się Fran-
cuza Szczerbina, otarła pełne łez oczy, ucało-
wała w głowę, jak syna i, przeżegnawszy, za-
wiesiła mu na piersi krzyżyk oraz szkaplerz.

Francuz patrzył na nią długo szeroko roz-
wartemi oczami, jakby nie rozumiejąc. Ale nagle
zatrząśł się cały, twarz dłońmi zakrył i ryknął
strasznym, rozdzierającym serce płaczem. »

— Bum! — rzekła półgłosem eks-wiwandyerka, obracając się do swoich. — Będzie żył...

Zabrano wkońcu nieszczęśliwego, lecz godzącego się już z losem desperata do arki i powieziono do Smoleńska.

Obudziła się w nim teraz rzewność nadzwyczajna. Łzami się wciąż zalewał, ściskając serdecznie Szczerbine i jej męża i całując po rękach Józia i Józię. Widok dzieci, zupełnych, chwilowo nawet dachu pozbawionych, sierot, które mężnie, bez skargi, a nawet z czołem pogodnem znosiły trudy podróży, najbardziej go wzruszał. Mówił i znakami objawiał, że ich widok natchnął go męstwem i że poczytywałby za rzecz niegodną mężczyzny i żołnierza być od nich słabszym i haniebnie z życia dezertować.

XXI.

Do Smoleńska przybyli wszyscy bardzo zbie-
dzeni...

W najopłakańszym stanie znajdował się Francuz. Źle zagojona rana odnowiła się, długotrwały głód wywołał wielkie osłabienie, cierpiał strasznie, gorączkował, jęczał. Ale nawet wśród cierpień i maligny nie przestawał błogosławić Szczerbów i dzieci, oraz modlić się za poległych towarzyszków. Często powtarzał, że za przybyciem do miasta zakupi za nich mszę żałobną.

Zatrważający był też stan Józi. Jakkolwiek dziewczynka na nic się nie skarżyła, było widoczne, że cierpi, gdyż wrażenia dni ostatnich zbyt silnie organizm jej wstrząsnęły. Twarz jej pobladła, oczy były podsiniałe. Nocami czuwająca przy niej Szczerbina czuła pod dłonią, że czoło jej pała.

Oboje Szczerbowie, choć zdrowi i zahartowani, ale bardzo już starzy, odczuli wreszcie

trudy długiej, męczącej podróży. Barki ich pochylały się, policzki zapadły.

Jeden Józio trzymał się dzielnie. Ostatnie przygody rozwinęły w nim niezwykłą siłę ducha, co odbiło się nawet na jego twarzy i całej postaci. Chłopiec zmężniał i urósł, jakby mu lat kilka przybyło.

Już on mógł teraz bez odwracania oczu znosić widok pobojuwiska. Twierdził, że ciała zabitych i kalectwa ranionych już go teraz nie przerażają; boli go tylko, że im pomocy nieść nie może.

W arce radość zapanowała wielka, gdy ujrzano nareszcie szeroką wstęgę Dniepru, nad nią potężny mur obronny, a wyżej, na wzgórzu, malowniczo rozłożony Smoleńsk.

— Nareszcie, moi państwo, odpoczniemy! — westchnął z uczuciem ulgi Szczerba, pozwalając sobie na zapalenie ulubionej fajeczki.

— Bum! — wyrwało się z piersi odzyskującej wesołość Szczerbiny.

Niebawem wjechali do miasta, z tą zaś chwilą, niestety, radość ich gasnąć zaczęła, nadzieje blednąć, złudzenia rozwiewać się...

Połowa Smoleńska leżała w gruzach. Wszędzie czerniły się rozległe zgliszcza, sterczały okopcone kominy, leżały stosy opalonych belek, potłuczonego szkła, połamanych sprzętów.

Wszystko tchnęło zniszczeniem, pustką, zgrozą

Szczerbowie spojrzeli na siebie pełnemi smutku oczyma. Spojrzenia ich mówiły:

— Mieliśmy nadzieję zawinięcia do portu, ale widzimy, że to jeszcze nie koniec naszej drogi i że może jeszcze nie jedna czeka nas burza...

Pierwszą myślą Szczerbów było zajechać do szpitala i umieścić w nim chorego Francuza. Ale ten ostatni oświadczył energicznie, że przede wszystkim musi być w kościele i za dusze towarzyszków mszę zakupić.

Więc Szczerba, ujrawszy na obszernym placu wielki gmach katedralny, tam jechać kazał.

Jakież było zdziwienie wszystkich, gdy, wstąpiwszy do świątyni, ujrzeli w niej jakby olbrzymie obozowisko... I w nawie głównej i w bocznych, i po kaplicach mnóstwo ludzi, otoczonych sprzętami gospodarskimi, siedziało, leżało, krzątało się, to śpiąc, to gawędząc, to przygotowując jedzenie, to je spożywając.

Ołtarze wielkimi oponami zakryto; Przenajświętszy Sakrament z wielkiego ołtarza wyniesiono; ławki ze zwykłych miejsc usunięto, oddając je na użytek obozujących.

W Domu Bożym znaleźli schronienie bezdomni rozbitkowie, niewinne ofiary morderczej, wszechniszczącej walki oblężniczej.

Płacz dzieci, jęki chorych, głośnie biadania kobiet i ponure modły mężczyzn stapiały się w chór, przerażający smutkiem i zgrozą. Księża

z kościoła ustąpili, nie odprawiało się w nim nabożeństwo, jednak ów chór potężny, wznoszący się pod wyniosłe sklepienie, przebijać się je здаwał i płynąć prosto do Boga...

Ponieważ rana Francuza krwią broczyć zaczęła, więc zaniesiono go z powrotem na brykę i zawieziono jak najśpieszniej do szpitala. Pożegnał się on tam serdecznie ze wszystkimi. Przysięgał, że do śmierci nie zapomni przysługi, jaką mu oddali, ocalając mu życie, a co ważniejsze: nawracając do Boga i religii.

Opuszczając szpital, Szczerba wyminął się z jakąś damą, która na jego widok zatrzymała się, bystro się weń wpatrując. Dama była młoda, ciemno, choć wykwintnie ubrana; szlachetna jej twarz wyrażała smutek i cierpienie. Jakkolwiek takie twarze spotykał teraz Szczerba na każdym kroku, ta zwróciła na siebie jego uwagę, wydało mu się bowiem, że już ją kiedyś oglądał.

Prawie mimowoli przyłożył palce do czapki i pozdrowił nieznajomą po wojskowemu.

— Gdzie są dzieci? — spytała ona prędko po francusku, przystępując do wiarusa.

A widząc, że on zapytania nie rozumie, powtórzyła je łamaną ruszczyzną.

Dopiero teraz poznał wiarus zacząć pułkownikową, która przed kilku tygodniami wraz z mężem swym zajęła się tak pocziwie całą jego drużyną w miasteczku pogranicznym.

Ucałował z rozrzewnieniem jej ręce i, poprosiwszy na migi, żeby zaczekała, skoczył żwawo po dzieci i żonę.

Dopieroż zaczęła się rozmowa, polskimi i rosyjskimi słowami przeplatana, pełna westchnień, okrzyków i łez nawet, ukradkiem ocieranych. Zaczyna pułkownikowa na głos się rozplakała, ścisnąc Józia i Józję, którzy przypominali jej tak żywo pozostawione w Paryżu dzieci.

Wśród łez opowiedziała o swem wielkiem nieszczęściu: mąż jej został ciężko raniony przy obleganiu Smoleńska i leży w szpitalu, walcząc ze śmiercią. Do niego właśnie idzie, niosąc mu kwiaty, wino stare i rzecz od wszystkiego drogo-cenniejszą: list od dzieci, donoszący o zupełnem ich zdrowiu.

Dobre, miłosierne serce kazało jej wreszcie zapomnieć o troskach osobistych i zająć się cudzemi.

— A wy? Cóż z wami się dzieje?... — troskliwie dopytywała. — Gdzie mieszkacie? Czy macie już kwaterę? Bo jeśli nie, to wezmę was do siebie. Mam do rozporządzenia pałac, w którym dziesięć nawet rodzin swobodnie pomieściłby się mogło...

Ucieszyła się, gdy jej powiedziano, że Szczerba udać się dopiero zamierza na poszukiwanie mieszkania.

— Ach! jak to dobrze! — zawołała uszczęśliwiona.

— Zaraz was ze sobą zabiorę. Poczekaście tu trochę. Za chwilę powrócę i pojedziemy wszyscy do mego pałacu. W towarzystwie tych miłych dzieci nie będę przynajmniej czuła się tak samotną, może nawet kiedy rozweselić się i uśmiechnąć potrafię. Oby tylko mężowi memu było lepiej!... — z westchnieniem dodała, i znów łza zabłysnęła w jej oku.

W godzinę później dzieci biegały już po pięknym parku pałacowym, który kule oblegających i płomienie pożaru cudem prawie oszczędziły. Stało się to zapewne dzięki temu, że pałac leżał już poza miastem, w okolicy niemal wiejskiej.

Zresztą, czego nie zdziałały kule, dokonała jesień, wcześniejsza tu, niż w stronach bardziej południowych. Wielkie drzewa parkowe były już w połowie огоłocone z liści, na klombach kwitły astry i georginie, gdzieś tylko bladym rumieńcem płonęła późna jesienna różyczka.

Zresztą było tu rozkosznie, poetycznie, sielankowo. Dzieciom zdawało się, że dostały się do raju. Pełne zgrozy widoki, które oglądały tak niedawno jeszcze, zapadły w przepaść, rozwiały się w mgłę... Józie brała co chwila chęć zapytać brata:

— To był sen tylko, nieprawda?

Tęż samą chęć miewał i Józio.

Pułkownikowa, która ofiarowała dzieciom wiązanki kwiatów, zastawiła przed nimi koszyki, pełne wonnych malin, smacznych gruszek, nabrzmiałych słodkim sokiem winogron, jakby myśli ich odgadując, rzekła:

— W tem zaciszu zapomina się o wszystkim złem, brzydkim i boleśnem. Zapomina się nawet o wojnie, która, jak morze płomieni, ogarnia nas dokoła. Gdybym tu miała przy sobie swego synka i córeczkę i gdyby mężowi memu było lepiej, czułabym się prawie szczęśliwą...

Przy wspomnieniu o dzieciach oczy jej zaszkliły się łzami. Pełnym czułości ruchem przygarnęła do siebie Józię i Józia i serdecznie oboje ucałowała. Dzieci zrozumiały, że te pocałunki były przeznaczone dla tamtych — dalekich — w Paryżu...

W tej chwili zaszeleściały liście, powiał silny wiatr od strony miasta. I nagle wonną, rajską atmosferę ogrodu zamącił nieznośny odór zgnilizny.

Pułkownikowa pobladła. Szybko wydostając z kieszeni flakonik z wonnościami, opryskała niemi dzieci i siebie.

— Ach! — smutno westchnęła. — Przypominała się nam ta, o której zapomniećbyśmy chcieli!... Ile razy pociągnie wiatr z poza rzeki, z nie pokrytego jeszcze ziemią pobojuwiska, czuje

się ten straszny, zabijający oddech wojny. Nie! nie chcę uroków tego parku, piękności tych drzew i kwiatów! Chciałabym jak najprędzej uciec stąd daleko, na drugi koniec Europy, na brzegi mojej pięknej Sekwany, pod niebo mojej Francyi ukochanej!...

Nie mogła już opanować wzruszenia, głośnie łkanie wyrwało się z jej piersi. Z kolei z pociechą pośpieszyły dzieci. Przypadłszy do kolan swej przyjaciółki, okryły jej ręce pocałunkami.

Pułkownikowa, doświadczona w pielęgnowaniu dzieci, odgadła od pierwszego spojrzenia, że zdrowie Józki jest poważnie zagrożone i wymaga starannej opieki. Wieczorem, przy wieczerzy, gdy wszyscy zasiedli razem do stołu, oświadczyła wręcz Szczerbie i Szczerbinie:

— Nie ruszycie się stąd, dopóki ja nie pozwolę. Brykę waszą kazałam wtoczyć do wozu, od której klucz mam u siebie. Konie wasze umieszczone są razem z moimi, pod dozorem mego masztalerza, któremu nie wolno działać na własną rękę.

— Pani pułkownikowa — z nieśmiałym uśmiechem oświadczył Szczerba, który, wiedząc, co się rangom wysokim należy, siedział sztywno wyprostowany, nie wając się nawet ręką do wąsów sięgnąć — pani pułkownikowa do niewoli nas bierze...

— Tak, do niewoli, z której jednak ty, mości

panie, i twoja żona w swoim czasie wypuszczeni zostaniecie.

— A dzieci? — z niepokojem zapytała Szczerbina, od wzruszenia wielkiego czerwona, jak piwonია.

— Dzieci aż do końca wojny pozostaną u mnie.

Zadrżał, usłyszawszy te słowa stary wiarus, mandataryusz kapitana Kalinowskiego. Nie panując nad swemi uczuciami, szybko powstał i, błądząc ze wzruszenia, przybrał postawę służbistą, stopy zesunął, pierś wystawił, palce prawej ręki do skroni przyłożył.

— Pani pułkownikowo! — drżącym głosem wyrzekł. — Z całą subordynacją, jaką winien jestem jej pułkownikowskiej mości, jaśnie wielmożnej pani i dobrodziejce naszej, mam zaszczyt oświadczyć, że to się stać nie może.

— Dlaczego? — zapytała zdziwiona pułkownikowa, której dzieci słowa swego opiekuna wytłómaczyły.

Zrozumiałyby je zresztą i bez tłómaczenia, tak wyraziste były: ruchy, głos i cała postać Kościuszkowskiego żołnierza.

— Przysięgłem, pani pułkownikowo! — mówił Szczerba, pozycyi nie zmieniając. — Żwierzchnikowi swemu przysięgłem!

— Czyż nie będzie dostateczne, gdy sam księciu Poniatowskiemu list doręczysz?

— Przysięgłem, pani pułkownikowi, że wraz

z listem przedstawię jego książęcej mości dzieci mego kapitana.

— Ależ one są słabe, wypoczynku potrzebują...

— W czasie wojennym, pani pułkownikowo, takie racye pod uwagą brane być nie mogą. Rozkaz dowódcy rzecz święta. Jedna tylko śmierć zwolnić od niej może.

Pułkownikowa, choć nieco podrażniona, uśmiechnęła się. Uprzejmym ruchem ręki wzywając Szczerbę, aby usiadł, rzekła:

— No, no, pomówimy o tem jeszcze jutro. Tymczasem udajcie się, drodzy państwo, na spoczynek do pawilonu ogrodowego, gdzie przygotować dla was kazałam wygodne posłania. Nie wątpię, że po tylu trudach i niewygodach spać będziecie wyśmienicie.

Po tych słowach, ujmując w otwarte ramiona Józię i Józia, dodała:

— Dzieci pozostaną przy mnie. W swoim domu ja matkować im będę.

Ostatnie słowa oddziaływały na Szczerbinę, jak oblanie ukropem. Porwała się na równe nogi i stanęła w tej samej żołnierskiej postawie, co przed chwilą jej mąż. Ale gdy u Szczerby wzruszenie objawiało się bladością, ona była prawie ponsowa.

— Pani pułkownikowo! Jaśnie wielmożna dobrodziejko! — wybuchnęła. — Wiwandyerką by-

łam, rygor wojskowy znam nie gorzej od tych, co służą we froncie. Wolą świętą nieboszczyka pana kapitana, mego dowódcy i dobrodzieja, było, żebym opiekę nad jego sierotami sprawowała. Nic mnie z niemi nie rozłączy — chyba śmierć jedna!

Pułkownikowa próbowała upór jej przełamać, ale nic to nie pomogło. Postanowiono zatem, że dzieci spać będą w sypialni pułkownikowej, dla Szczerbiny zaś przygotowuje się posłanie w pokoju sąsiednim, przyczem drzwi będą stały otworem, aby opiekunka każdej chwili do swych pupilów zaglądać mogła.

Pułkownikowa, po ułożeniu dzieci do snu, sama długo jeszcze zasnąć nie mogła. Gdy już ją sen ogarniał, wyobrażała sobie nagle, że to jej własne dzieci znajdują się przy niej. Otwierała na całą szerokość oczy, a wówczas za każdym razem dostrzegała to przy jednym, to przy drugim łóżeczku pochyloną nad śpiącemi Szczerbinę...

Już wreszcie na dobre zasypiała, gdy nagle wydało się jej, że po przyległym pokoju ktoś chodzi. Nadstawiła uszu... W istocie słyhać było czyjś chód ciężki, człapiący, który zbliżał się zwolna do progu sypialni.

Pułkownikowa uniosła się na pościeli i rozjaśniła nocną lampkę. Blade światło padło na

ciemną, potężną postać, wkraczającą zwolna do pokoju. Był nią — Wierny.

Pies poszedł prosto do łóżeczka Józi, i rozłożył się przy niem w swej zwykłej postawie Sfinksa.

Dzieci kapitana Kalinowskiego nie były pozbawione opieki...

XXII.

Jeszcze wszyscy spali, gdy Szczerba, przebudzony pobudką francuskiego trębacza (już bowiem zaprowadzono w mieście niewielką załogę francuską), ubrał się pośpiesznie i wyszedł na ulicę.

Dopiero w jasnym świetle jesiennego, słonecznego poranku odsłoniła się przed nim w całej grozie nędza i ruina zniszczonego oblężeniem miasta.

Tłumy ludzi, pozbawionych dachu, spały wśród zgliszczy na gołej ziemi, okryte byle jak łachmanami i dygocące z zimna. Kule nieprzyjacielskie i pożar, który większą część miasta zniszczył, tysiące ludzi, zamożnych przedtem i szczęśliwych, uczyniły odrazu nędzarzami.

Najokropniejszy był rozlegający się wszędzie głośny płacz dzieci. Brzmiał on, jak skarga chóralna, przed tron Boży zanoszona i domagająca się zadośćuczynienia za wielką, niewinnie cierpianą krzywdę...

Ciała poległych, setkami na bruku poniewierające się, już częściowo pozabierano i na cmentarz wywieziono. Jeszcze ich wszakże pełno było po kątach. Nie wszyscy padli od kul, bomb i kartaczów: znaczna ilość straciła życie w płomieniach, przy ratowaniu dzieci i dobytku. Nie brakło wreszcie i takich, co z rozpaczy sami się życia pozbawili.

Rozejrzenie się po mieście, do cna prawie wyniszczonem, przekonało wiarusa, że za prawdziwą łaskę Opatrzności poczytywać musi spotkanie zacnej pułkownikowej. W mieście panował niedostatek, z nędzą graniczący i klęski głodowej blizki. Wszystkie sklepy i targi były pozamykane, nawet nie dostrzegało się nigdzie chleba, na sprzedaż wystawionego.

Tem bardziej o prowiancie dla koni nie można było nawet pomyśleć. Pełno koni nieżywych i zdychających, często nawet rasowych, pięknych, leżało na placach publicznych i po zaułkach. Nikt o nie nie dbał, bo nikt prawie nie był w stanie ich wyżywić. Ze strachem i ściśnieniem serca pomyślał Szczerba, że, gdyby nie zapasy w stajniach pułkownikowej, pewnieby i jego konięta ten sam los spotkał.

Dość długo włócząc się po mieście, upatrywał pilnie rodaka, z którym mógłby rozgadać się swobodnie o wszystkim i wypytać szczegółowo o księcia. Ale ani jednego z Polaków przy-

dybać nie mógł. Pochowali się po kątach, czy też wcale ich nie było?

Szczerba spotykał tylko wynędzniałych i wystraszonych Rosyan, oraz Francuzów, którzy również miny mieli kwaśne i bynajmniej na tryumfatorów nie wyglądali.

Zły i markotny powrócił z wycieczki swej do pałacu. A tam zastał wszystkich wypoczętych, pogodnych, wesołych.

Pułkownikowa, korzystając z wyjątkowo pięknego dnia, kazała podać śniadanie w jednej z dużych altan ogrodowych. Dzieci miały apetyt wyśmienity. Czekolada z biszkoptami smakowała im, jak niebiańska ambrozja, nie pogardziły też i doskonałą pulardą i wybornym kremem malinowym, które po czekoladzie na stół wjechały.

Dzieciom wydawało się teraz wszystko pięknem i wesołem; nawet przebyte niedawno przykrości nabierały w ich oczach pewnego uroku.

Józio, z pełnemi kremu ustami, mówił do siostry:

— Wiesz? Podróż nasza z początku podobna była do oglądania książki z obrazkami, teraz przypomina czytanie pięknej, pełnej przygód, szalenie zajmującej powieści.

Oboje śmiali się, mówili dużo i głośno i opowiadali pułkownikowej z humorem swoje przygody, nabrawszy nagle wielkiej płynności we francuszczyźnie. Wesołość gości udzieliła się

i gospodyni domu. Pułkownikowa przyznawała, że już od wielu tygodni nie była w tak dobrem usposobieniu.

A że i Szczerbina, przed którą postawiono wielką szklanicę ulubionego, mocnego grogu, rozchmurzyła się i nabrała rezonu i że nawet Wierny naszczekiwał wesoło, zdobywając się na prawdziwie niedźwiedzie podskoki i wymachując wielkim ogonem, którym strącał ze stołu spodki porcelanowe, nic ogólnej harmonii nie psuło.

Pułkownikowa zwróciła się do eks-wiwan-dyerki:

— I cóż, moja pani: czy dobrze tu dzieciom?

Tamta, salutując, odrzekła:

— Jaśnie wielmożna pani pułkownikowo! Dzieciom tu jak w niebie. Ale i niebo trzeba porzucić, aby na ziemi obowiązek swój spełnić...

— Miałażbyś serce zabierać stąd dzieci?

— Rozkaz nieboszczyka pana kapitana, mego dobrodzieja i dowódcy, żadnych wymówek nie dopuszcza...

Lekka chmura przebiegła po czole pułkownikowej. Nic jednak nie wyrzekła i tylko kazała podać starej drugą szklankę grogu.

W tej chwili nadszedł Szczerba. Zaczęto rozmawiać o księciu Józefie Poniatowskim.

— Książę — mówiła pułkownikowa — znajduje się już w tej chwili razem z cesarzem albo pod murami Moskwy, albo nawet w samej Moskwie.

Szczerba spytał ciekawie:

— Cóż Napoleon zrobić zamyśla po zajęciu Moskwy?

— Cesarz — mówiła gospodyni domu — otacza swe wszystkie plany tajemniczością. Tym razem uczynił się szczególniej nieprzeniknionym, Ale mój mąż twierdzi, że Napoleon postanowił w Moskwie wraz z całą armią przezimować.

— Jestże to dobry zamiar? Czy nie grozi on jakowem niebezpieczeństwem?

Pytanie zakłopotало pułkownikową.

— Tego ja nie wiem... I mąż mój nie wie... Chodzą wieści, że cesarz rosyjski powołuje pospolite ruszenie, cały naród pod broń stawia... Straszą nas też pogłoskami o wielkim braku żywności... o możliwym głodzie... o zimie surowej, dla ludzi z Zachodu do przetrzymania trudnej... Oby to nie było prawdą!...

Szczerba zniżonym głosem oświadczył, że słyszał starych, doświadczonych Rosyan mówiących:

— Wojna z Francuzem jeszcze się nie zaczęła. Zacznie się ona dopiero, gdy zima przyjdzie i mrozy nastaną... A wówczas wszystko się odmieni!...

Pułkownikowa złożyła dłonie, ze wzniesionemi w niebo oczami szepnęła:

— Boże! miej nas w swojej przenajświętszej opiece!...

Wszyscy spowaźnieli. Jak poprzedniego dnia nagły powiew wiatru od strony pobojuwiska, tak teraz słowa Szczerby i modlitwa pułkownikowej oddziaływały na wszystkich gnębiąco, przywołując do rzeczywistości, która nie była bynajmniej wesoła i przyjemna.

Wieczorem Józia dostała nagłego napadu febry. Powróciła jej choroba, przed kilku miesiącami w Wilnie przebyta.

Pułkownikowa posłała po lekarza. Przybył stary Francuz, doświadczony praktyk, który już całe pokolenie wnuków wychował. Zbadawszy Józję, oświadczył on, że jej choroba wymaga dłuższego leczenia, wymaga troskliwej opieki i pomyślnych warunków otoczenia. Na wspomnienie o podróży, gniewem się uniósł.

— Tylko wróg tego dziecka, któremu na śmierci jego zależy, mógłby je w tym stanie narażać na niewygody dalekiej jazdy!... Ja, z obowiązku lekarza, zabraniam ruszać stąd chorą przed upływem co najmniej miesiąca.

Gdy powiedziano o tem Szczerbinie, zasmuciła się głęboko, ręce opadły jej bezradnie.

— Cóż teraz będzie?... Cóż teraz będzie?... — powtarzała, niepewnym wzrokiem wodząc dokoła.

— Ja Józii nie puszcę, choćbym siły zbrojnej użyć miała! — oświadczyła pułkownikowa pół żartem, pół seryo.

A zwracając się do nadchodzącego Szczerby

dodała stanowczym, prawdziwie pułkownikowskim tonem:

— Pojedziecie, panie Szczerbo, do księcia z Józiem. Dziewczynka u mnie pozostanie.

— A żonisko? — spytał zafrasowany wiarus, w dół białe wąsy ciągnąc.

— Żona postąpi, jak zechce. Albo puści was w drogę samych...

— Za nic w świecie! — przerwała zapalczywie Szczerbina. — Jakżebym mogła Józia zostawiać bez opieki! Mój stary, choć dobre człeczysko, zna się na tych rzeczach, jak na pieprzu.

— W takim razie pani pojedziesz z mężem i Józiem, a Józia pozostanie u mnie, pod moją osobistą opieką. Ręczę, że zajmę się nią, jak rodzona matka.

— A z naszej strony — żałośnie spytała tamta — nikogo przy niebożatku mojem nie będzie?

— I na to jest sposób — z uśmiechem oświadczyła pułkownikowa. — Niech przy Józi pozostanie jej przyjaciel, Wierny...

Pies, usłyszawszy swe imię, wyszedł z kąta i, przyczłapawszy się ciężko do rozmawiających, położył się przy stopach pułkownikowej.

— Widzicie! — rzekła ostatnia tryumfująco — Wierny uważa projekt mój za praktyczny i w zupełności go potwierdza!

Eks-wiwandyerka próbowała jeszcze oponować, ale mąż na nią powstał i zamilkła.

Zaraz nazajutrz zaczęto przygotowywać się do drogi, a w kilka dni później arka, w świeży zapas żywności i prowiantów zaopatrzona, wyruszyła w dalszą za księciem gonitwę.

XXIII.

Mijały dnie, tygodnie...

Józia to kładła się do łóżka, to wstawiała, walcząc z chorobą, napadającą ją co pewien czas znienacka. Opiekę miała jak najlepszą, prawdziwie macierzyńską oraz wszelkie wygody. Dzięki temu, stan jej zdrowia stale się poprawiał.

Ale dusza dziewczynki była smutna, coraz smutniejsza...

Od Józia i Szczerbów nie nadchodziły żadne wieści. Głucho też było o księciu Józefie, o Napoleonie, o całej Wielkiej Armii.

Przyroda stawiała się z każdym dniem posępniejszą. Z pośród chmur, przeciągających żalobnymi korowodami po niebie, zaledwie raz na kilka dni słońce bladą twarz wychylało. Park obnażał się coraz bardziej ze swych szat letnich. Na klombach nie było już kwiatów; wichur z jękiem przedzierał się przez poczerwiałe gałęzie;

stosy zeschniętych liści, rdzawo-żółtych, czerwonych i brunatnych, wirowały, chrzęszcząc głucho, po szerokich, pustych alejach.

Wcześniej, niż innych lat, ptactwo przelotne odlatywało »za morze«, do cieplejszych, cichszych krajów. Natomiast niezliczone stada wron, kawek i kruków ciągnęły nieustannie od strony puszczy wielkich, nierzadko, nakształt chmur czarnych, słońce zaćmiewając.

O wczesnych rankach już się na zwiedłej trawie szron srebrzył. Nocami słychać było wyście dzikich zwierząt.

Wszystko to zapowiadało wcześniejsze, niż zwykle, nadejście zimy.

Smoleńszczanie mieli twarze zafrasowane i smutne. Powtarzali głosem żałosnym:

— Będzie zima, jakiej najstarsi ludzie nie pamiętają, jakiej nigdy jeszcze na naszej świętej Rusi nie bywało... Hospody pomiłuj!

— Hospody pomiłuj! — powtarzali inni chórem jęczącym.

Rany pułkownika zabliźniły się szczęśliwie, i już mógł szpital opuścić. Ale wyszedł zeń z jedną tylko nogą, na szczudle...

Słońce zachodziło coraz wcześniej, wieczory zaczęto już spędzać przy świecach. Pułkownik, paląc fajkę, opowiadał swe dawne kampanie i krytykował obecną. Przed domownikami nie taił, że w niej dostrzega wiele błędów, które

mogą skończyć się bardzo nieszczęśliwie dla Napoleona i pomagających mu ludów.

— Rangę pułkownikowską — powtarzał — i wszystko, co mam, oddałbym chętnie, żeby mi pozwolono wrócić do kraju, ucieszyć serce widokiem dzieci, rodaków, ojczyzny!...

Zaczęły wreszcie nadbiegać wieści o wojnie, o armii, o cesarzu. We wszystkich wyliczano stoczone bitwy, zwycięskie, lecz krwawe. Armia posuwała się do starej stolicy kraju, zaścielając drogę stosami trupów nieprzyjacielskich i własnych. Naogół wieści głosiły zwycięstwo i pomyślny przebieg wojny.

Ale obok tych wieści, mniej lub więcej urzędowych, przybywały drogami bocznymi inne, o wiele żałośniejsze. Te ostatnie mówiły o ciężkich stratach armii, o ubytku wielu generałów, o całych pułkach wystrzelanych i w pień wyciętych, o braku chirurgów i lekarstw, o głodzie, wkradającym się do szeregów, o wszelkiego rodzaju bezprawiach, o zdziczeniu olbrzymich, międzynarodowych mas, których mała tylko część walczyła o jakąś ideę.

Pułkownik zżymał się i zasępniał, wyrażając coraz większą obawę o przyszłość. Często całymi godzinami siadywał w milczeniu, nad wielką mapą Rosyi pochylony.

Milczała wówczas i pułkownikowa, a Józia, uciekając od pięknych ksiązek, zabawek i łakoci

wciśnięta w kącik ustronny, ocierała łzy, płynące jej po twarzy. Dławiła ją tęsknota, smutek i obawa o braciszka jedyne go i o starców dwoje, którzy byli jej wszystkim na ziemi.

Tych łez najtkliwsze nawet pieśczo ty pułkownikowej utulić nie mogły. Skuteczni ejszem bywało pocziwe łaszenie się Wierne go, który lizał jej ręce i wpatrywał się w nią swemi piwnemi, mądremi, otuchy dodającemi ślepiami. Dziewczynka kładła często główkę na jego wielkim, kudłatym łbie i, wnurzywszy ręce w jego długie, miękkie włosy, wśród cichych łkań zasypiała...

W połowie października nadleciały prawie równocześnie dwie wiadomości wielkiej wagi: jedna, budząca zapal i otuchę, druga, pełna grozy i tragiczności. Pierwsza donosiła o wkroczeniu Napoleona do Moskwy, druga o strasznym tego miasta pożarze.

Do prastarej stolicy carów i książąt rosyjskich Napoleon wkroczył bez jednego wystrzału, przedtem jednak stoczyć musiał szereg bitew, które okropnością i strasznym krwi rozlewem przeszły wszystko, co się tu działo od początku kampanii.

Przed samą Moskwą armia francuska otrzymała wymowne ostrzeżenie, którego jednak ani zrozumieć, ani zużytkować nie potrafiła.

Wojsko, przechodząc przez majątność jednego

z największych bogaczy rosyjskich, znalazło całą wspaniałą wieś, obróconą w perzynę przez pożar. Zgliszcza dymiły jeszcze resztkami dogasającego ognia.

Wszystkie domy w tej wsi były murowane, ze wszystkich pozostały tylko sterty cegieł i poczerniałe, ohydnie ku niebu sterczące, kominy.

W gruzach leżał też przepiękny pałac właściciela, siedziba książęca, pełna bezcennych dzieł sztuki, wykwintu i zbytku. Nie było to pewnie dziełem przypadku, że z całego gmachu ocalała tylko baszta, a na niej rzeźba olbrzymia, przedstawiająca atletę, który trzymał za uzdę i poskramiał dzikiego, szalejącego rumaka...

Na bramie pałacowej, w miejscu najwidoczniejszym, wisiała wielka karta z napisem:

»Ten pałac kosztował mnie milion. Puszczam go dziś z dymem, aby żaden pies francuski pod jego dachem schronienia nie znalazł«.

Ten napis i te zgliszcza pouczały Francuzów: co ich czeka, gdy wtargną do Moskwy.

Nauka, niestety, »w las« pójść miała!

Pułkownik otrzymanemi wieściami do głębi był wzruszony. Przez kilka godzin chodził po parku z odkrytą głową, nadstawiając pałające czoło zimnemu, jesiennemu wichrowi.

Odtąd nie było dnia, żeby do Smoleńska, to

stad, to zowad, nie nadbiegała straszna, przerażająca, na różne sposoby powtarzana wieść:

— Moskwa gore!

Razem z tą wieścią nadlatywały inne, coraz okropniejsze, krew w żyłach mrozące: o setkach i tysiącach zwęglonych trupów, rosyjskich i francuskich, o głodzie niesłychanym, zmuszającym do karmienia się ciałami ludzkimi, o stadach wilków i niedźwiedzi, które pośród zgłiszczy nieustannie krążyły, rzucając się na ludzi, rozszarpując ich i pożerając...

Truchlała Józia, słuchając tego; dreszcz wstrząsał i pułkownikową, która załamywała ręce w niemej rozpacz. Pułkownik przyjmował przesadzone wieści z niedowierzaniem, a nawet zupełnie wiary im nie dawał — mimo to coraz cięższą troskę znać było na jego obliczu. Doświadczony żołnierz odgadywał właściwe znaczenie i cel strategiczny strasznego pożaru; przeczuwał, że cesarz z tego powodu znajdzie się w położeniu trudnem, może nawet w położeniu bez wyjścia. Wielbiąc fanatycznie Napoleona, jak niemal wszyscy jego podwładni, powtarzał nieraz, że niepomysłny los cesarza bardziej mu dolega, niż jego własne rany...

Wśród tych obaw i niepokojów, nadszedł listopad. Niebywale wczesna i sroga zima wybuchnęła nagle z jakąś drapieżną zawziętością. Lodem pokryły się rzeki i strumienie; zieleniące

się do wczoraj jeszcze łąki i trawniki, w ciągu jednej nocy zczerniały i zmartwiały; w drzewach zeschniętych i zeszywniałych przestały krążyć soki. Cała przyroda, rzec można, zdrewniała i zamarła.

Niebawem spadły śniegi obfite, dziwne śniegi, jak piasek suche i sypkie, które rozbieliły wszystko dokoła, roznosząc wszędzie tchnienie śmierci i grobu.

Nocami, gdy na świat cały padła cisza cmentarna, złowrogo skrzyły się gwiazdy, niby ślepiaszanów, radujących się z nieszczęść i cierpień ludzkich.

Jednego dnia zjawił się w mieście żyd, kupiec wędrowny, który kręcił się po okolicy, a często i dalej wyruszał, z nieszczęść wojny korzystać dla siebie ciągnąc. Zjawił się przerażony, prawie odchodzący od siebie, i powtarzał, jak w obłąkaniu:

— Co ja wydziałem!... Co ja wydziałem!...

Gdy ochłonął nieco, kupiącym się dokoła niego ludziom prawił, za pejsy się ciągnąc:

— Te wielgie armie, co tu dawno była, to una tera nazad tu idzie!... A ten sam jaśnie cysarz, ten sam Pan-Olejon także idzie na przodku z wielgim kijem w rękie... A od wielgich żyumnościów, to un ciągiem z nogiem psitupuje...

Brodę targał, krymkę z głowy zrywał i jęczał:

— *Aj wej mir!... Aj wej mir!...*

Upłynął jeszcze tydzień, upłynęły dwa tygodnie, a to, co pułkownik od dawna przeczuwał, stało się rzeczywistością. W spalonej i ogłodzonej Moskwie Napoleon przez zimę utrzymać się nie mógł. Traciłby w niej nadaremnie czas, ludzi i zapasy, pozwalając cesarzowi rosyjskiemu naprawiać poniesione straty i powoływać pod broń całą ludność olbrzymiego państwa.

Zrozumiałwszy to, chcąc wydostać się z pułapki i ocalić od ostatecznej zagłady resztę Wielkiej Armii, niezwyciężony dotąd bohater zarządził odwrót. Niestety! warunki, w jakich się ten odwrót odbywał, sprawiły, że był on już sam przez się najstraszliwszą klęską...

Do Smoleńska nadciągać zaczęły w stanie opłakanym pułki, przed kilku jeszcze miesiącami pełne świetności i brawury, teraz zbiedzone, obdarte, zdziesiątkowane przez wroga, głód, zimno i choroby.

Napoleon liczył, że w Smoleńsku armia odbędzie dłuższy postój, że wypocznie, na siłach się wzmoże, zaopatrzy się w żywność i prowiant. Nadziejom tym rzeczywistość nie odpowiedziała. Niepodobna było licznym pułkom obozować w mieście, które w trzech czwartych leżało w gruzach i którego mieszkańcy sami głód i nędzę cierpieli!

Więc tylko nakształt żałobnych widziadeł przesuwały się przez Smoleńsk pułki po pułkach,

witając miasto okrzykiem nadziei, żegnając przekleństwem rozpacz. Po każdym przejściu, wśród gruzów spalonych domostw, na cmentarzach, okalających kościoły, w samych kościołach i wprost na ulicach, pozostawały setki trupów, których grzebać nie było gdzie i nie było komu...

Jak wichur, błyskawic i piorunów pełny, przemknął tedy Napoleon, nie zatrzymując się dłużej, gnany gorączką pośpiechu, gwałtowniejszą jeszcze w odwrocie, niż w natarciu. Jeszcze on tworzył jakieś plany, jeszcze spodziewał się zgromadzić posiłki i na wiosnę kampanię wznowić... Były to już tylko niewyraźne rojenia, do których sam cesarz pewnie w głębi duszy większej wagi nie przywiązywał.

Przed Napoleonem jeszcze zjawił się w Smoleńsku książę Józef Poniatowski. Wiódł on prawdziwe niedobitki dzielnych wojsk Księstwa Warszawskiego, które wszędzie najbardziej się narażały i najskuteczniej przyczyniały się do zwycięstwa. Książę pędził dniem i nocą, nie zważając na głód, zimno i zasadzki. Torował drogę cofającej się armii, i śpieszył do Wilna, aby je przygotować na przyjęcie cesarza i jego generałów.

W Smoleńsku książę zabawił bardzo krótko. U pułkownikowstwa dowiedziano się o jego przybyciu wówczas dopiero, gdy miasto opuścił.

Józia łzami zalała się na wiadomość, że przy-

jacieli ojca i jej opiekun znajdował się tak blisko, a ona widzieć się z nim nie mogła!...

Upłynęło jeszcze kilka tygodni, a w Smoleńsku, po przejściu wielkiej armii już tylko żałobne pozostało wspomnienie.

Pułkownik, któremu stan zdrowia nie pozwolił podążyć bezpośrednio za armią, czynił na własną rękę przygotowania do drogi, i lada dzień Smoleńsk miał opuścić.

Tymczasem o Szczerbach i Józiu żadnej wieści nie było...

Józia spędzała noce bezsenne, łamiąc ręce, modląc się, płacząc. Wierny na krok jej nie odstępował, ale i on chodził z łbem spuszczoneym, milczący i ponury...

XXIV.

Jednej nocy listopadowej rozszalała się nad Smoleńskiem burza śnieżna, tak straszna, że zdawała się grozić zagładą całemu światu.

Wicher łamał drzewa w parku, strącał dachówki i kominy i trząsł starym pałacem, jakby go chciał rozwalić. Gdy szum wichru na chwilę przycichnął, słyszeć się dawały przeraźliwe, przeciągłe, dreszcz budzące lamenty. To wyło wilków stado, bezkarnie krążące po mieście, wyprawiające dzikie uczty z ciał ludzkich i z końskiej padliny. Kto w przerażeniu wsłuchał się w te głosy, drętwiał od strachu, bo mu się zdawało, że w rykach nawałnicy, w piekielnym zawodzeniu zwierząt, słyszy ludzki płacz, ludzkie skargi i jęki...

Tej nocy w domu pułkownikowstwa nikt oka nie zmrużył. Nawet nie kładziono się do łóżek. Pułkownikowa z Józią modliły się głośno przed obrazem Matki Boskiej, obstawionym świecami

i tworzącym rodzaj ołtarzyka. Pułkownik szerokimi krokami przemierzał obszerną komnatę, paląc fajkę i w milczeniu pocierając wygolony podbródek. Miarowe stukanie jego szczudła rozlegało się ponuro po całym pałacu.

Wierny objawiał dziwny niepokój. To kładł się, to wstawał i chodził, nasłuchując, węsząc i cicho, żałośnie skomląc.

Na samym rozświcie burza przycichła, jakby jej wściekłość wyczerpała się i jakby dokonała już w zupełności swego piekielnego dzieła. Po trzasku, szumie, wyciach i lamentach, zapanaował odrazu nadzwyczajny spokój. Spokój ten rozmarzył Józję. Przymknęła ociężałe powieki, głowę opuściła bezwładnie na oparcie krzesła i — zasnęła.

Sen zmorzył także pułkownikową, która położyła się na sofce, nie wypuszczając z rąk książki do nabożeństwa. Pułkownik najdłużej opierał się znużeniu, lecz i on wreszcie zdrzemnął się w kąciку, wypuszczając z ręki półzgasłą fajkę.

Józia miała sny bardzo przyjemne. Znajdowała się w pięknym lesie, na polance pełnej kwiatów, miłego cienia i zapachów. Na drzewach cudnie śpiewały ptaki; złote muszki, chrząszcze i różnobarwne motyle fruwały dokoła z miłym, rozmarzającym brzękiem. Gdzieś w pobliżu dzwonił po kamykach strumień... Przy dziewczynce

siedzieli na trawie: z jednej strony Szczërba; z drugiej jego żona. Oboje mieli twarze uśmiechnięte, zadowolone. Wiarus palił fajeczkę i wąsy podciągał nie na dół, lecz w górę; eks-wiwandyerka wierzchem dłoni pocierała włosy na górnej wardze, usta jej zaś tak były ułożone, jakby za chwilę wybiedz z nich miało jej ulubione »bum«.

Józio, wesoło pośpiewując, biegał po lesie i co chwila przynosił to pęki wonnych kwiatów, to słodkie poziomki i maliny.

Józia czuła się lekką, spokojną, szczęśliwą — do końca życia w tym stanie dotrwać pragnęła.

Nagle — zawył wicher, zapadł mrok, dokoła wszystko się zmieniło. Józio, Szczërba, Szczerbina, kwiaty, ptaki i motyle bez śladu zniknęły. Z ciemności wypadł zbójca i pochwyciwszy Józię, szarpać ją zaczął z całej mocy...

Dziewczyna obudziła się, drżąc z przerażenia. W pokoju było już zupełnie widno. Przy nogach jej stał Wierny z najeżoną sierścią, z roziskrzonymi oczyma. Żałośnie skomlać, ciągnął ją zębami za sukienkę...

Józia, półsenna jeszcze, położyła dłoń na jego wielkim łbie i uspokajać go próbowała. Ale to nic nie pomagało. Pies coraz natarczywiej ciągnął sukienkę, coraz żałośniej skomlał. Wreszcie to skomlenie przeszło w przeciągłe ponure wycie.

Zbudził się drzemiący pułkownik. Przez chwilę

badał z uwagą psa; potem wstał szybko z fotelu i rzekł:

— Wierny coś wie, coś przeczuwa... Słuchać go trzeba i iść, gdzie on wskaże. Proszę jaknajprędzej ubrać się ciepło i być gotową do wyjścia. Ja również włożę zaraz futro i uzbroję się w laskę okutą. Weźmiemy ze sobą dwóch ludzi, nosze i trochę zapasów. Żony mojej budzić nie trzeba.

Zerwała się Józia na równe nogi, pośpiesznie się odziała. Uwijał się też żwawo, choć na szczudle, pułkownik. W kilkanaście minut wszyscy już byli gotowi i wyszli na drogę, prowadzeni przez Wiernego.

Ogromne śniegi, przez burzę nocną nawiane, zalały całą okolicę jakby falami srebrno-mlecznego, bezbrzeżnego oceanu. Nie było widać dolin i pagórków: wszędzie rozkładała się oślepiająco biała płaszczyzna. Z pod śniegu wysterczał tylko tu i owdzie wierzchołek drzewa, lub wysokiego domostwa.

Pies biegł szybko po drodze, wiodącej za miasto, w stronę Moskwy. Co chwila oglądał się czy za nim idą. Gdy spostrzegł, że w tyle przystali, czekał głośno, nagłąc do pośpiechu.

Na drodze śnieg leżał miejscami tak wysoko, że Józia niemal po samą szyję zapadała. Pułkownik rozkazał jednemu z ludzi wziąć dziewczynkę na ręce. Był to rośły, silny sierżant, któ-

remu to brzemie wydawało się lekkie, jak piórko. Towarzysz sierżanta, felczer, a w potrzebie chirurg obozowy, dźwigał wielką torbę, w której, obok narzędzi jego zawodu, znajdowały się butelki z winem i mocną wódką. Zamykali orszak dwaj szeregowcy z noszami.

W odległości mniej więcej wiorsty od ostatnich domków przedmieścia, Wierny stanął w miejscu, uszy nastroszył, pysk wysunął — przez długą chwilę nozdrzami gwałtownie wiatr wciągał. Nagle zawył krótko, szczechnął, i jak wypuszczona z cięciwy strzała, szalonym pędem pobiegł naprzód.

O jakieś sto kroków stamtąd wznosił się na drodze niewielki pagórek ze śniegu. W jego wnętrzu coś niewyraźnie czerniało.

W mgnieniu oka pies znalazł się przy pagórku, pysk weń wetknął, łapami gwałtownie śnieg rozrzucać zaczął.

Pułkownik z felczerem przyśpieszyli kroku, daleko za sobą pozostawiając towarzyszków. Niebawem przekonali się — co już od początku jeden z nich podejrzewał — że pod śniegiem znajduje się człowiek.

Podbiegli bliżej jeszcze. Pułkownik zdreptał z żalu i przerażenia, poznawszy, że tym człowiekiem jest... Józio Kalinowski — jak kreda białe, nieruchome, zmarznięte.

Wierny leżał na ciele swego przyjaciela,



Pułkownik z felczerem przyspieszyli kroku.

i wielkim, czerwonym językiem twarz mu lizał, jakby usiłując iskrę życia w nim zbudzić.

Pułkownik, chcąc dziewczynce oszczędzić straszego widoku, skinął na pozostałych w tyle, aby się nie zbliżali; sam też stanął w taki sposób, żeby swym płaszczem szerokim ów widok zakryć.

Felczer, nie tracąc czasu, przyklęknął, odzież na piersiach chłopca rozerwał, zaczął ciało w okolicy serca silnie śniegiem nacierać. Po tem oczyścił ze śniegu półotwarte usta, i wpuścił w nie kilka kropel wina oraz jakiegoś kordyału. I znów wrócił do tarcia — tarł zaś szybko i silnie, aż mu pot na czoło wystąpił.

Odpocząwszy, znów w usta chłopca wlał trochę wina, pochylił się nad nim, ucho do serca przyłożył. Po chwili, zwracając się do pułkownika, z twarzą rozjaśnioną szepnął:

— Żyje...

Zaraz też, z miejsca się porwawszy, pobiegł w stronę ludzi z noszami, do siebie ich wzywając. Sierżantowi zaś, trzymającemu dziewczynkę, w miejscu stać rozkazał.

W chwili, gdy Józia układano na noszach, okrywając wielkiem niedźwiedziem futrem, chłopiec otworzył oczy, w twarzy pułkownika je utkwiał — ledwie dosłyszalnym głosem szepnął:

— Tam... oni...

Jednocześnie, z wielkim wysiłkiem, wykonał głową ruch w kierunku drogi.

Po tym wysiłku, oczy mu się zamknęły, i wpadł w poprzednie omdlenie.

Felczer polecił odnieść Józia do pałacu, umieścić tam w pokoju nie opalonym, rozebrać do naga i wycierać śniegiem dopóty, aż skóra z kredowo-białej stanie się różową, i chłopiec wyraźnie oddychać zacznie. Potem napoić go mianem gorącą herbatą, okryć futrem i pozostawić w spokoju.

Przed Józią kazał felczer udać, że to zbłąkany, nieznajomy podróżny.

Zrobiwszy to wszystko, dzielny człowiek pośpieszył z pułkownikiem dalej, domyślając się, że więcej ofiar czeka jego pomocy. Wiernego, który się za swym paniczem wyrывał, przytrzymał za obrożę, i kazał mu się prowadzić. Pies zrozumiał swą rolę i doskonale zaczął je wypełniać.

Uszli już kilkaset kroków, gdy nagle Wierny wyrwał się felczerowi i biegać począł zygzakiem z jednej strony drogi na drugą, węsząc i naszczekując. Niebawem szczekanie stało się głośniejsze. Pies niemal jednym skokiem przesadził szerokość drogi. Znajdowało się w tem miejscu — które było rowem przydrożnym, przez zamieć śnieżną z poziomem drogi zrównanym — wysokie wzgórze ze śniegu.

Wierny pochwycił zębami za zrąb tej białej góry i silnie ją targnął. Wzgórze zachwiało się, w połowie swej wysokości przełamało i, jak wywracająca się wieża, runęło.

Wzniósł się tuman białego pyłu, wszystko na chwilę zasłaniając. Gdy tuman opadł, nadchodzący ujrzeni już zdala wynurzoną z białej powłoki ciemną, bezkształtną masę. Przyśpieszyli kroku i przekonali się, że tą masą jest wielka bryka, płótnem nakryta i zaprzężona w trzy konie, a właściwie: w trzy trupy końskie, zmarznięte i zeszywniałe...

Pułkownik poznał arkę.

— Boże! — z rozpaczą zawołał — biedni opiekunowie dzieci!... Biedny stary wiarus i jego dzielna małżonka! Cóż teraz poczną dzieci nie-szczęsne, po raz drugi sierotami zostające?

Natychmiast polecił brykę z rowu wyciągnąć, a przedewszystkiem wewnątrz jej zbadać. W ostatniej czynności wyprzedził już ludzi — pies. Chwycawszy zębami i na szmaty porwawszy okrywającą brykę płótno, przez otwór wcisnął się do środka.

W tejże chwili dały się słyszeć szczekania, krótkie, cienkie, urywane...

Pułkownik wsłuchiwał się pilnie w te głosy.

— Dobry znak... — do towarzyszków rzekł — pies nie wyje, lecz szczeka.

Jeszcze tych słów nie domówił, już felczer

stał przy bryce i, odsuwając psa, niósł pomoc Szczerbie i Szczerbinie. Usłyszał ich jęki — poznał, że nie przybywa zapóźno.

Oboje Szczerbowie leżeli bez ruchu, z oczami zamkniętymi, z barwą śmierci na twarzach, jednak żyli jeszcze. Ocalił im życie kopiec śniegu, który nad nimi zamieć usypała. Było im pod tem nakryciem dość ciepło, tyle właśnie, aby uniknąć zupełnego zmarznięcia. Płótno utworzyło nad ich głowami sklepienie, nie dopuszczające śniegu. Przez szczeliny dopływało trochę powietrza. Iskierka życia gasnęła w nich stopniowo, ale w chwili zjawienia się pomocy jeszcze tłała.

Szczerbina, ledwie wrócona do przytomności, słabym, jęklwym głosem spytała:

— Józio?...

Po chwili i z piersi jej męża wydobył się ten sam jęk:

— Józio?...

Gdy pułkownik zapewnił, że Józio żyje, twarze obojga starców rozjaśniły się, jakby na nie padł promień słońca. Przymknęli na nowo oczy, zdawało się, że zasypiają, aby się już więcej nie obudzić. Wyraz ich twarzy był taki, jakby powiedzieć chcieli:

— Bóg zdjął nam z serca ciężar największy, odejść już możemy w spokoju!...

Ale felczer nie dopuścił do zaśnięcia, które

mogło stać się wiecznem. Mocne, stare wino pobudziło krew do szybszego obiegu; silne nacieranie skroni i piersi oprzytomniło i wróciło energię życiową.

W braku drugich noszy, pułkownik sprowadzić kazał konie. Zaprzężono je do arki, która z wielką trudnością wyciągnąć się dała z rowu, ale po równej drodze dość gładko się toczyła.

.

Tydzień cały upłynął, zanim Józio, a po nim Szczerbowie, do zupełnego zdrowia powrócili. Ślady przebytej katastrofy na wszystkich odcisnęły się wyraźnie. Najciężej przypląciła ją Szczerbina, odmroziwszy jedną nogę aż po kolano. Chodzić, nawet o kiju, nie mogła. W fotelu na kółkach wozić ją musiano.

— Teraz z nas para... — mawiał do niej pułkownik, odzyskując chwilami wrodzoną każdemu Francuzowi wesołość. — Na weselu naszych dzieci tańczyć będziemy ze sobą kadryla.

— Mazura, panie pułkowniku, mazura! — poprawiała, śmiejąc się, eks-wiwandyerka.

— Wszystko dobre, co się dobrze kończy — dodawał, szcudłem stukając, dzielny oficer, aby otuchę wzbudzić w innych i w sobie.

— Bum! — kończyła rozweselona Szczerbina.

Szczerba, stale markotny, w milczeniu palił fajkę i siwe wąsiska wdół ciągnął. Codziennie

wychodził na miasto, wypytując o księcia Józefa, opatrywał też arkę, sposobiąc się do podróży powrotnej.

— Nie tu, moi państwo, to tam — energicznie powtarzał — księcia-wodza przydybię i rozkaz nieboszczyka pana kapitana święcie wypełnię. Z tamtego świata potem tylko zawrócił, i nie odejdę, póki końca temu nie zrobię.

Dzieci po pewnym czasie odzyskały właściwą swemu wiekowi żywość i wesołość. Jednak nie śmiały się już tak głośno, jak dawniej, nie miały też w duszach dawniejszej, niczem nie zmaćconej pogody. Józia po sto razy zadawała bratu jedno i to samo pytanie, otrzymując na nie zawsze jedną i tę samą odpowiedź...

Pytała ona, ręce załamując:

— Cóżes ty zrobił, nieszczęsny? Jak mogłeś w taką straszną zamieć w drogę się puszczać?

A chłopiec odpowiadał rezolutnie:

— Bardzo mi do ciebie, siostrzyczko, pilno było... I widzisz, żem na swoim postawił. Choć sam nie doszedłem, inni mnie przynieśli.

Później i o tem zapomnieli. Czegoż się w tym wieku błogosławionym nie zapomina! Przytem niewymownie radowała ich myśl, że już się wreszcie biedy ich skończyły, że powrócą niezadługo do kraju, do swoich...

Z najwyższem utęsknieniem wyglądali chwili

gdy będą mogli tę ziemię, tak dla nich niegościnną, na zawsze porzucić.

Chwila ta nareszcie nadeszła.

Jednego słonecznego, niezbyt mroźnego poranku, zajęchały przed pałac trzy wygodne karety na saniach, a z niemi, również na saniach umieszczona, arka. Zajęli w nich miejsca starannie futrami pootulani: pułkownikowstwo z dziećmi, Szczerbowie i służba.

Po gładkiej drodze, przy rażnej muzyce dzwonek, karety pomknęły wicherem w stronę Wilna i Warszawy...

XXV.

W pałacu »pod Blachą«, w dużej komnacie, przylegającej do sypialni księcia Józefa, a będącej napół poczekalnią, napół przedpokojem, w obszernym »wolteryańskim« fotelu z wysoką poręczą, siedział nieruchomo białowłosy starzec, chudy, sztywny, prosty, jak lanca ułańska.

Zdawać się mogło, że starzec drzemie — ale on miał powieki do połowy tylko opuszczone, twarz zaś i cała postawa objawiały czujność i wyteżoną uwagę.

Był to kamerdyner księcia, nasłuchujący, czy jego pan nie przebudził się i posługi jakiej nie potrzebuje, sprawiający się zaś jak najciszej, aby księciu nie przerwać przedwcześnie snu tak drogocennego po całych miesiącach najstraszniejszych obozowych niewygód.

W kącie cykał monotonnie stary zegar gdański; na kominku płonął ogień, w którego ciepłe starzec wygrzewał z rozkoszą długie, chude nogi.

Był koniec grudnia 1812-go roku. Książę już od kilku tygodni znajdował się pod własnym dachem i mógł być wysypiać się do południa przy rozmarzającym zegarów szczekaniu, w miłym cieple jedwabnej kotary, w łagodnym ciepłe ognia kominkowego, wśród błogiej ciszy, nad którego utrzymaniem pilnie czuwał jego stary sługa, zarazem przyjaciel i opiekun.

Mógł być — gdyby powracał z pomyślnie odbytych łowów, z wesołej zabawy, lub z kampanii, choćby ciężkiej i męczącej, lecz zwycięskiej...

Niestety! innego rodzaju zdarzenia i wrażenia pozostawił książę za sobą. Odpoczynek, po wielu miesiącach nadludzkich trudów zdobyty, był odpoczynkiem tylko dla ciała. Myśli księcia, jak tabun spłoszonych koni, wciąż galopowały, powstrzymać się nie mogąc; wezbranemu bólem wielkim sercu trudno było choćby chwilowe zdobyć ukojenie.

I dla tego, gdy stary sługa cieszył się smacznym snem swego pana i przyjaciela, ten ostatni już od godziny czuwał i, głowę wsparłszy na rękę, z tragiczną na czole zmarszczką, ponury wzrok w przestrzeń wyteżał.

Przed tym wzrokiem przesuwwały się w żalobnym korowodzie obrazy posępne, straszne, krew w żyłach mrozące...

Piękna, zuchowata armia Księstwa Warszawskiego, z takim trudem zebrana i uzbrojona, a du-

chem tak wielkim tchnąca, w tej chwili była już prawie tylko wspomnieniem...

Książę nie oszczędzał ani siebie, ani swych rodaków. W najcięższych chwilach kampanii krew polska, strumieniami przelewana, jeśli nie była w stanie wywalczyć zwycięstwa, to przynajmniej honor Wielkiej Armii ocalała. Wiele też bitew toczył książę na własną rękę.

Cóż dziwnego, że już w sierpniu korpus piąty, przez księcia dowodzony, liczył zaledwie dwadzieścia tysięcy zdolnych do boju ludzi! A po morderczem zdobywaniu Smoleńska, gdzie się książę najwięcej ze wszystkich narażał, i skąd mu oddziałów kilka gdzieindziej odwołano, ta szczupła liczba do połowy zmalała.

Tysiące rodzin polskich miało opłakiwać straconych synów, braci, mężów, ale Napoleon nie miał już prawa powtarzać ze zjadliwą ironią:

— I gdzież to są owi przechwalający się Polacy?... Ja tu wcale Polaków nie widzę!...

Potem przyszło krwawe Borodino, czerwona od łun pożarnych Moskwa, niebezpieczne, zasadzek pełne Czarykowo... Wszędzie książę był na czele; wszędzie jego żołnierze szli w ogień najpierwsi. Więc, gdy po ostatniej, morderczej, choć zwycięstwem zakończonej, batalii obliczył bohater siły swoje, z przerażeniem spostrzegł, że nie ma przy sobie więcej nad półpięta tysiąca piechoty i nie cały tysiąc jazdy. Pozostała mu tylko nie-

naruszona artylerya — no, i nie stracił dotąd ani jednego sztandaru.

Ale przyszły chwile jeszcze cięższe. Jakby niedość było kul karabinowych, granatów, szabel, pik kozackich, pozostałą gaskę Polaków dziesiątkować zaczęły: mrozy, głód, choroby. Jednak i wówczas jeszcze gotujący się już na śmierć hufiec bohaterów potrafił oddać Napoleonowi przysługę nadzwyczajnej wagi. Już w końcu października pod Woronowem, w morderczej bitwie, pół doby trwającej, książę ocalił od zagłady cały środek wielkiej armii, prowadzony przez Murata. Po tym, nadludzkim, rzec można, wysiłku, pozostało Polaków z Księstwa Warszawskiego nie wiele więcej nad trzy tysiące. A jednak głodni, przemarzli, a co najważniejsze: wiarę w ostateczny tryumf tracący, byli oni wciąż bohaterami na miarę już nie rzymską, lecz spartańską!

Nie słyszało się w tym oddziale straceńców skarg, ani ubolewań. Nikt tu nie objawiał zniechęcenia, nikt nie myślał o dezercyi. Pułki ożywione były stale jak najlepszym duchem, pełne męstwa, rezygnacyi, prawie wesołości. Czardziejem, który je w tym stanie utrzymywał, był książę. Katastrofy, niewygody, przeciwności zdawały się prześlizgiwać po jego wielkiej duszy, jak po granicie.

Co się działo w sercu księcia, o tem, prócz niego samego, wiedział tylko, Bóg, jedyny świa-

dek jego nocy bezsennych, na posępnem rozmyślaniu spędzanych. Dla ludzi, a przedewszystkiem dla swych podwładnych, książę miał zawsze twarz roz pogodzoną, promienną, budzącą męstwo i otuchę.

W okropnym, iście potępieńczym odwrocie z pod Moskwy książę aż do samej Wiazmy na chwilę z konia nie zsiadał — zawsze na czele swych pułków, zawsze dzielny, zawsze do akcji odpornej, lub zaczepnej gotowy. W Wiazmie dopiero upadek z konia, zwichnięcie nogi i gwałtowny krwotok płucny zmusiły go do zajęcia miejsca w karecie. Odbył już w niej całą resztę drogi, każdego dnia i każdej nocy pozostawiając w zaspach śnieżnych i na nagiej gołoledzi liczne trupy towarzyszków, nie przez wroga, lecz przez zimę okrutną pokonanych.

Raz tylko jeden spotkał się książę z Napoleonem. Cesarz podbiegł do wiozącej go karety — na stopniu jej stanął — z ożywieniem rozmawiał. Co sobie wówczas ci dwaj wielcy ludzie powiedzieli, niewiadomo, ale twarz księcia wyrażała tylko zimną, jakby kamienną — rezygnację...

Na jednym z postojów książę zawieść się kazał do swych żołnierzy, których już nie wodzem był, lecz bratem. Podać sobie kazał kartofli kilka, które wiara piekła przy ogniu biwakowym; z apetytem je zjadł, prostą gorzałką z manierki popił, potem zrobił pobieżny przegląd

swej armii. Liczyła ona w owej chwili — sześciuset ludzi!

Księżę wpatrzył się w te twarze wynędzniałe, w odzież, napół łańchmanami będącą, w oczy niezdrowym, gorączkowym ogniem błyszczące — dłonią twarz zakrył. Zdawało się, że zapłacze, ale on wzruszenie opanował, chowając łzy, jedynie w swem życiu, na chwilę późniejszą...

Cesarz, rzucając wszystko, chyłkiem, na sianeczkach małych ruszył do Paryża; księżę powlókł się do Wilna, potem do Warszawy.

We dwa tygodnie po rozgłoszczeniu się księcia w pałacu pod Blachą przyciągnęły do Warszawy i sprezentowały mu się jako swemu wodzowi resztki polskiej armii, z pogromu rosyjskiego ocalałe. Były to jakieś dwie seciny obdartusów, ledwie trzymających się na nogach, z twarzami upiórów, siedzące nie na koniach, ale raczej na końskich skieletach, wszystko niemal, co pozostało z tak świetnego niedawno jeszcze korpusu piętego.

Księżę wyszedł do swych wiarusów, pozdrowił ich. Odpowiedzieli słabym, jakby żałobnym okrzykiem.

Księżę niespokojnym, przerażenia pełnym wzrokiem potoczył wokoło.

— Działa? — zapytał cicho, bo mu kurcz dziwny gardło ściszał i głos tamował.

Jakby w odpowiedzi, zadudniała głucho zie-

mia, i niebawem przed pałac zatoczyły się niewielkie, lecz piękne armatki, należące do artylerii Księstwa Warszawskiego. Błyskawicznym spojrzeniem przeliczył je wódz.

— Wszystkie ! — szepnął z uczuciem ulgi niezmiernej, i błogi uśmiech rozjaśnił mu twarz wynędzniałą.

A w tejże chwili wystąpiła gromadka ludzi, niosących jakieś kije, szmatami owinięte.

Byli to chorążowie.

Uroczystym krokiem przystąpili do księcia, przyklękli, owe szmaty przed nim rozpostarli. Książę przyglądał się im, słowa jednego wymówić nie mogąc. Potem i on również przyklęknął, a biorąc w rękę strzepy jedwabiu, przez kule poszarpanych, ze szczątkami Orłów białych, Pogoni i herbów dworu saskiego, do ust je kolejno przykładając, pocałunkami okrywał.

Tym razem wzruszenie męża granitowego zmogło. Całując sztandary, z których ani jednego ręce nieprzyjaciela nie zagarnęły, płaczem wielkim wybuchnął...

XXVI.

Otworzono zlekka drzwi. Na progu stanął młody pokojowiec — ręką, w milczeniu, przyzywał do siebie kamerdynera.

Dźwignął się stary z fotelu, na palcach do tamtego podszedł.

— Proszę jegomości — mówił szeptem pokojowiec — człowiek jakiś przyszedł, z księciem panem widzieć się żąda...

— Odpraw natręta! — szorstko mruknął kamerdyner.

— Stary jakiś człek, poważny, na inwalidę wygląda. Wstążeczki ma jakieś na piersiach... Mówi, że przybył zdaleka, z ważnym do księcia interesem. Chciałby tymczasem pogadać z jegomością...

Kamerdyner po łysinie się podrapał, tabaki zażył.

— Ha, to niechże zaczeka w pokoju zielonym. Za moment tam przybędę.

Niebawem w poczekalni pałacowej, dla ludzi

»średniej kondycji« przeznaczonej, stało naprzeciw siebie dwóch starców o twarzach czcigodnych, choć na pierwszy rzut oka okazujących, że odmiennymi w życiu chadzali drogami. Przybyły, choć wzrostem niższy i bardziej zmizerywany, miał w sobie jakąś dostojność człowieka wolnego, który życie sterał na usługach pięknej, wielkiej idei. Drugiemu tego znamienia brakło.

— Niech będzie pochwalony... — przemówił pierwszy, lekko skłaniając głowę. — Jestem Szczerba, stary żołnierz kościuszkowski. Proszę mnie oznajmić księciu wodzowi. W pilnej sprawie przybywam.

— Na wieki wieków... — odrzekł kamerdyner, nieco zakłopotany. — Choć mi już godność waszmości znana, samego przecie nie zaszczycam się znajomością.

— Byłem podkomendnym jaśnie oświeconego księcia. Jeśli mu przeciwności pamięci nie przytępiły, to mnie pewnikiem sobie przypomni. A i jegomości całkiem obcy być nie mogą. Jużśmy kiedyś ze sobą konwersowali.

Kamerdyner zanurzył chude palce w tabakierze i, ściskając trzymaną w nich szczyptę, długo, oczy zmrużywszy, w przybysza się wpatrywał. Wreszcie twarz mu się rozjaśniła, tabakę w nos wciągnął i, wyciągając tabakierę do Szczerby, uprzejmiej rzekł:

— Przypominam sobie, przypominam. Chwa-

lić Pana Boga, pamięć mam jeszcze dobrą. Ale waść na poście gdzieś długim być musiałeś, bo wyglądasz, jak z krzyża zdjęty...

Podali sobie ręce. Szczerba tabaki zażył, poczem obaj usiedli.

— Książę jegomość — zaczął stary sługa — jeszcze się wyleguje. Zażył biedaczek niewygód dosyć. Ani to uczciwie w swojej porze jadło, ani na pościeli wygodnej spoczywało... Teraz się za wszystkie czasy wysypia, jak dzieciątko na łonie swej matki. Niechże waść jak najciszej się sprawnia, żeby książątka mego nie obudzić...

Zawiązali starzy rozmowę, przypominając widzenie się swoje na wiosnę w tem samem miejscu.

— Więc waść wówczas za księciem pojechałeś? — ciekawie dopytywał kamerdyner.

— Pojechałem, proszę jegomości. Jakże mógłbym być nie pojechać!

— Z żoną swą i z sierotami pojechałeś?

— Z żoną i z sierotami, proszę jegomości. Psisko mieliśmy wierne po nieboszczyku kapitanie, to i ono z nami pojechało.

Kręcił głową stary, coraz do tabakiery sięgając.

— I dalekoście za księciem gonili?

— Daleko, proszę jegomości.

— Do Pułtuska?

— Dalej.

— Do Ostrołęki?... Do Łomży?...

— Jeszcze dalej.

— To może aż do samego Wilna?

— Gdybyż tylko do Wilna, proszę jegomości!

— Jakto? czyżby jeszcze za Wilno?

— Goniliśmy do Smoleńska...

— Do Smoleńska?!

— I do Moskwy.

— Co waść gadasz!... Co waść gadasz!...

Kamerdyner z twarzą przerażoną chwycił Szczerbę za ramię i trząsł mocno, jakby go chciał do przytomności przywołać.

Upłynęła długa chwila, zanim zdobył się wreszcie na zapytanie:

— I wróciliście cało?

— Żonisko nogę straciło. Ale to fracha.

Kazał stary przynieść piwa grzanego, jakby czując powiew owych mrozów okrutnych, które pod Moskwą panowały. Przy piwie rozpowiedział Szczerba wszystkie szczegóły swej nieszczęsnej wyprawy i przedstawił, ile ma wagi dla niego i dla sierot osobiste widzenie się z księciem. Wzruszony sługa uściskał wiarusa, zapewniając, że księciu przy rannym posiłku wszystko opowie i wiernie powtórzy. Polecił mu wreszcie, żeby wraz z dziećmi przybył do pałacu w samo południe, a znajdzie księcia już przygotowanego.



Łózio uczuł się pochwyconym przez księcia.

XXVII.

Gdy Szczerba drżącą od wzruszenia ręką podał księciu list drogocenny i zaraz, o kilka kroków cofnąwszy się, stanął wyprężony, salutując po wojskowemu, już księżę wypytywać go o nic nie potrzebował. Przebiegł szybko oczyma pismo nieżyjącego kolegi, wiedząc zawczasu, co się w niem mieści.

Złożył z szacunkiem list na stoliku i zaraz, wyciągając ramiona do stojącego w pobliżu Józia, zawołał swym miłym, serca wszystkich jednającym głosem:

— A chodźże, chłopcze mój serdeczny. Niech cię uściskam i ucałuję, jak niegdyś ściskałem i całowałem twój ojca!

W tejże chwili Józio uczuł się pochwyconym i przyciśniętym do piersi, błyszczącej rabatem wspaniałego, ułańskiego munduru. Wzruszony, rozrzewniony, z pełnemi łez oczyma, chciał ująć i pocałunkami okryć rękę księcia, lecz on na to nie pozwolił.

— Masz zostać, kochanku, ułanem, czyli moim kolegą — wesoło wyrzekł. — A między kolegami to przecież nie uchodzi.

Z kolei ucałowana została Józia. Dziewczynka bez wzdragania nadstawiła policzki księciu, który wydał się jej podobnym do ojca, choć młodszym i piękniejszym.

Księżę posadził oboje dzieci przy stole, na którym, wśród pięknej, porcelanowej i kryształowej zastawy, dymiła gorąca kawa i czekolada. Obok, w wielkim, srebrnym koszu piętrzyła się góra ciast najwyborniejszych. Trzy wygodne, niezajęte fotele na kogoś jeszcze oczekiwały.

Gdy dzieci posilały się, ocierając ukradkiem łzy, ale łzy radości, księżę zwrócił się do Szczerbów, którzy stali zdaleka, onieśmieleni dostojnością księcia i przepychem jego mieszkania.

— Zbliźcież się i wy, zacni państwo Szczerbowie — uprzejmie zapraszał. — Na toż, przez pół roku, wśród spieki i mrozów, pod gradem kul, pod grozą śmierci od szabli lub piki, szukaliście mnie po świecie, żeby, znalazłszy wreszcie, patrzeć na mnie, jak na raroga? Podaj mi rękę, pani Szczerbino. Ręka waćpani nie tylko książęcego, lecz królewskiego jest godna uścisku.

Eks-wiwandyerka, którą do pałacu na wózku przywieziono, z trudnością poruszyła się z miejsca, stukając swem szczudłem drewnianem.

— Ach! przebacz mi waćpani! — tonem głę-

bokiego współczucia zawołał ksiązę. — Zapomniałem, że i ty z tej przeklętej kampanii nie wyszłaś bez szwanku. Znane mi są poświęcenia waćpani i jej męża. Przedstawię was oboje cesarzowi do nagrody. A teraz nie waćpani do mnie, lecz mnie do waćpani iść należy.

Posunął się do stojącej z takim wytwornym wdziękiem, jakby była nie biedną, prostą ekskarmicielką pułku, lecz damą ze sfer najwyższych.

Ramię jej podał i do stołu prowadził.

Zmieszana, zawstydzona Szczerbina opierała się, chcąc się od tego zaszczytu wymówić — ksiązę ani chciał słyszeć o tem. Niemal przemocą wyciągnął staruchę z kąta, na wygodnym fotelu posadził.

— Siadajże z nami i ty, stary kamracie — zwrócił się w końcu do Szczerby. — Prosić cię nie będę — z uśmiechem dodał — ale jako niegdyś podkomendnemu, rozkazuję.

Wobec takiego postawienia sprawy, wiarus oponować już nie mógł. Skłonił się po wojskowemu — ostrym, żołnierskim krokiem na wskazane miejsce pomaszerował.

Gdy już cała gromadka znalazła się za stołem, uczucie dziwnej błogości i upojenia napełniło serca wszystkich. Ksiązę, który był mistrzem w pożyciu z ludźmi, tak się umiał do swych gości przystosować, że pozbyli się wkrótce wszel-

kiego zakłopotania. Szcherbina odzyskała nawet swój zwykły rezon i, obcierając wierzchem dłoni górną wargę, siwawym zarostem pokrytą, jowialnie rzekła:

— Z przeproszeniem księcia pana: za wielkie tu są delikatesy dla wiwandyerskiej gęby. Dobrze to dla dzieci, dla panienek i paniczików — jabym wolała takiej czekolady, co się z baryłki nalewa...

Roześmiał się książę, zadzwonił, wchodzącemu słudze rozkaz półgłosny rzucił. Po chwili, wniesiono na srebrnej tacy butelek kilka omszałych i sporej miary kielichy. Dzieci pozostały przy słodyczach, starsi zabrali się do wina.

Szcherbinie, dla której w ostatnich miesiącach nawet prosta gorzałka była wielkim, rzadko spotykanym przysmakiem, węgrzyn z piwnic książęcych wydał się boską ambrozyą.

— Bum! — po swojemu zawołała, stawiając na stole próżny kielich, drugi już czy trzeci z kolei. — Już chyba w całej Polsce i Litwie lepszego trunku niema!

A na to książę:

— Mylisz się waćpani. Najlepsze wino posiada jeden szlachcic na Litwie, ale ono stoi dotąd u niego w piwnicy nietknięte.

— Patrzcież, moi państwo! — odważył się wystąpić z uwagą Szcherba. — I dla kogóż on to wino chowa?

Książę przybrał minę poważną. Nie odpowiadając wprost, mówił:

— Kiedy w roku 1795 mój stryj nieboszczyk...

— Najjaśniejszy król Stanisław August Poniatowski — wtrącił Szczerba uroczyście. — Świeć, Panie, jego duszy!

Westchnął i przeżegnał się. Westchnęli i przeżegnali się wszyscy obecni.

— Kiedy mój stryj nieboszczyk — ciągnął po chwili książę — jechał do Grodna na sejm... ostatni... stanął po drodze u jednego szlachcica litewskiego. Przy wieczerzy podano doskonałe wino. Król, skosztowawszy, mówi: — Dziękuję waszmości, żeś mnie poczęstował najlepszym ze swej piwnicy tokajem... Wówczas szlachcic przed moim stryjem uklęknął i, za kolana go obejmując, rzekł: — Przebacz, najjaśniejszy panie: to wino nie jest najlepsze, jakie posiadam. Lepsze od niego stoi u mnie w piwnicy, również dla ciebie przeznaczone. Ale podam ci je, królu, wówczas dopiero, gdy będziesz tą drogą powracał...

Zamilkł książę, głowę pochylił.

— Jak już wam powiedziałem — po dłuższej chwili dokończył — wino stoi dotąd nietknięte...

Zachmurzył się książę, sposepniali wszyscy.

— Nie frasuj się, książę wodzu — pośpieszył z pociechą zupełnie już ośmielony Szczerba. — Da Pan Bóg, że to wino u szlachcica w piwnicy

wiekować nie będzie. Jeszcze znajdzie się taki, przed kim je postawią. Nie dziś, to jutro, nie jutro...

Książę przerwał mu machnięciem ręki, pełnem smutnej rezygnacyi.

— My już, mój stary, tego nie doczekamy...

— To nic, książę wodzu, to nie!

Książę, chcąc zakończyć przykrą dla siebie rozmowę, zwrócił się do dzieci. Podsuwał im ciasta, wybierał i wskazywał najsmaczniejsze, do jedzenia zachęcał, jak rówiennik, z niemi baraszkował. A gdy już się posiliły i usta serwetkami otarły, przystąpił do spraw ważniejszych.

— Panie Józefie! — przemówił do Józia, który zaczerwienił się z radości i dumy. — Wiadomo ci niewątpliwie, co się mieści w liście twego ojca, do mnie pisanym. Nieboszczyk kapitan żąda, abyś przy mojej pomocy wstąpił do służby wojskowej, mianowicie do pułku ułanów polskich. Cóż ty na to, mój zuchu?

Józio nagle spowaźniał i nawet na twarzy dziwnie się odmienił. Zresztą ostatnie miesiące, pełne wrażeń nadzwyczajnych, niewygód i cierpień, przyśpieszyły, rzec można, jego dojrzałość duchową i fizyczną. Od niewywczasów i lichego pożywienia wychudł, przez co wyższym się wydawał; oczy pogłębiły się i nabrały wyrazu ostrego; z twarzy mroźne wichry starły świeżość dziecięcą. Wyglądał już prawie na młodzieńca.

— Mości książę! — przemówił rezolutnym, stanowczym, choć pełnym uszanowania głosem. — Wola świętej pamięci ojca mego jest dla mnie święta. Będę służył w wojsku i będę służył w ułanach. O jedno tylko waszą książęcą mość upraszam: aby mi wolno było odbywać tę służbę w charakterze — lekarza wojskowego...

Książę wpatrzył się bystro w oczy chłopca, jakby chciał w nich całą jego duszę wyczytać. Potem uśmiechnął się dobrotliwie, przygarnął go do siebie i na czole jego złożył czułe, jakby ojcowskie, pocałowanie.

— Stanie się, jak żądasz — zapewnił go. — Zajmę się wysłaniem cię na jedną z wszechnic zagranicznych, abyś się tam przygotował godnie do wzniesłego zawodu lekarza.

Józio pocałował swego opiekuna w ramię i, uradowany, na swoje miejsce powrócił.

— Co do ciebie, stokrotko — przemówił książę z kolei do Józki — to... odżalować nie mogę, że jestem starym kawalerem i nie mam żony, która stałaby się dla ciebie drugą matką, jak ja pragnąłbym ci ojca zastąpić. Ale i z tem damy sobie radę. Moja siostra, Tyszkiewiczowa, zajmie się tobą, jak córką, uzupełni twoje wykształcenie i w świat cię wprowadzi. O przyszłość swą możesz być spokojna.

— Proszę księcia — rzekła dziewczynka z oczyma spuszczonemi, ale głosem nad wiek

poważnym i stanowczym — jam już przyszłość dla siebie obmyśliła i nic już mnie z obranej drogi nie sprowadzi.

— Czemże postanowiłaś zostać?

— Siostrą miłosierdzia.

Księżę obrzucił dziewczynkę tem samem przenikliwem spojrzeniem, jakim niedawno badał Józia.

— Rozumiem was — wyrzekł po chwili. — Rozumiem ciebie i rozumiem twojego brata. Poznaliście oboje — zbyt wczesnie, niestety — zgrozę i ohydę wojny. Wasze młodociane serca wzdrygnęły się na widok tych okropności. Porwani młodocianym zapalem, postanowiliście na łagodzenie ich i zapobieganie im, życie całe poświęcić. Kocham was za to i szanuję. Błogosławię też was na drogę, którą kroczyć zamierzacie. Bądźcie pewni, że wszystko, co będzie w mocy mojej i krewnych moich, uczynię, aby zamiarom waszym dopomódz.

Skończywszy z dziećmi, zajął się księżę ich opiekunami.

— Zacni państwo Szczerbowie! — przemówił, ręce do nich wyciągając. — Wasze serca szlachetne zasmuca w tej chwili myśl, że opieka nad dziećmi kapitana Kalinowskiego może wam być odebrana. Zrośliście się z temi dziećmi, życia bez nich nie pojmujecie, więc serca wam się ściskają na myśl o możliwości rozstania się

z niemi. Uspokójcie się! Tego węzła serdecznego nic, nigdy nie rozerwie. Do śmierci pan Józef Kalinowski będzie waszym blizkim, ukochanym i kochającym was »Józiem«; panna Józefa Kalinowska waszą blizką, ukochaną i kochającą was »Józią«. Czy mieszkać będziecie wspólnie ze swymi wychowawcami, czy zdala od nich, łączyć was z nimi nie przestanie wzajemna miłość i wdzięczność.

W czasie tej przemowy Szczerba tak ciągnął swe biedne wąsy, że mu omal w rękę nie pozostały. Szczerbina zaś, twarz dłonią zakrywwszy, głośno łkała.

— W tej chwili — ciągnął książkę — należy się wam wszystkim wypoczynek. Więc pojedziecie wraz z dziećmi do swego cichego miasteczka, do swego dworku drewnianego, gdzie mój przyjaciel i zbawca Kalinowski ostatek życia przepędził. Tam będziecie się starali zapomnieć o nędzach i okropnościach tej wojny przeklętej. Tymczasem w pałacu moim przygotowuje się dla was wygodne mieszkanie i obmyśli się plan dalszego postępowania. Wreszcie oznajmić wam muszę, drodzy państwo, ostatnią wolę nieboszczyka kapitana. Z chwilą, gdy los dzieci zostanie ustalony, dworek w miasteczku na waszą własność przejdzie.

Nastąpiły nowe łzy i nowe uściski. Serca

wszystkich zespoliły się tak ściśle, że tworzyły się zdawali jedną rodzinę.

Nagle księżę zawołał:

— A pies? Zapomnieliśmy o psie. Gdzież jest ten Wierny, o którego szlachetności i poświęceniu tyle się nasłuchiwałem?

Zaledwie wymówił słowo: »Wierny«, za drzwiami słyszeć się dało głośne skomlenie.

— Wpuśćcie go! — rozkazał.

Szczerba pośpieszył otworzyć drzwi. Do pokoju wpadł w podskokach Wierny i, wszystkich wymijając, pobiegł prosto do księcia. Łasił się do niego, ręce mu lizał...

— Jakże mam cię nagrodzić, szlachetny opiekunie sierot i starców? — mówił księżę do psa, dłoń na łbie kudłatym kładąc. — O bogactwa i zaszczyty tyle dbasz właśnie, co o piątą nogę. Mógłbym ci ofiarować wspaniałą, perłami wyszywaną obrożę, ale ty jesteś pies polski: obroży, choćby najwspanialszej, nie znosisz. Więc pozostawię cię, jak jesteś, i tylko do ucha ci powiem, że pragnąłbym, aby wszyscy ludzie mieli serca tak szlachetne, litościwe i poświęcające się, jak twoje!

Przy tych słowach pochylił się i na łbie Wiernego pocałunek złożył. A pies legł u stóp księcia, ocierając się o jego nogi i skomląc cicho, radośnie...

— Weźmiecie teraz swego przyjaciela ze sobą, aby razem z wami w cichym dworku wy-

począł. A potem... dzielić się nim chyba będziecie, bo on was wszystkich jednakowo kocha i wy też jednakowe macie do niego przywiązanie.

W tej chwili Szczerba, który od pewnego czasu za wąsy się ciągnął i czoło marszczył, siląc się widocznie na odwagę, rzekł:

— Jaśnie oświecony książę wodzu! Wszystkimi nami mądrze i zacnie rozporządziłeś — a cóż wasza książęca mość uczynić zamierzasz ze sobą?

Książę przesunął dłoń po czole, oczy jego nabrały dziwnego, posępnego blasku...

— Moja droga — rzekł cicho, jakby się z tajemnicy najgłębszej zwierzając — już do końca wytknięta. Nie zboczę z niej na prawo, ani na lewo. Los mój związany z losem Napoleona. Dokąd pójdzie cesarz, tam i ja: na dolę i niedolę, na życie i na śmierć... A obowiązek swój spełnię do końca. Bóg mi powierzył honor Polaków, Bogu go oddam!

KONIEC.

